

W PREZENCIE PIĘKNY DODATEK HISTORYCZNY!



AGORA NIE WPUŚCIŁA „LEGIONÓW" DO KIN. PAWLICKI: IDĘ DO SĄDU!

JANECKI: CO POLACY BY STRACILI, GDYBY III RP WYGRAŁA

ROKITA: SĘDZIOWIE CHCĄ CAŁEJ WŁADZY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 39 (357) 2019
30 września–6 października
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KLAUDIA JACHIRA

SCHETYNA HODUJE NOWEGO PALIKOTA

PROF. ALEKSANDER NALASKOWSKI W MOCNYM APELU:
OPAMIĘTAJCIE SIĘ, TAK NAPRAWDĘ NIE WOLNO!
JEŚLI NIE BOICIE SIĘ OSĄDU HISTORII,
TO BÓJCIE SIĘ CHOCIAŻ BOGA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

MAKSIMUM SPORTU!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!











Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Pakiet Ekstraklasa dostępny z ofertą telewizji satelitarnej i telewizji kablowej IPTV do 30.06.2021 r., z możliwością przedłużenia dostępności. Cały sezon Formula 1®, Bundesliga, LaLiga Santander i Seria A TIM w ELEVEN SPORTS.
The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved.



A może ścieki w Wiśle Warszawie nie przeszkadzają?

Przez dziesięć dni w wyniku awarii superdrogiej oczyszczalni Czajka co sekundę Wisła wzbogacała się o 3 tys. litrów wielkomiejskich ścieków. W sumie można by już zapełnić blisko 400 tys. basenów, a nawet ulać z tego całkiem obszerne jezioro.

Nie widać przez to wielkiego poruszenia w stolicy, właściwie to żadnego poruszenia nie widać. Po byle marszyku LGBT pasażerowie metra i przechodnie świecą tęczowymi przypinkami, po pierwszym lepszym upale mieszkańcy biegną z butelkami wody do „polskiej Grety Thunberg", 13-letniej Ingi, która boi się ocieplenia klimatu, a w każde wybory głosują na Obłomowów polskiej polityki, oddających kamienice w ręce 120-letnich właścicieli. Pływająca plama szamba na odcinku Warszawa–Płock nie wywołuje szczególnych reakcji – ani przypinek, ani pełnych oburzenia grup na Facebooku, za to w kawiarniach można sobie w „Gazecie Wyborczej" poczytać teksty o tym, jak to znicze zapalone ku czci ofiar Katynia czy jeżdżące po Polsce cysterny wstydu zanieczyszczają środowisko. Kandydaci Partii Zielonych rozdają ulotki w ramach Koalicji Obywatelskiej i ani myślą o sprzeciwie wobec rządów swoich koalicjantów, którzy za katastrofę odpowiadają.

Dziwną mamy tę stolicę. Wiadomo, że każda metropolia jest bardziej liberalna i beztroska od prowincji, więcej tu się zarabia i łatwiej o poczucie „high life", łatwiej wrócić na święta na wieś i z politowaniem popatrzeć na przepracowaną rodzinę, która niekoniecznie chce opuszczać własny dom i podwórko. Zresztą wielka liczba mieszkańców w jednym miejscu osłabia więzi społeczne, skoro nie znamy nawet swojego sąsiada czy kasjerki w wielkopowierzchniowym sklepie.

Ale w Warszawie tego poczucia wyższości jest więcej. Dekady komunizacji i ściągania tu różnych czerwonych aparatczyków i mętów społecznych musiały przetrawić miasto na swoją modłę, tak że do dzisiaj woli ono Armię Ludową niż Lecha Kaczyńskiego – tak stołeczna Rada Miasta przywracała bowiem nazewnictwo ulic.

Jednak stolica Polski dźwiga jeszcze garb nowszych patologii – III RP, która u swego zarania cierpiała na ogromne bezrobocie, mogła karmić Warszawę gigantycznie przerośniętą biurokracją. Liczne ministerstwa, siedziby spółek skarbu państwa, agencji i instytucji, których nawet wytrawny politolog by nie spamiętał, sztucznie nakręcały koniunkturę stolicy. Nic dziwnego, że Polska należy do tych państw Unii Europejskiej, w którym różnica poziomu życia w stolicy i w reszcie kraju jest jedną z największych. Dlatego też wielu mieszkańców Warszawy żyje o wiele lepiej niż ich bliscy w innych częściach Polski.

Niech sobie ten dobrobyt stolicy zostanie, ale rzecz w tym, by mieszkańcy miasta mieli poczucie odpowiedzialności za całe państwo, a nie tylko za teren w promieniu 30 km od Pałacu Kultury i Nauki. Całe państwo w jakiś sposób – poprzez utrzymywanie władzy centralnej skupionej w jednej metropolii – składa się na lepszą infrastrukturę i budżet stolicy. A Warszawa sobie tak odstaje od reszty kraju, że może brzegi Wisły na północ od siebie traktować jako ścieki i pewnie nawet nad urną wyborczą żadnej refleksji z tego nie będzie.

Pomysł Zjednoczonej Prawicy, by część urzędów centralnych przenieść do innych miast, jest bardzo potrzebny. Oby to była duża część.

Jakub Maciejewski

58/0319/F

eprasa.pl c98308c2a0

SIECI spis treści



32 *Alfabet kampanii Aleksandra Jakubowska*



53–64 *Sukcesy XX-lecia międzywojennego dodatek historyczny*



76 Rodzina pod ochroną *Dorota Łosiewicz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KLUB HEJTUSIA**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **SZLAM W GŁOWACH**
Jan Pietrzak

15 **O BANALIZACJI ORAZ WŁADZY**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ZIELONA POLSKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **OPAMIĘTAJCIE SIĘ!**
Aleksander Nalaskowski

24 **PLATFORMA HEJTERSKA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

28 **DWIE POLSKI**
Stanisław Janecki

32 **ALFABET KAMPANII**
Aleksandra Jakubowska

36 **WRÓG WEDŁUG „WYBORCZEJ”**
Konrad Kołodziejski

39 **Z PAWŁEM JABŁOŃSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

42 **OPOZYCJA NA JAŁOWYM BIEGU**
Jakub Augustyn Maciejewski

44 **A JAK ARTYŚCI**
Hanna Karp

46 **WSZYSTKIE TWARZE DOKTORA HAIDARA**
Piotr Filipczyk

49 **Z MACIEJEM PAWLICKIM**
rozmawia Michał Karnowski

SIECI KULTURY

64 **Z MARIA DĘBSKĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

68 **Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM**
rozmawia Marcin Wikło

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **RODZINA POD OCHRONĄ**
Dorota Łosiewicz

79 **CZARNY SEN UKRAINY**
Marek Budzisz

82 **IKONA REWOLUCJI KLIMATYCZNEJ**
Anna Wiejak

HISTORIA

84 **80 LAT TEMU W KUTACH**
Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

87 **NOWY HUMANIZM: IDEOLOGIA XXI W.?**
Grzegorz Górny

90 **PEŁZAJĄCY PRZEWRÓT USTROJOWY**
Jan Rokita

GOSPODARKA

92 **Z ANDRZEJEM BITTELEM**
rozmawia Maciej Wośko

95 **MIĘDZY ROZWOJEM A REGRESEM**
Janusz Szewczak

96 **NIEBEZPIECZNY ROK**
Marek Budzisz

ZDROWIE

102 **BEZCENNA OCHRONA**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

104 **MOJE SZLAKI: MACADEMIAN GIRL**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **ZDRADA**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **KRUCJATA**
Aleksander Nalaskowski

109 **NOWA KOLEŻANKA**
Wiktor Świetlik

110 **SĄ ŚWIĘTOŚCIĄ**
Alina Czerniakowska

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **SKAŻONE ŚRODOWISKO**
Ryszard Makowski

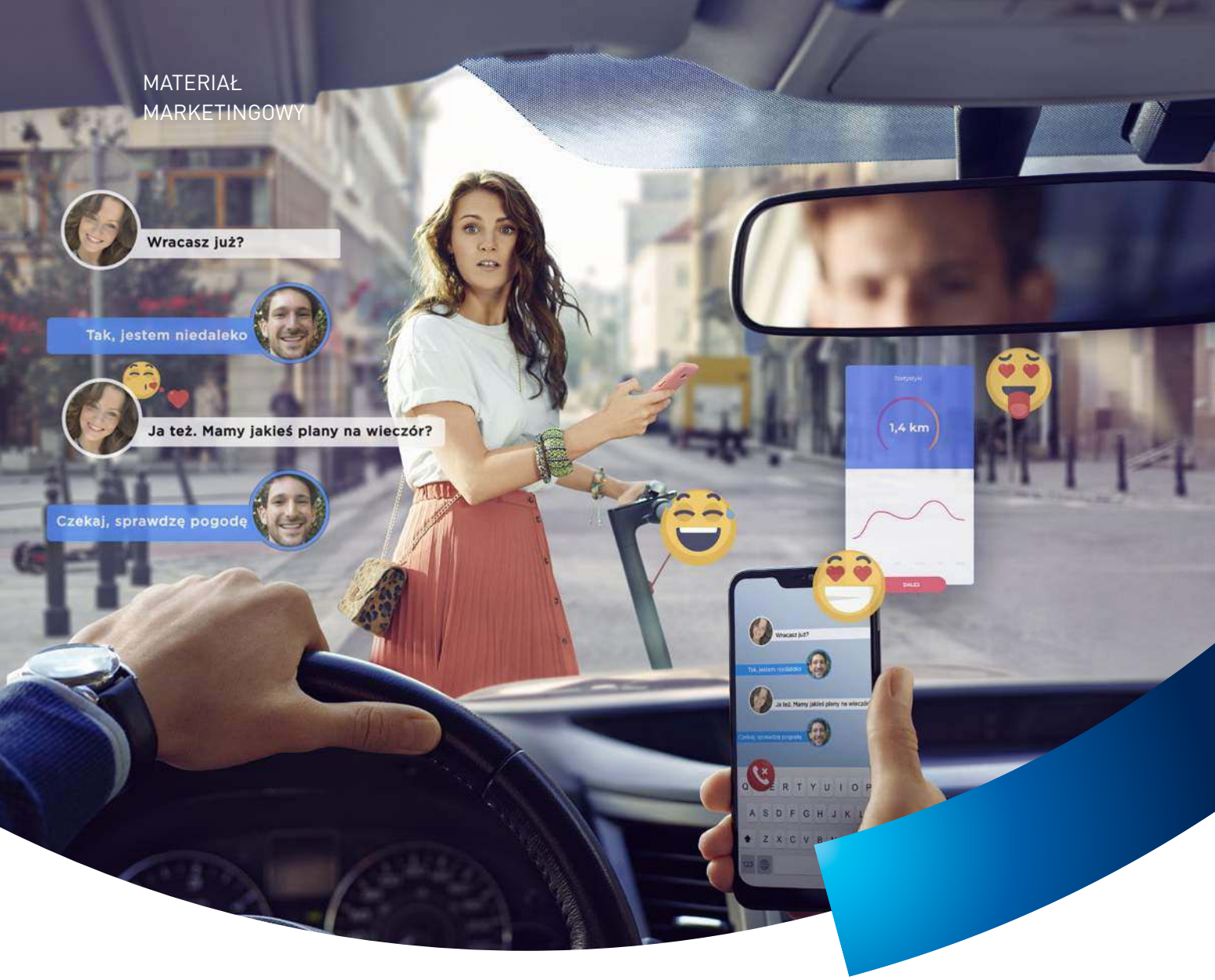
113 **PIĘKNOŚĆ I NIECHLUBA...**
Leszek Długosz

114 **POMOC PO OMACKU**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

48/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Prowadzisz?
Odłóż telefon

Co czwarty wypadek drogowy może być spowodowany przez korzystanie z telefonu komórkowego w trakcie jazdy*.

* Instytut Transportu Samochodowego

PZU

Z myślą o bezpieczeństwie

eprasa.pl c98308c2a0



Sygnalista nadaje

Dane są jednoznaczne: internauci znacznie częściej szukają informacji o Jachirze niż o Kidawie-Błońskiej. Również w mediach społecznościowych ta pierwsza wyprzedza oficjalną kandydatkę KO na premiera o kilka długości. A są to bardzo ważne wskaźniki, pokazują bowiem, co ciągnie. „Projekt Kidawa" tonie, zanim jeszcze na dobre wzbił się w powietrze. Miał być cieplejszy wizerunek, jest groteskowa, chwilami bardzo wulgarna pajdokracja.

Tę bombę podłożył pod swój projekt sam ***Schetyna***, który Jachirę nie tylko wciągnął na listy, lecz także wyróżnił podczas prezentacji kandydatów. To kolejny dowód, że Platforma nie umie uprawiać polityki w warunkach realnego pluralizmu medialnego. Takie numery – vide Palikot – działały doskonale wówczas, gdy PO w pełni panowała nad największymi mediami. Teraz, gdy TVP nie śpiewa w chórze, stare sztuczki szybko się obracają przeciwko ich autorom. Platforma wciąż myśli, że żyje w złotych czasach Tuska i jego reżimu, gdy mogła bezkarnie manipulować społeczeństwem.

Opozycja w ogóle niczego nie przemyślała. Zaraz po przegranej rzuciła się rządzącym do gardła, w nadziei, że ich zadusi, zanim zdążą cokolwiek zrobić. Nie poświęciła ani jednego tygodnia na spokojną analizę sytuacji, na głębsze wnioski. Ale może pod tym przywództwem nie była i nie jest w stanie zdobyć się na poważną refleksję?

A szwedzka nastolatka Greta Thunberg nakręca globalną histerię klimatyczną. „Ukradliście moje marzenia i moje dzieciństwo!" – krzyczała w siedzibie ONZ, dodając: „Załamuje się cały ekosystem; jesteśmy na początku masowego wymierania". Świat pokiwał głową z zachwytem, ale w Polsce większość się porządnie uśmiała. Może walka z plastikiem idzie nam średnio, ale za to coraz lepiej rozpoznajemy, gdy ktoś wciska nam plastik.

Wszyscy widzimy, że gdy Schetyna ma powiedzieć coś na poziomie meta, to mocno cierpi.

Ale PO-KO ma problemy także z konkretami, ze sprawami najbardziej przyziemnymi. „Podstawowe produkty podrożały nawet trzykrotnie – na przykład kapusta z ok. 2 zł do 6 zł za kilogram! Powiedzmy głośno: Stop drożyźnie!" – ogłosiła ***Kamila Gasiuk-Pihowicz***. Problem w tym, że na zdjęciu, które sama zamieściła, widać, że kapusta kosztuje 6,50 zł za sztukę, a nie za kilogram. Być blisko ludzi i ich zwykłych spraw też trzeba umieć. Chcieć to za mało.

Reporter portalu wPolityce.pl poznał wyniki najnowszych analiz sztabu PiS. Wyłania się z nich obraz bardzo optymistyczny dla obozu rządzącego: jeśli elektorat prawicy utrzyma wysoką mobilizację, zwycięstwo może być bardzo wysokie. Co ważne, można mówić o stabilizacji elektoratów. Główne partie już nie pozyskują nowych wyborców, bo po prostu nie ma ich już skąd brać. Wygląda na to, że Polacy już zdecydowali.

Jedyny wyraźny przepływ wyborców następuje pomiędzy Platformą, która zyskuje, a Lewicą, która traci. Traci, choć ***Włodzimierz Czarzasty*** robi wszystko, by znów zgromadzić wokół SLD elektorat postkomunistyczny, przez ostatnią dekadę wiernie stojący przy PO. W Szczecinie kłaniał się żołnierzom radzieckim, podkreślając: „Ci

eprasa.pl c98308c2a0

ludzie nas wyzwolili, ci ludzie dali nam wolność od Niemiec i od Niemców, od faszystów". A więc już nie „wyzwolenie", ale jedynie „wolność od Niemców". A to nie koniec, bo Czarzasty dodaje: „Zawsze, jak mówię o tym, to padają zarzuty, że żołnierze radzieccy przynieśli nam inne zniewolenie – tak, to prawda". Wygląda na to, że tak krytykowany przez SLD IPN jest jednak skuteczny.

Szef SLD narzekał także, że w narracji prawicowej źle się mówi o czasach PRL. „Bez względu na to, co o tych czasach myślicie, to były to czasy młodości naszych rodziców, naszych dziadków i ludzi, którzy odbudowali to miejsce" – przekonywał, zapewniając, że lewica zawsze będzie szanowała ludzi aktywnych do 1990 r. Może i tak, ale to PiS pierwsze zaczęło szanować dorobek tych ludzi, np. wstrzymując prywatyzację sreber rodowych i dbając o to, co udało się ocalić z czasów głupiej transformacji. I wyborcy, także starsi, dobrze to rozumieją.

Czarzasty wciąż ma problem z ***Moniką Jaruzelską***, która kontynuuje swoją krucjatę, zarzucając szefowi SLD bliskie związki z rzecznik partii. „Jeżeli ktoś by sięgnął np. do tekstu wywiadu pana przewodniczącego sprzed pięciu czy sześciu lat, [to znalazłby fragment] gdzie wypowiadał się o swoich zasadach moralnych: jedna żona, jedna partia, jedna kochanka. Wszystko tu się zgadza i jest zgodne z moralnością pana przewodniczącego" – rzuciła w jednym z wywiadów córka generała. Kobiety lewicy umieją tak uderzyć, żeby naprawdę zabolało.

Duże problemy z mobilizacją swoich wyborców ma Konfederacja. Z badań wynika, że nawet połowa wyborców tej formacji może nie pójść na wybory. „Chodzi tu głównie o ludzi młodych, którzy deklarują udział, ale z naszych analiz wychodzi, że zostaną w domu" – opowiada informator portalu wPolityce.pl. To już ponoć prawidłowość: wyborcy Konfederacji rzadziej głosują, niż to deklarują w badaniach. Losy Konfederacji są sprawą ważną: jeśli narodowcy wejdą, PiS będzie atakowane z dwóch stron, a to zawsze bardzo niewygodna sytuacja.

Elektorat PiS składa się obecnie z trzech grup: po pierwsze, są to wyborcy konserwatywni, dla których ważne są tradycyjne wartości; po drugie, jest to elektorat socjalny; po trzecie – i to jest nowość – pojawiła się grupa wyborców zainteresowana obroną obecnej sytuacji społeczno-politycznej. „To elektorat, który nazywamy elektoratem stabilności i normalności" – mówi nam









Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

osoba z otoczenia sztabu PiS. Czy osiem, siedem lat temu ktoś wyobrażał sobie, że miliony Polaków będą się bały Platformy?

Prawu i Sprawiedliwości nie szkodzą też afery kreowane przez opozycję i jej media. Echo tych spraw jest minimalne. Wyborcy wydają się impregnowani na kolejne rewelacje z Czerskiej czy Wiertniczej, zwłaszcza że obóz rządzący reaguje szybko i w ten sposób zdejmuje napięcie. W PiS panuje więc przekonanie, że groźna byłaby jedynie sprawa, która miałaby w sobie rzeczywiście duży potencjał emocjonalny. „Coś w rodzaju Sawickiej" – relacjonuje portal wPolityce.pl. Ale to też bardzo wątpliwe. To już inny, dużo mądrzejszy naród.

Wstrząsem nie będzie też raczej apel byłych ambasadorów, którzy w swoim specjalnym przesłaniu do wyborców stwierdzają: „Konferencja Ambasadorów uważa za swój obowiązek podkreślić, że od wyniku wyborów 13 października zależeć będzie ustrój naszego państwa, nasza pozycja w Europie i świecie oraz nasze bezpieczeństwo. Być może na pokolenia. Jeśli Polacy nie wybiorą opcji demokratycznej, następne głosowania mogą być już tylko fasadą". Tym razem można się z byłymi dyplomatami jedynie zgodzić: jeśli PiS nie wygra, III RP zbuduje taki zamordyzm, że kolejne wybory będą czystą fikcją.

Z badań PiS wynika, że najbliższe wybory przyniosą następujące wyniki: Konfederacja nie przekroczy progu, zdobywając 3 lub 4 proc. PSL może przejść tuż ponad progiem, ale z wynikiem tak kiepskim, że może nie być w stanie powołać klubu sejmowego (minimum 15 posłów). Lewica na dziś dostanie 8–9 proc., ale wyraźnie traci. Platforma powinna uciułać ok. 30 proc. poparcia. A PiS? Dziś jest na poziomie pomiędzy 45 a 50 proc. Ale jeśli frekwencja będzie wysoka, może być nawet odrobinę więcej.

Nastroje są tak dobre, że – jak słychać – w obozie rządzącym nie brakuje ludzi, którzy myślą już niemal wyłącznie o tym, jak będzie wyglądał świat po 13 października i jakie będzie ich miejsce w układzie władzy. Tym wszystkim dedykujemy pamiętny cytat z Michnika, który w styczniu 2015 r. został zapytany o prognozę wyborczą: „No to mnie się zdaje, że jeżeli tu się nie stanie coś takiego, co ja nie jestem w stanie przewidzieć, że Komorowski po pijanemu na pasach przejedzie niepełnosprawną zakonnicę w ciąży, no to oczywiście, że będzie prezydentem!". Politycy prawicy, od tego cytatu zaczynajcie każdy dzień – aż do 11 października włącznie.

eprasa.pl c98308c2a0

Klub hejtusia



KRZYSZTOF FEUSETTE

Al-Jachira: Bo ja już nie wiem, co można. Ja za wszystko muszę przepraszać. Mieliśmy na manifestacjach transparenty „bób, humus, włoszczyzna" i było fajnie. Ale jak Al-Jachira sobie fotkę zrobiła, to od razu wielki krzyk, że wypad z listy. A w d... mnie pocałujcie. À propos – planuję teraz taki happening, żeby się nie bać i pokazać...

Nidres: Dosyć, do cholery! Czy pani zwariowała?! Czy pani nikt nie wytłumaczył, czym jest kampania wyborcza?

Al-Jachira: Jak pan buciki Kaczyńskiemu w Sejmie rzucał, to też była kampania...

Nidres: Sklej szminkę, gówniaro, bo jeszcze długo nie będziesz ze mną w hejcie startować. Grzebałaś kiedyś pisowcom w szafkach?

Al-Jachira: Nie. Ale à propos grzebania, to planuję teraz taki happening...

Sok z Kozaka: Happeningi są dla leśnych dziadków. Co nam dała popularność? Że kłamiemy. Zmyślamy wypowiedź, puszczamy jako cytat z dopiskiem: „Dość pisowskiej mowy nienawiści", i płyniemy jak w kolektorze. Ogórkowej daliśmy taki cytat, że tylko pedofil mógł go wymyślić, a myśmy dali radę...

Farma Brejzów: Kłamstwa kłamstwami, ale to musi być ogień z wielu dział. A każde działo w innym dziale ratusza. Myśmy takie cuda wymyślali, żeby pisówie dokopać, że szczerba mała. Cały czas się taka brejza lała, to znaczy breja...

SiniRazem: I o to chodzi. Razem jesteśmy bardziej sini. Tylko trzeba sprytnie, bo teraz nam bardziej na ręce patrzą. Na przykład groźby karalne proponujemy przesyłać wyłącznie z kont anonimowych...

Pamiętny Moryc: Wam patrzą? A co z nami zrobili? Rzeź niewiniątek. No, gdzie ja mogłem przypuszczać, że jak będę świra udawał, to ktoś pomyśli, że ja świra udaję? Taka wspaniała akcja, taka młodzieżowa... I co? Jeden Zbysiu Hołdys stanął w naszej obronie. Bo sam brał udział.

Al-Jachira: Coś wam powiem: nastały czasy hejtu na hejterów. I dlatego zamierzam teraz pokazać nagą prawdę poprzez gołą...

Nidres: Ja panią skreślam. Ale Grzegorz nie i Małgosia też nie. Więc jeszcze raz wytłumaczę ci, dziecko, jak krowie na rowie: walczymy o centrum. A centrum nie lubi ani pajacowania, ani bluzgania, ani rżnięcia głupa....

Farma Brejzów: To co my mamy robić?

Nidres: To samo! Wy robicie swoje, my swoje. Wy hejtujecie, my potępiamy. Wy plujecie, my podajemy chusteczkę. Wy wymiotujecie, my spuszczamy wodę. Ale ta dziewczynka startuje w wyborach, więc nie może przeginać. Do wyborów. Widzieliście plakaty, jak Małgosia kobietę przytula? Słyszeliście o akcji „Powiedz Kidawie o sprawie"?

Al-Jachira: Lepsza by była „Powiedz Al-Jachirze o świrze". Ludzie mogliby donosić, kto w najbliższym otoczeniu chce głosować na PiS. Wtedy, ciach, przywiązujemy gościa w lesie. Na golasa. Żeby go komary zżarły. Ja teraz nawet planuję taki happening...

Sok z Kozaka: K..., co ona z tymi happeningami? Panią już zupełnie pogięło?

Al-Jachira: Nie świruj, koleś, bo to przez was hejt na nas teraz płynie. Niedługo nie będę mogła sobie jaj już nawet ze Smoleńska robić!

Wodzirej (junior): Nie, tego nie zrobią. Nie odważą się. To z czego ja będę żartował? Z ojca, że się wstydzi za granicą po polsku mówić, a nie wstydził się, jak ja Niemców z Polakami pomyliłem? Czy tam Cedynię z Grunwaldem... Nie Grunwaldem, tylko... No, też na „gie"...

Farma Brejzów: Może Gorzów? Bo jest takie miasto...

SiniRazem: Chyba Chorzów.

Pamiętny Moryc: A czy to jest istotne? Nie pogłębiajmy podziałów. Przypomnę, że zebraliśmy się, aby utworzyć Centrum Hejtu Anonimowego „Miazga", w skrócie CHAM, ale celowo. Bo z chamami trzeba po chamsku!. Ba, powiem więcej, z chamami trzeba jeszcze bardziej na chama niż same chamy, bo tylko po chamsku się chamstwo z chama... chamowi...

Nidres: Wystarczy, panie Wojtku, bo już panu żyłka wyszła. A nie chcielibyśmy, żeby pan nam tutaj ześwirował, prawda? Głosujmy. Kto jest za tym, by nasze nowe tajne centrum otrzymało imię Dominika Tarasa, bohatera walk o Krakowskie Przedmieście, tak haniebnie i podle, że przywołam ulubione słowo kolegi „Jurnego", skrzywdzonego potem przez własne słabości...

Al-Jachira: Ja się wstrzymuję.

Nidres: Dlaczego?

Al-Jachira: Bo chcę zostać na głosowaniu. A chce mi się od kwadransa...

SiniRazem: Przestańcie, musimy być razem, jeden zna wszystkich, wszyscy znają jednego. Czy jakoś tak. Albo hasztag.

Farma Brejzów: Sorry, ale my spadamy. Robota w urzędzie czeka, a samo się nie zhejtuje...

Sok z Kozaka: Ja też lecę. Przez ten zrzut kontrolowany nie ma w co rąk włożyć w ratuszu. A pluć trzeba.

Al-Jachira: No i w końcu nie zdążyłam opowiedzieć, co teraz planuję. Zobaczycie: jeszcze będziecie płakali, że nic nie wiedzieliście.

65/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

TABLICE PAMIĘCI

Ludzka odwaga w nieludzkich czasach
i pamięć, którą trzeba pielęgnować

PGE Energia Ciepła w ramach projektu

TABLICE PAMIĘCI

zaprasza na

KONCERT MIASTO PAMIĘCI

WYSTĄPIĄ:

LUXTORPEDA

PIOTR KARPIENIA
z repertuarem obejmującym pieśni patriotyczne w nowych aranżacjach

BARTAS SZYMONIAK
z interpretacjami wierszy autorów pokolenia Kolumbów

Muzeum Wojska Polskiego, Warszawa, Al. Jerozolimskie 3

5 października 2019 r. | Start: 15.30 **| Wstęp wolny**

Części muzycznej będą towarzyszyć archiwalne zdjęcia i wspomnienia kombatantów

PGE Energia Ciepła S.A.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

80. ROCZNICA WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Logo obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej zostało zamówione przez Kancelarię Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej



Fot. East News/SAUL LOEB/AFP

O współpracy obronnej i wizach

Podczas swej pięciodniowej wizyty w USA prezydent Andrzej Duda dwukrotnie spotkał się z Donaldem Trumpem – najpierw rozmawiali z sobą w cztery oczy, później zaś siedzieli obok siebie podczas uroczystego śniadania wydanego przez sekretarza generalnego ONZ z okazji 74. sesji Zgromadzenia Ogólnego tej organizacji.

Najważniejszym punktem amerykańskiej podróży Andrzeja Dudy było podpisanie deklaracji o współpracy obronnej, dotyczącej lokalizacji w Polsce oddziałów armii Stanów Zjednoczonych. Na mocy porozumienia na terenie naszego kraju będzie stacjonować ok. 4,5 tys. żołnierzy US Army. Kolejny tysiąc zostanie rozlokowany nieco później.

Wybrano też miejsca, w których znajdzie się amerykański personel wojskowy. Główną siedzibą Centrum Szkolenia Bojowego dla sił zbrojnych obu państw będzie Drawsko Pomorskie. Lotnicza baza załadunkowo-rozładunkowa znajdzie się we Wrocławiu-Strachowicach. W Łasku kwaterować ma eskadra zdalnie sterowanych statków powietrznych US Air Force. W Powidzu będzie stacjonować lotnicza brygada batalionu bojowego wsparcia logistycznego. Znajdzie się tam również obiekt sił specjalnych, podobnie zresztą jak w Lublińcu. Z kolei w Poznaniu ma zostać ulokowana siedziba wysuniętego dowództwa dywizyjnego oraz grupy wsparcia na teatrze Sił Lądowych USA. Toczą się natomiast rozmowy na temat lokalizacji pancernej brygady bojowej. Polacy wolą, by było to bliżej naszej wschodniej granicy, Amerykanie preferują raczej zachód kraju.

Drugim najważniejszym punktem wizyty była zapowiedź zniesienia dla Polaków wiz do USA. Donald Trump obiecał, że sprawa powinna zostać sfinalizowana w ciągu najbliższych kilku miesięcy. „Może pan powiedzieć swoim rodakom w Polsce i w Stanach Zjednoczonych, że prezydentowi Trumpowi się udało, a nikomu innemu się to nie udało" – zwrócił się do Andrzeja Dudy gospodarz Białego Domu. Zapowiedział też swą rychłą wizytę w Polsce. Publicyści spekulują, że może dojść do tego w grudniu przy okazji szczytu NATO w Londynie.

Grzegorz Górny

epresa.pl c98308a2a0







Niebezpieczne związki

Ukraina

Ujawniony w ostatnim tygodniu zapis lipcowej rozmowy Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim może się stać przyczyną sporych kłopotów dla obu prezydentów. W rozmowie tej Trump zachęcał Zełenskiego, aby ten zajął się śledztwem dotyczącym Huntera Bidena – syna Joe Bidena, amerykańskiego wiceprezydenta w administracji Baracka Obamy, a dziś jednego z najpoważniejszych rywali Trumpa w przyszłorocznych wyborach w Ameryce.

Biden junior w 2014 r. wszedł do władz ukraińskiej spółki gazowej Burisma, krótko po wizycie jego ojca na Ukrainie. Problem w tym, że Burisma, powiązana z oligarchą Mykołą Złoczewskim, nie była całkiem „czystą" spółką. Złoczewskiego podejrzewano o malwersacje i łapówkarstwo, a wokół jego interesów, w tym Burismy, prowadzone było śledztwo. Joe Biden miał naciskać na ówczesne władze ukraińskie, aby pozbyły się prowadzącego dochodzenie prokuratora generalnego Wiktora Szokina. I rzeczywiście, w marcu 2016 r. Szokin został zwolniony, oficjalnie na własną prośbę.

W tym roku Trump, po wygranych przez Zełenskiego wyborach, wrócił do tej ciągle niejasnej sprawy. W ujawnionej na żądanie kongresmenów rozmowie z Zełenskim poprosił ukraińskiego prezydenta o ponowne przyjrzenie się interesom młodego Bidena. Z zapisu rozmowy nie wynika, jakoby Trump wywierał nacisk na Zełenskiego, ale trudno nie zauważyć, że zaledwie kilka dni wcześniej Amerykanie wstrzymali wartą 400 mln dol. pomoc wojskową dla Ukrainy, uzasadniając oficjalnie tę decyzję jako odpowiedź na brak podobnego wsparcia ze strony Francji i Niemiec. Nic zatem dziwnego, że łącząc te fakty, demokraci uznali zachowanie Trumpa za wywieranie niedozwolonej presji, której celem miałoby być skompromitowanie ich głównego kandydata do Białego Domu, i wszczęli śledztwo zmierzające do impeachmentu Trumpa.

Jednak nie tylko Trump może mieć kłopoty. Również Zełenski znalazł się w niezręcznej sytuacji. Z zapisu rozmowy wynika bowiem, że jest rozżalony postawą Niemiec oraz Francji wobec konfliktu w Donbasie. Miał się też zgodzić na postulowane przez Trumpa wznowienie śledztwa w sprawie Bidena, co zostało zinterpretowane jako uległość wobec Waszyngtonu i zapowiedź możliwego zbliżenia z Trumpem.

W tej sytuacji – jak oceniają niektórzy komentatorzy – Zełenski ograniczył swoje pole manewru. Inna rzecz, że gdyby nie polityka Francji i Niemiec, skłaniających się ku Rosji, prezydent Ukrainy nie musiałby zapewne szukać alternatywy za oceanem. Nie ulega jednak wątpliwości, że Zełenski sparzył się na rozmowie z Trumpem. Zgadzając się na jej ujawnienie, Biały Dom wystawił bowiem ukraińskiego prezydenta do wiatru. Konsekwencją może być osłabienie amerykańskich wpływów na Ukrainie, a może i nawet poza nią. Nikt przecież nie lubi być wystawiany do wiatru.

Konrad Kołodziejski

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com
Fot. Sergei Chuzavkov/Shutterstock.com

Meksyk

Kartele kontra Kościół

Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie alarmuje o rosnącej liczbie księży katolickich prześladowanych w Meksyku. Nie są to jednak – jak w XX stuleciu – represje inicjowane przez antyklerykalne władze państwa wywodzące się z Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Tym razem kapłani padają ofiarą zastraszeń, porwań, pobić, tortur, a nawet skrytobójczych mordów ze strony zorganizowanych grup przestępczych. Według oficjalnych danych od 2012 r. kartele narkotykowe działające w tym kraju zabiły 27 duchownych, a dziesiątki innych szykanowały na różne sposoby.

Powodem agresji wobec meksykańskiego kleru jest sprzeciw księży wobec handlu narkotykami. W ostatnich latach stało się normą, że gangi wysyłają swych ludzi na msze, by ci słuchali, co kapłani mówią podczas kazań. Były rzecznik archidiecezji Mexico City ks. Hugo Valdemar Romero twierdzi, że kartele mają swoich „szpiegów" nawet wśród dzieci, które donoszą, co było mówione na katechezach. Jeśli się okaże, że kaznodzieje potępiają plagę narkomanii i stojących za nią handlarzy, mogą się liczyć z niezapowiedzianą wizytą nieznanych gości, którzy przyjdą z „ostatnim ostrzeżeniem". Jeśli kapłani mimo to nie zaprzestają krytyki, stają się ofiarami przemocy. Najczęściej są to brutalne pobicia, a w przypadku krnąbrnych księży nawet zabójstwa. Taki los spotkał np. miesiąc temu ugodzonego śmiertelnie nożem ks. José Martína Guzmána Vegę z Matamoros przy granicy z USA.

W raporcie meksykańskiego Katolickiego Centrum Multimedialnego (CCM) czytamy, iż niegdyś „Kościół był szanowany, istniała bojaźń Boża, święte pomieszczenia pozostawiano w spokoju, żaden kapłan zaś nie mógł zostać zaatakowany z powodu godności, którą reprezentował". Dziś – jak zauważają autorzy tekstu – to już przeszłość. Obecnie „styl życia i treść kazań czynią z nich [księży] cel przestępców". Dyrektor CCM Omar Sotelo uważa, że systematyczne prześladowanie duchowieństwa prowadzi do tego, iż „ludność jest zdana na życie w terrorze, milczeniu i korupcji".

Grzegorz Górny

eprasa.pl c98308c2a0



Fot. Kathy Matsunami/Shutterstock.com

Rosja

Sportowcy na dopingu

W miniony poniedziałek Światowa Agencja Antydopingowa (WADA) po posiedzeniu swego komitetu wykonawczego w Tokio wdrożyła oficjalną procedurę wymierzoną w rosyjskie służby antydopingowe. Mają one teraz trzy tygodnie na wyjaśnienie „niespójności" oraz wytłumaczenie ujawnionych „śladów manipulacji" w przekazanej WADA w styczniu bazie danych.

Precyzyjnie rzecz ujmując, chodzi o to, że porównując dane przekazane WADA w 2017 r. przez Grigorija Rodczenkowa, byłego kierownika moskiewskiego laboratorium antydopingowego ukrywającego się obecnie w Stanach Zjednoczonych, który ujawnił zorganizowany przez rosyjskie władze proceder fałszowania badań, z danymi udostępnionymi przez Rosję w tym roku, eksperci międzynarodowi dopatrzyli się „ingerencji". Ich zdaniem mogą one wskazywać na usuwanie i podmienianie tzw. próbek B rosyjskich sportowców mających kłopoty z badaniami na używanie niedozwolonych substancji.

Jeżeli odpowiedzi rosyjskich władz uznane zostaną za pokrętne lub niewystarczające, to po raz kolejny Rosyjska Agencja Antydopingowa może zostać pozbawiona międzynarodowej akredytacji, co może oznaczać nawet wykluczenie sportowców z tego kraju z mających się odbyć w 2020 r. igrzysk olimpijskich w Tokio. W rosyjskich mediach pojawiły się też spekulacje, iż w razie niekorzystnego dla Rosji rozwoju wydarzeń start jej reprezentacji piłkarskiej w mistrzostwach świata w Katarze w 2022 r. również może być zagrożony.

Już wcześniej rosyjskie media informowały, że po analizie przekazanych WADA danych z moskiewskiego laboratorium testy antydopingowe 298 rosyjskich sportowców wydały się podejrzane, przeciwko 43 zaś już rozpoczęto oficjalne dochodzenie. Jednak oskarżenie o manipulowanie danymi przez laboratorium ma zdaniem ekspertów znacznie większy ciężar gatunkowy, tym bardziej że właśnie z tego powodu rosyjskie służby antydopingowe już raz zostały pozbawione akredytacji. Gdyby oskarżenia się potwierdziły, mielibyśmy do czynienia z recydywą.

Szef Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego Stanisław Pozdniakow powiedział mediom, że „sytuacja jest bardzo poważna". Marija Łasickiene, wielokrotna rosyjska medalistka Europy i świata w skoku wzwyż, w pierwszej reakcji na doniesienia mediów napisała na swojej stronie w jednym z portali społecznościowych, iż raczej wyjedzie z kraju po to, aby być dostępna dla przedstawicieli międzynarodowych służb antydopingowych, niż „po raz drugi przepuści olimpiadę z powodu ludzi, którzy nie są w stanie uczciwie wypełniać swoich obowiązków".

Rosyjskie media zwracają też uwagę na to, że kiedy w listopadzie Międzynarodowa Agencja Antydopingowa otrzyma raport i będzie podejmowała decyzje w sprawie Rosji, jej pracami kierował będzie już Witold Bańka, co zdaniem tamtejszych komentatorów dodatkowo ogranicza pole manewru rosyjskich władz.

Marek Budzisz

Wielka niewiadoma

USA

Nie jest tajemnicą, że Donald Trump „nie bierze zakładników" w swoich medialnych wojnach. Nowy, czwarty już, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Trumpa jest więc idealnym wyborem w kontekście tego powiedzenia. Nominowany w miejsce Johna Boltona Robert O'Brien to były negocjator ds. zakładników. „Pracowałem długo i ciężko z Robertem. Będzie robił dobrą robotę" – ogłosił swoją decyzję (oczywiście na Twitterze) Trump. To ciekawa zmiana w jego administracji. O'Brien jest prawnikiem i ekspertem Partii Republikańskiej od polityki zagranicznej. Obejmuje stanowisko w ważnym dla administracji Trumpa momencie. Na horyzoncie pojawia się konflikt z Iranem. Nie wiadomo w jakiej formie, ale można być pewnym, że wybuchnie na pewno. Do tego dochodzą negocjacje z Koreą Północną w kwestii jej nuklearnego arsenału oraz wojna handlowa z Chinami.

O'Brien pracował już dla administracji George'a W. Busha i jest autorem „While America Slept: Restoring American Leadership to a World in Crisis" z 2016 r., gdzie stawiał tezę o potrzebie powrotu Ameryki do światowego przywództwa. Wiele tez w książce było zbieżnych z poglądami Trumpa, szczególnie w kwestii spojrzenia na relacje z Chinami i Iranem. O'Brien bardzo mocno krytykował też za politykę zagraniczną administrację Baracka Obamy.

Wydaje się, że właśnie konflikt z Iranem jest kluczowy dla decyzji o mianowaniu O'Briena. 14 września doszło do ataków na rafinerię i pole naftowe w Arabii Saudyjskiej. USA i Arabia Saudyjska winą za atak obarczyły Iran. W zeszłym tygodniu na forum ONZ Trump nawoływał, by wywierać presję na Iran. „Wszystkie kraje mają obowiązek działać. Żaden odpowiedzialny rząd nie powinien finansować irańskiej żądzy krwi. Dopóki zagrażające zachowanie Iranu będzie kontynuowane, sankcje nie zostaną zniesione, lecz będą zaostrzane" – mówił Trump.

Czy O'Brien będzie tajną bronią prezydenta? W przeciwieństwie do poprzedników nie jest generałem ani nie kończył prestiżowych kuźni kadr w polityce zagranicznej na Harvard Kennedy School albo Georgetown School of Foreign Service. W pewnym stopniu jest wielką niewiadomą. Jak sam Donald Trump, który niespodziewanie wszedł do Białego Domu.

Łukasz Adamski

eprasa.pl c98308c2a0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szlam w głowach



Jan Pietrzak

Kandydatka PO do Sejmu Dżakira, stojąc przed hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna", trzymała transparent z napisem „bób, humus, włoszczyzna". Zadowolona z siebie wyjaśniła, że chodzi o ograniczenie spożycia mięsa. Krowy i świnie pewnie pójdą na nią głosować. Ciekawe, jak zareagują jej szefowie Szmacina i Bidawa Końska. (Skoro w tej partii można przekręcać święte dla Polaków słowa, to i nazwiska też można). Koślawienie nazwisk uważam za chwyt niegodny mojego szlachetnego zawodu, ale jak to w życiu bywa, zdarzają się wyjątki, np. wybory posłów. Jest pewne, że wesołutka pańcia, jeżeli wejdzie do Sejmu, zachowywać się będzie tak, jak zademonstrowała pod ważnym pomnikiem. A to może przeszkadzać w obserwowaniu obrad.

Jak wiadomo, pasjonuję się polityką. Jest znacznie ciekawsza od tańca z gwizdami, a nawet od żony szukającej rolnika (z całym szacunkiem dla tych produkcji zapewne przez kogoś cenionych, milion w piku!). Piszę te słowa wyłącznie we własnym interesie. Nie chcę, by jakaś z...ra wchodziła na mównicę sejmową i przeszkadzała mądrym ludziom w pracy. Praca dla Polski nie jest lekka ani łatwa, a bardzo potrzebna, wręcz niezbędna.

Ostatnio świat się mocno skomplikował. Niewielu jest ludzi przygotowanych umysłowo do ogarnięcia wyzwań stojących przed Polakami w nadchodzących latach. Według prywatnej sondy jedynie 55 proc. składu parlamentu ma możliwości intelektualne i moralne, by sprostać potrzebom czasu. Chodzi o to, żeby pozostali nie świrowali jak „jelita", nie truli „sokiem z buraka", nie trollowali jak brejzy i łajzy, nie wtrącali się do spraw, których nie są w stanie pojąć, ze względu na szlam w głowach. To jest szlam z odchodów, który władze Warszawy muszą codziennie ukrywać przed mieszkańcami, ponieważ nie działa oczyszczalnia, jaką zostawiła w spadku bufetowa. Po zainkasowaniu kilku miliardów jej firmy ogłosiły upadłość, ostatni inżynier wyjechał na Kajmany i zmienił nazwisko. Nikt nie wie, jak Czajkę naprawić. A szlamu przybywa. Ładują we łby swoich zwolenników i ci rozwożą po całym kraju. Czasami się z tych łbów coś ulewa, jak ww. kandydatce, i wtedy dostrzegamy powagę tej zabawnej sytuacji...

Co krzepi w imperium

Z aktorem Ireneuszem Czopem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jakie zakusy mieli twórcy pierwszej w tym sezonie premiery Teatru TV – spektaklu „Imperium"?

Ireneusz Czop: Pytanie brzmi raczej, jakie zakusy mieli: Eugeniusz Kwiatkowski, budowniczy Gdyni (którego gra Mariusz Ostrowski), i Melchior Wańkowicz, w którego się wcielam. Wojciech Tomczyk, autor dramatu, pokazał rozmowę dwóch wybitnych ludzi. Kochających Polskę. Świadomych prawdy: miejsca, przestrzeni, czasu; tego, w jakiej sytuacji są ich ziomkowie.

Jak przebiega to spotkanie?

Wańkowicz przychodzi na nie z córką [tu debiutująca w Teatrze TV Helena Englert – przyp. red.], co powoduje dla niego więcej komplikacji niż wsparcia. Nagle konfrontuje się z myślą polityczną czy ekonomiczną jako ojciec swojego dziecka. Myśli o przyszłości córki, która za chwilę wejdzie w dorosły świat.

Przywołanie starszej z córek pisarza budzi wspomnienie wzruszającej młodzieńczej lektury – „Ziela na kraterze", a jaka jest pana ulubiona książka Wankowicza?

Oczywiście „Na tropach Smętka".

Tekst międzywojenny. Z tamtego czasu pochodzi też słynne hasło reklamowe...

„Cukier krzepi".

Co w tym spektaklu krzepi?

Jasność myślenia, oceny, świadomość celu. To spektakl o bardzo konkretnej rozmowie, która prowadzi do swoistej unii między jej uczestnikami. Mówią oni: „Trudno, rezygnujemy z pewnych rzeczy w imię czegoś ważniejszego, by znaleźć wspólną przestrzeń".

Przypomnijmy datę premiery „Imperium" w reż. Roberta Talarczyka.

Poniedziałek, 30 września, godz. 21. Oczywiście w TVP1.



Fot. Jordan Krzemiński/AKPA

eprasa.pl c98308c2a0

BRONISŁAW WILDSTEIN

O banalizacji oraz władzy



„Cała Polska czyta o seksie” – taki tytuł nosiła kolejna akcja celebrytów po kampanii „Nie świruj, idź na wybory”. Myślałem, że pójdą za ciosem i będzie: „Nie świruj, p... się!”, a tu unik. Ale ważny jest przekaz. To promocja książki również celebrytki Anji Rubik, której fragmenty cała Polska odkrywała za pośrednictwem swoich znanych przedstawicieli. Oprócz informacyjnego waloru mamy więc do czynienia z ujmującą środowiskową solidarnością.

Książka to wypowiedzi odpowiednio dobranych teoretyków, którzy zachwalają uroki wszelkich rodzajów seksu. Celebryci uznali, że to właśnie potrzebne jest całej Polsce: od przedszkolaków po staruszków. Maciej Stuhr czyta o tym swoim małym dzieciom, a leciwa Agnieszka Holland tłumaczy słuchaczom tajniki wydłużania penisa. Rubik, kończąca już, jak się zdaje, karierę modelki postanowiła się przekwalifikować na apostoła seksu, od którego, jak sama twierdzi, jest uzależniona. Wprawdzie lansowanie uzależnień wydaje się dość kontrowersyjne, ale nie w tym wypadku, bo, znowu odwołam się do Rubik: „Seks to zdrowie i jest dobry dla skóry”. To dzięki tej aktywności dowiedziała się ona o przydatności mózgu, który jest „największą sferą erogenną”.

Lewica współczesna ma obsesję na temat seksu. To skądinąd dość oczywiste. Jeśli głównym jej hasłem jest emancypacja, czyli wyzwalanie się z oków tradycyjnej, patriarchalnej, burżuazyjnej (epitety można kontynuować), a więc z każdej znanej nam kultury, to jednym z podstawowych tego aspektów będzie likwidacja wszystkich związanych z nią tabu. Gdyż ta szczególnie istotna sfera ludzkiego życia, jak zresztą wszystkie inne, w każdym porządku społecznym wiąże się z określonymi ograniczeniami. Rewolucjoniści postanowili ją z nich oswobodzić. Poprzedniczka Rubik, Aleksandra Kołłontaj, głosiła w porewolucyjnej Rosji, że „miłość” jak każdą inną potrzebę należy zaspokajać szybko i łatwo, a akt seksualny powinien przypominać wypicie szklanki wody. Pierwotnie spotkała się z aprobatą bolszewików, ale kiedy okazało się, że postawa taka staje się groźna dla każdego, nawet sowieckiego społeczeństwa, nastąpił zwrot o 180 stopni i wprowadzony został komunistyczny purytanizm. Kołłontaj posłusznie zaakceptowała zmianę i wiernie trwała tak przy Stalinie, jak wcześniej przy Leninie. Z apeli nowych rewolucjonistów zrozumieć musimy, że najważniejszym przedmiotem edukacji szkolnej powinien być seks. Z jednej strony słyszymy, że należy odciążyć biednych, przeładowanych teoretyczną wiedzą uczniów, zredukować lekcje historii i matematyki, obciąć listę lektur i... koniecznie wprowadzić przysposobienie seksualne.

Pomyślałby kto, że akurat tę wiedzę młodzi ludzie nabędą z własnej ochoty i w przeciwieństwie do przyswajania klasyki tudzież logicznego myślenia nie potrzebują w tej mierze szczególnej zachęty.

Z czym zaznajamiać się mają uczniowie w trakcie zgłębiania tego fundamentalnego przedmiotu? Z technikami seksualnymi? Tego akurat mają pod dostatkiem w dowolnym okienku internetu. Słyszymy, że dzięki owej wiedzy unikniemy niepowołanych ciąż tudzież partnerzy nauczą się szanować siebie nawzajem. Czy znaczy to, że przez wszystkie godziny lekcyjne edukatorzy będą uczyli ich perfekcyjnego zakładania prezerwatyw i powtarzali, że ludzie mają godność? Dlaczego jednak przy tej okazji? Wydawałoby się, że cały proces edukacji służyć powinien budowaniu właściwych relacji międzyludzkich, a nauka seksu nie jest do tego potrzebna.

Potrzebna jest nowym rewolucjonistom do zmiany postaw. Chodzi o to, aby wtłoczyć do głowy młodym ludziom antypedagogikę i nauczyć ich, że wszystko w tej dziedzinie jest równoprawne, a seks to po prostu fajna zabawa. Tę wiedzę młodzi ludzie łykną jak szklankę wody.

Pierwszą konsekwencją będzie banalizacja erotyzmu. W nieustannym karnawale, jakim ma stać się zgodnie z emancypacyjnym dekalogiem życie, erotyzm staje się jedną z rozrywek i przestaje cokolwiek znaczyć. Tyle że przy takiej postawie wszystko przestaje mieć wagę.

To jednak tylko pierwszy etap. Życie nie może być nieustającym karnawałem, a postulat taki rodzi wcale niekarnawałowe konsekwencje. Przerażające następstwa seksualnej rewolucji chyba najbardziej przenikliwie opisał w powieści „Cząstki elementarne” Michel Houellebecq.

Dlatego tak naprawdę nie chodzi o karnawałowe wyzwolenie, o czym zarówno Rubik, jak i czytający jej mądrości celebryci nie mają pojęcia. Chodzi o rozbicie tradycyjnych form kultury, co pozwoli zagubionym ludziom narzucić sobie dowolny jej kształt, np. LGBT, i da władzę tym, którzy będą ją animowali.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c98308c2a0

OGNIEM NA WPROST

Sztafeta plugastw



Prymas Polski Wojciech Polak podczas konferencji w Muzeum Polin odniósł się do słów Jarosława Kaczyńskiego: „Chrześcijaństwo jest częścią naszej tożsamości narodowej. Kościół był, jest dzierżycielem jedynego powszechnego systemu wartości. Poza nim mamy tylko nihilizm". Od tych słów dość zdecydowanie odciął się hierarcha, twierdząc, że „absolutnie nie jest to wizja Kościoła, która jest związana z Kościołem katolickim". W dyskurs włączył się niespodziewanie ks. Stanisław Małkowski, socjolog, publicysta, społecznik, zasłużony działacz opozycji demokratycznej w PRL. Skrytykował on wypowiedź prymasa, zauważając, że: „Ksiądz Prymas bywa nieroztropny w swoich wypowiedziach, które mówi w taki sposób kategoryczny. A z nauką, którą głosi Kościół, czasem ma i niewiele wspólnego. Ja bym się nie przejmował tym, co mówi Prymas Polak. Niech sobie mówi, co chce. My mamy swoją wiarę i nie musimy się oglądać na jakichś hierarchów, którzy swoje myśli chcą przedstawić jako prawie dogmat" – powiedział kapłan. Jak mało kiedy w przypadku duchownego Wojciecha Polaka sprawdza się stara polska maksyma: mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Hołubiony przez zakonnika marianów Adama Bonieckiego jego imiennik muzyk „Nergal" Darski dopuścił się kolejnego bezkarnego aktu barbarzyństwa. Darł już Biblię, chwalił się sztucznym penisem z przymocowanym do niego ukrzyżowanym Chrystusem, teraz zbezcześcił obraz z wizerunkiem Matki Boskiej. Prostacki „Nergal" z satanistycznym zacięciem umieścił na Facebooku fotografię, na której depcze obraz przedstawiający Matkę Bożą z napisem „O Matko pełna miłosierdzia, módl się za nami". Widać, że obraz został najpierw celowo zniszczony, jest wyrwany z ram. A co na to episkopat, prymas Wojciech Polak, ks. Kazimierz Sowa i Wojciech Lemański? Tak się kończy sądowe pobłażanie takim typkom jak Darski et consortes.

Skompromitowany polityk Stefan Niesiołowski w ramach „ostatnie podrygi ginącej ostrygi" (po wyborach ma zejść z sejmowej sceny) zdążył jeszcze udzielić wywiadu rzeki dziennikarzowi brukowca „Super Express". Niesiołowski nie byłby sobą, gdyby nie strzyknął jadem. Jednak tym razem zwymyślał szefa Platformy Obywatelskiej Grzegorza Schetynę. Określił go mianem „pasożyta, który zniszczył Platformę i który niszczy polską demokrację, bo doprowadził do tego, że będziemy mieli kolejne cztery lata rządów PiS". Mówi się, że jak byli czy obecni platformersi nie mają kogo hejtować, to hejtują siebie. Sądzę, że przyszła poseł Koalicji Obywatelskiej Klaudia Jachira powinna się jak najszybciej spotkać z odchodzącym deputowanym Niesiołowskim przy „fasolce po bretońsku" celem inspiracji do wymyślania nowych obelg. Owocem tej parlamentarnej sztafety byłyby kolejne konstrukcje plugastw, których jeszcze nie wyrzuciła z siebie Jachira.

Urząd Miejski w Szczytnie rozesłał do szkół ankietę skierowaną do 10- i 11-letnich dzieci. Celem badania miało być „zdiagnozowanie problemów społecznych w szkole". Dziewczynki i chłopcy musieli odpowiedzieć m.in. na takie pytania jak:
– Czego obawiasz się najbardziej przy uprawianiu seksu?
– Jak myślisz, ilu twoich rówieśników ma pierwszy stosunek za sobą?
– Jaki wiek jest odpowiedni, aby rozpocząć współżycie seksualne?
Co więcej, dzieci były również pytanie o to: „Co mogłoby cię skłonić do współżycia?"!

„Gdy mój syn wrócił do domu i mi o tym opowiedział, nie wierzyłam w to, co słyszę" – mówi matka jednego dziecka. Na wysokości zadania stanęła dyrekcja jednej ze szkół, która zauważyła zagrożenie (brawo!), ale postanowiła nie reagować. Polecenie przyszło bowiem z samego urzędu miejskiego i lepiej dla własnej kariery ratuszowi w drogę nie wchodzić. Nawet gdyby zalęgli się w nim ankieterzy pedofile.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c98308c2a0

Zielona Polska



Marta Kaczyńska-Zielińska

W 2018 r. zapadł wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE, w którym stwierdzono, że w latach 2008–2015 Polska nagminnie przekraczała dobowe limity stężenia szkodliwego dla środowiska pyłu PM10. Powyższe dane znajdują potwierdzenie w raporcie NIK za lata 2007–2015, zgodnie z którym we wskazanym okresie zaniechano podjęcia wystarczających działań dla poprawy jakości powietrza.

Po 2015 r. rząd PiS pierwszy w historii opracował i wdrożył realizację wieloletniego programu poprawy jakości powietrza Czyste Powietrze. Według szacunków w ramach programu do końca 2019 r. złożonych zostanie 100 tys. wniosków o dofinansowanie modernizacji źródeł ciepła i termoizolacji budynków. Dotychczas rozdysponowano 500 mln zł i zawarto 28 tys. umów. Dzięki funkcjonowaniu pionierskiej inicjatywy rządu PiS do 2030 r. o połowę ma zostać zmniejszona emisja dwutlenku węgla z sektora bytowo-komunalnego. W ciągu ostatnich czterech lat poprawiła się jakość paliw stałych za sprawą wyeliminowania 14 proc. ich masy. Kotły na takie paliwo muszą zaś spełniać bardziej restrykcyjne niż uprzednio normy dotyczące emisji dwutlenku węgla.

PiS jest także pomysłodawcą programu Mój Prąd (wartości 1 mld zł), którego celem jest rozpowszechnienie OZE poprzez partycypację państwa w połowie (maksymalnie 5 tys. zł) kosztów instalacji fotowoltaicznych zakładanych w gospodarstwach domowych.

Podczas odbywającego się pod koniec 2018 r. w Katowicach szczytu klimatycznego COP24 Polska odniosła sukces organizacyjny i dyplomatyczny, skutecznie przeprowadzając proces ujednolicenia światowej polityki klimatycznej. W rezultacie obecni na szczycie przedstawiciele państw przyjęli jednogłośnie „Katowicki pakiet klimatyczny", który stanowi zbiór wytycznych wprowadzania w życie porozumienia paryskiego z 2015 r. poświęconego walce z globalnym wzrostem temperatury.

W związku z obserwowanymi i prognozowanymi zmianami klimatu rząd PiS postanowił pomóc samorządom i skoordynował działania przystosowawcze, sporządzając miejskie plany adaptacji (MPA44). To jedyna taka inicjatywa w Europie, w której administracja rządowa wspiera władze samorządowe w sprawach klimatycznych. Założeniem PiS jest, by Polska stała się bardziej zielona.

W ramach ochrony środowiska rząd planuje dalsze wspieranie rozwoju elektrycznego transportu publicznego i inwestycje w stacje ładowania pojazdów elektrycznych. Nową inicjatywą ma być zachęcanie konsumentów do używania opakowań wielokrotnego użytku objętych kaucją na zasadzie „Zwracasz opakowanie – dostajesz kaucję" i promowanie surowców pochodzących z recyklingu. W planach jest też lepsze zabezpieczenie odpadów pochodzących z działalności rolniczej, czemu służyć ma Program usuwania folii rolniczych i innych odpadów pochodzących z działalności rolniczej.

Dzięki działaniom rządu PiS uspokoiła się sytuacja na rynku odpadów bytowych. Monopol firm przetwarzających odpady komunalne został zniesiony, zlikwidowano także opłaty ryczałtowe za ich zagospodarowanie i w efekcie realne koszty ponoszone przez mieszkańców gmin przestały wzrastać w nieuzasadniony sposób. W przyszłości nieprawidłowościom na rynku śmieci ma dodatkowo zapobiegać elektroniczna ewidencja w postaci Bazy Danych o Odpadach. Obecnie funkcjonujące w opisanej branży firmy muszą posiadać monitoring miejsc przeznaczonych do składowania i magazynowania odpadów, a także zapewnić odpowiednią ochronę przeciwpożarową. Podmioty niespełniające wymagań są trwale eliminowane z rynku. PiS broni polskich granic przed przywozem odpadów z zagranicy poprzez wprowadzenie zakazu przywozu do naszego kraju, m.in. odpadów komunalnych i wszystkich rodzajów odpadów przeznaczonych do unieszkodliwiania.

REKLAMA



56/0719/F

eprasa.pl c98308c2a0

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Zerwać z hetero



Francuskie feministki wreszcie znalazły winnego całego światowego zła. Jest nim heteroseksualizm. Trzeba więc z nim zerwać, a wtedy znikną problemy świata. „Bycie feministką oznacza odrzucenie heteroseksualności jako takiej" – stwierdziły trzy działaczki w rozmowie z lewicowym magazynem „Les Inrockuptibles". Wywiad wpisał się w odbywający się w Paryżu festiwal nazwany „Wyjść z heteroseksualności". O sprawie pisze m.in. pch24.pl. Jedna z aktywistek, Juliet Drouar, która odmawia uznania się za mężczyznę lub kobietę, uważa, że „polityka" heteroseksualności produkuje „kobiecość i męskość", które nie istnieją w sposób naturalny. Według niej ciała są jedynie „archiwum seksizmu i patriarchatu". Podsumowując: teraz każda postępowa feministka powinna być neutralna płciowo. Tylko czy likwidacja kobiecości ma jeszcze coś wspólnego z walką o prawa kobiet? Co poszło nie tak?

41,2 mld zł

– tyle będzie w 2020 r. kosztował budżet państwa program Rodzina 500+

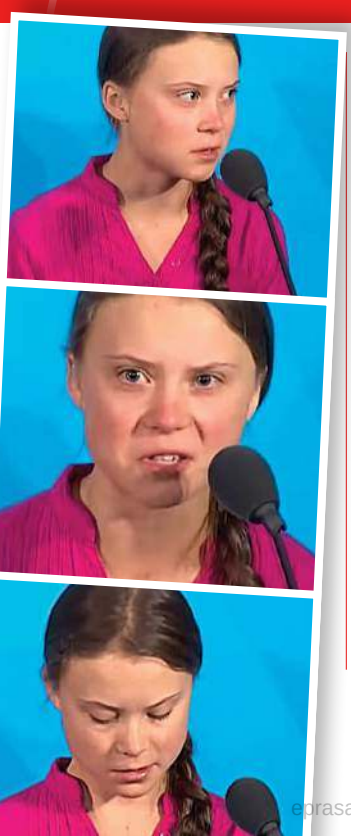
80 mld zł

– tyle pieniędzy trafiło do polskich rodzin od momentu uruchomienia programu Rodzina 500+

429,5 mld zł

– tyle mają wynieść wydatki i jednocześnie dochody państwa w 2020 r. Oznacza to, że budżet będzie zrównoważony, bez deficytu.

Złodzieje



„Ukradliście moje marzenia i moje dzieciństwo" – powiedziała 16-letnia Greta Thunberg podczas szczytu klimatycznego ONZ. I w jednym rację trzeba dziewczynie przyznać: ktoś ukradł jej dzieciństwo. Ale raczej nie był to Donald Trump czy inni ważni tego świata. Na jej miejscu miałabym raczej pretensję do rodziców, którzy pozwalają na to szaleństwo.

Seksrada



Dotykanie się, w tym w części intymne, to jeden z tematów, które znalazły się we wprowadzanym w jednym z angielskich hrabstw programie nauczania w szkołach podstawowych. „Program »Wszystko o mnie« został przez Radę Hrabstwa Warwickshire w środkowej Anglii wprowadzony w 241 szkołach podstawowych i może w przyszłym roku zostać przyjęty przez inne władze lokalne w ramach zmian w rządowym programie »Relacje i edukacja seksualna«" – informuje rp.pl. W ramach programu uczniowie w wieku 6–10 lat mają poznać zasady dotyczące samostymulacji. Mają się m.in. dowiedzieć, że dotykanie się w miejscach publicznych jest niekulturalne, ale w wannie, pod prysznicem lub w łóżku – jest w porządku. Podkreślmy raz jeszcze: program jest adresowany dla dzieci od szóstego roku życia. Ktoś powinien się solidnie rąbnąć w łeb. I wszystko jedno, czy zrobi to na ulicy czy pod prysznicem.

eprasa.pl c98308c2a0

Postępowy jak Francuz



Emmanuel Macron chciałby udostępnienia metody in vitro parom homoseksualnym i samotnym kobietom. A wszystko w sześć lat po wprowadzeniu ustawy o możliwości zawierania małżeństw osób tej samej płci. W przypadku par homoseksualnych akt urodzenia dziecka miałby zawierać nazwiska „matki i matki", a nie „matki i ojca". A Matka Natura na to: „Niemożliwe".

Jeżeli chcecie protestować na rzecz zmian w podejściu do ochrony klimatu, jedźcie do Polski i przekonajcie tych, których ja przekonać do reform nie umiem" – powiedział Emmanuel Macron. Prezydent Francji nie może sobie poradzić z aktywistami, więc chce ich przerzucić do Polski. Panu Macronowi już dziękujemy.

Pomyłka?

Na listach wyborczych Konfederacji pojawiła się Roksana Oraniec. Kandydatka, która szczyci się m.in. tym, że została drugą wicemiss krajobrazu w Chinach, deklaruje silne przywiązanie do wartości lewicowych. Może więc lepiej było kandydować z list jakieś lewicowej, a nie skrajnie prawicowej partii? No chyba że jak się jest miss krajobrazu, to do takich drobiazgów nie przywiązuje się wagi.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×2), YouTube, Facebook

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Totolotek zamiast demokracji



Dominik Zdort

Znamy się od lat, studiowaliśmy razem polonistykę. Ja zostałem dziennikarzem, on (nazwijmy go na użytek tego tekstu Tuniem) nauczycielem. Podobno świetnym nauczycielem. Wiem, że ma do swojego – trudnego – zawodu wielką pasję, wiem, że uwielbiają go kolejne pokolenia uczniów. Dorzucę jeszcze, że mam go za człowieka nie tylko mądrego i otwartego na świat, ale też niesłychanie kulturalnego i umiarkowanego w wydawaniu sądów.

Ostatnio jednak zrobił coś, co mnie zaszokowało. Na swoim profilu na Facebooku umieścił (zacytował) tekst, z którego wprost wynikało, że głosowanie na PiS jest jak praktykowanie pewnego zboczenia. „No musiałem:-)" – skomentował.

I jestem skonsternowany. Bo ja naprawdę bardzo lubię i cenię Tunia. Uwielbiam jego błyskotliwą małżonkę, ich bystre dzieci, przyjazne psy i koty. Że nie wspomnę o paelli, którą po mistrzowsku przyrządzają.

Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego Tunio to zrobił. Rozumiem, że mamy w Polsce do czynienia ze wzmożeniem. Rozhisteryzowani celebryci nagrywają filmiki porównujące tych, którzy nie chcą iść na wybory, do umysłowo chorych, a reżyserzy kręcą filmy przedstawiające konkretnych polityków jako pedofili. Ale miałem nadzieję, że ta histeria ominie moich przyjaciół.

Jedno chciałbym zastrzec. Otóż od dziecka bawią mnie anegdoty o wariatach, od młodości śmieszą dowcipy na temat homoseksualistów i innych dewiantów – i dobrze mi z tym. Nie mam wrażenia, że pan Wojciech Pszoniak, pan Olgierd Łukaszewicz i reszta opozycyjnych celebrytów w swoich filmikach obrazili chorych umysłowo – jeśli ktoś powinien czuć się urażony, to normalsi, którym żyje się we współczesnej Polsce dobrze i nie czują potrzeby uczestnictwa w wyborach. Podobnie jest z wpisem Tunia – dewianci, o których w nim mowa, są komiczni. Ale stwierdzenie, że głosowanie kogoś to dewiacja, jest obraźliwe dla wyborców.

I na koniec – namawianie niezdecydowanych, aby szli na wybory, uważam za działanie wybitnie szkodliwe, antydemokratyczne. O tym, na kogo oddać głos, powinny decydować przekonania i poglądy, a nie „poczucie obywatelskiego obowiązku", nastrój konkretnego dnia czy głupawe filmiki w internecie. Zachęcanie niezdecydowanych, aby poszli głosować, skutkuje tym, że wybory ze święta demokracji przekształcają się w konkurs piękności. I w totolotka.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

epiasa.pl c98308c2a0

RZECZY POSPOLITE

Żenadometr pęka



Tomasz Łysiak

Stare porzekadło konfucjańskie mówi: „Jeśli masz wroga, nie walcz z nim. Usiądź nad brzegiem rzeki i zaczekaj, aż woda przyniesie jego ciało". Mam wrażenie, że ten słynny bon mot można z powodzeniem zastosować w przedwyborczym okresie. Właściwie PiS wystarcza pokazywać, co zrobiło dotąd i co zamierza w przyszłości zrobić dla ludzi, żeby zdobyć sporą przewagę w wyborach. Dlaczego? Bo opozycja sama sobie co chwila strzela w stopę (lub kolano – w zależności od wersji innego porzekadła). Jednym z takich strzałów jest wystawienie na listach Koalicji Obywatelskiej Klaudii Jachiry. Pani Jachira bowiem ma ten specyficzny dar bełkotliwego, kiczowatego i pełnego patosu mówienia, który w odbiorcy prowokuje całą mieszaninę uczuć: od złości po rozbawienie podobne temu, które kiedyś budził swoimi wystąpieniami niejaki Kononowicz. Właściwie wystarczyłoby bez żadnego komentarza i oceny puszczać filmy z wypowiedziami Jachiry i podpisem, z którego komitetu startuje, żeby uzyskać efekt – bo to, co się na nich widzi i słyszy, mówi samo za siebie. Gdyby istniał „żenadometr", przyrząd do mierzenia poziomu żenady, to skala by się skończyła i pękłby natychmiast.

Jest jednak inny aspekt tej sprawy – nie tylko ta fatalna, infantylna forma, ale także treść. A ta jest środowiskowo spójna z przekazem opozycji: i tej schetynowej, i tej biedroniowej. Bo wyśmiewanie wiary, beka z katolików, szydzenie z Jarosława Kaczyńskiego, lżenie pamięci ofiar katastrofy smoleńskiej, to przecież nic innego, jak stosowane przez salon od lat techniki niszczenia przeciwnika politycznego. Innymi słowy w koślawej formie przekazu stosowanej przez Jachirę dobrze widać, jakie podłoże ideologiczne jest fundamentem dla całej formacji opozycyjnej. Czasem wydobycie sensu, treści, za pomocą wyjaskrawionej formy ujawnia prawdę o tym, co wcześniej nie dla wszystkich było oczywiste, bo łatwo ukryć faktyczne motywy pod gładką gadką biegłych warsztatowo polityków.

Dlatego politykom PiS wystarczy teraz prosić drugą stronę: dajcie jeszcze więcej Jachiry!

Grzechu, wtyczka Jara



Piotr Cywiński

„Wiem, że on się już nigdy nie powtórzy", skwitował Grzegorz Schetyna „incydent" swej pupilki z bobem, humusem i włoszczyzną. Można by pomyśleć, jaki wyrozumiały jest szef PO nie tylko dla Jachiry. Może chamidło, ta Jachira, może hucpiara, ignorantka, arogantka i ordynuska rzucająca „ch...mi", ale przydatna. Do czego przydatna? O tym za chwilę.

„Jachiry nie powinno być na listach KO", zirytowała się Katarzyna Lubnauer, odkrywszy, że coś tu śmierdzi. A czy sama szefowa Nowoczesnej w stanie szczątkowym na liście PO z przystawkami to wartość dodana? Zaiste, coś tu śmierdzi. Była koleżanka Lubnauer z .N, Kamila Gasiuk-Pihowicz, nie pastwi się nad Jachirą ani nad Lubnauer, poszła na targ w Różanie i sfotografowała się z kapustą. Ot, taki montaż intelektualny, że główka kosztuje teraz trzy razy tyle. Siedlecka „jedynka" KO nie dostrzegła tylko, że cena trzymanej przez nią okazałej kapusty była za sztukę, a nie za kilogram. Znaczy, dowód był, lecz na inteligencję Gasiuk-Pihowicz, równie przydatnej Schetynie jak Lubnauer i Jachira. Do czego? O tym za chwilę.

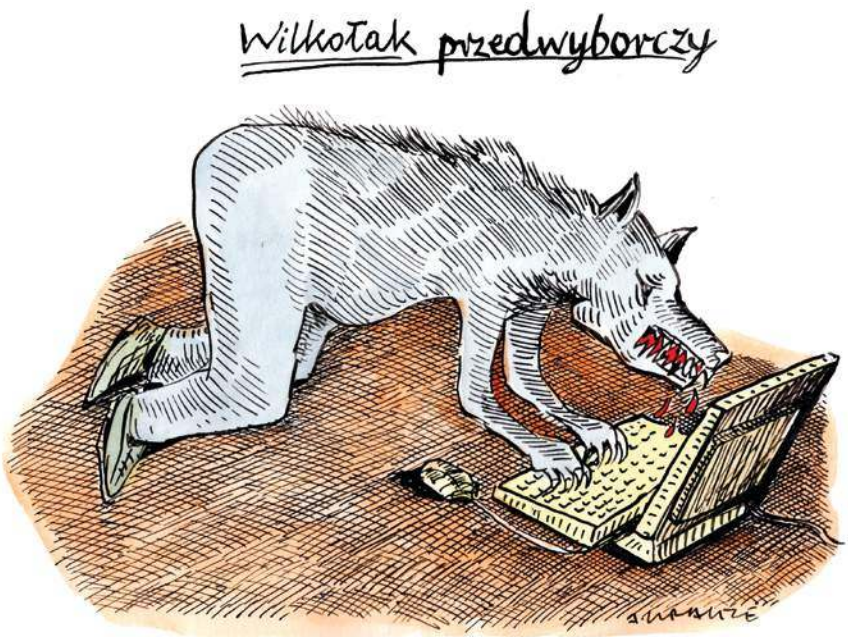
Prokuratura postawiła zarzuty szefowi parlamentarnego klubu PO-KO Sławomirowi Neumannowi, że jakieś miliony..., jeszcze wtedy gdy był ministrem. Schetyna wie, co w takich razach należy zrobić, dać takiemu jedynkę w ważnym okręgu. I Neumann ma, w Gdańsku. Stanisławowi Gawłowskiemu, sekretarzowi generalnemu PO w zawieszeniu, nie wypadało tak ostentacyjnie, bądź co bądź wyszedł z aresztu po wpłaceniu półmilionowej kaucji, gdzie sąd go umieścił pod zarzutami korupcji, prania brudnych pieniędzy i in. Schetyna mógł tyle dla niego zrobić, że PO nie wystawiła swego kandydata w Koszalinie, skąd Gawłowski startuje do Senatu „samodzielnie", bo też jest przydatny. Do czego?

Do tego samego, co inne jedynki z list kandydatów Koalicji tzw. Obywatelskiej do Sejmu i Senatu, jak stadionowa madonna od fryzjera, była ministra Joanna Mucha, były minister Cezary Grabarczyk vel spółdzielnia itd., wszystkich nie wymienię, za mało miejsca. Teraz trzeba ich nagłośnić, „trzeba tam iść, pluć w twarz dziennikarzom TVP", jak bojowo skomentował koniec bojkotu telewizji publicznej przez PO kolejny przydatny, kandydat na senatora Marek Migalski. Więc – równać krok, silni razem, nie świrować, trzeba to bydło, tę watahę, tę szarańczę, te smoleńskie parówki..., jutro może być lepsze!

Grzechu wie, co robi. Sam się nie przyzna, że jest wtyczką Jara i do krwi ostatniej będzie walczył o dobro PiS, ale prezes już powinien pomyśleć, jak wynagrodzić mu jego zasługi...

eprasa.pl c98308c2a0

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

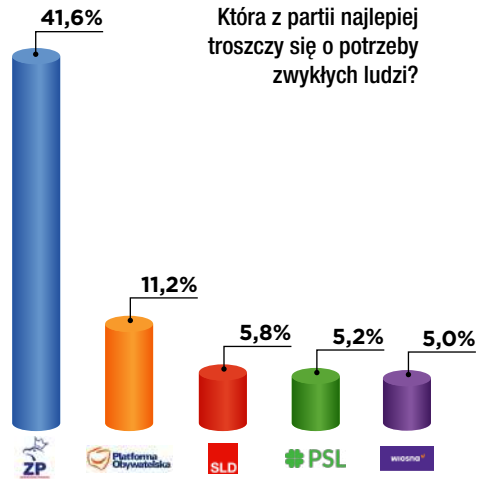
DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

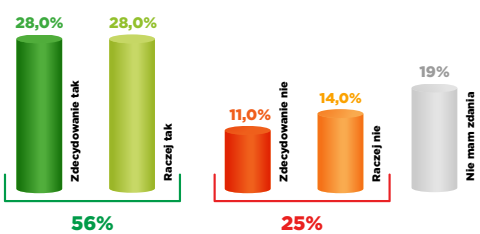
FOT. NA OKŁADCE: MARCIN BORKOWSKI/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK, MAT.PRASOWE

nasz sondaż pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

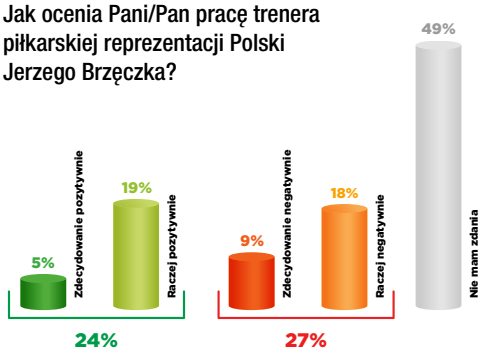
Która z partii najlepiej troszczy się o potrzeby zwykłych ludzi?



Czy popiera Pani/Pan propozycje rządu dotyczące wzrostu płacy minimalnej do 3 tys. złotych do końca przyszłego roku i do 4 tys. do końca 2023 roku?



Jak ocenia Pani/Pan pracę trenera piłkarskiej reprezentacji Polski Jerzego Brzęczka?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1001.

Zakres czasowy badania 13–18 września 2019 r.

eprasa.pl c98308c2a0



Opamiętajcie się!

Jachira w niczym nie zmieni wyniku wyborów, nie spowoduje klęski PiS, ale zainfekuje życie polityczne wirusem niemożliwym do wyleczenia. Potem będzie już tylko gorzej. Nawet jeśli nie boicie się osądu historii, to bójcie się chociaż Boga. Jakkolwiek go sobie wyobrażacie



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Nie znam się na kampaniach wyborczych, bo nigdy w żadnej nie uczestniczyłem. W ogóle w życiu wybierano mnie tylko dwa razy, a i to tylko na stanowisko dziekana wydziału. Dwa razy jednogłośnie. Obyci z życiem akademickim czytelnicy wiedzą, jaką ma to wartość.

METODA PALIKOTA

Obserwuję jednak nasze kampanie wyborcze i zaczynam dostrzegać w nich pewną regułę, która staje się coraz czytelniejsza. To korzystanie z mocnych, jakkolwiek niepopieranych oficjalnie lub niezwykle subtelnie potępianych, akcentów. W słynnych akcjach „Pod krzyżem" zaraz po katastrofie smoleńskiej widzieliśmy młodzież zagrzewaną do boju przez niejakiego Dominika Tarasa, „kuchcika z Akademii". To on zwoływał sabaty lżące pamięć o tragicznie zmarłych w katastrofie, używał języka dalekiego od powagi sytuacji, od uszanowania żalu i żałoby narodowej. Szybko się jednak zużył, okazał się za mało inteligentny i wkrótce zastąpił go jego faktyczny promotor, który go na użytek tej akcji ulepił.

Był to oczywiście Janusz Palikot. Pamiętam jego show w Sali Kongresowej, owo wejście przy muzyce z „Gwiezdnych wojen" i lżenie biskupów („pasibrzuchów") przy rechocie rodzącego się mainstreamu. Nikt z jego otoczenia się wtedy nie opamiętał, nikt nie powiedział: „Tak nie wolno!". Prawie wszyscy bili brawo. Nigdy przedtem ten polityk i człowiek bez wyraźnego kręgosłupa nie był tak agresywny. Wprawdzie lubił szokować atrapą penisa, dziwnymi koszulkami i szczególnym show czynionym przy każdej okazji, ale po katastrofie smoleńskiej robił rzeczy, na które żadna partia nie mogła pozwolić.

Nie mam złudzeń, że Palikot był w tym samodzielny i pozbawiony zaplecza. Był tylko werbalnym ramieniem Donalda Tuska, który nie mógł wybaczyć braciom Kaczyńskim, że nie został prezydentem. Palikot mówił to, czego sam Tusk nie mógł powiedzieć. Naiwny spektakl pokazujący ich rzekomy konflikt i niezgodę był tak naprawdę przedstawieniem dla naiwnych. Nie mam wątpliwości, że pozostawali oni w pełnej harmonii z wyraźnie wyznaczonymi odcinkami działania. Zniknął z Polski Tusk i zniknął słynny gorzelnik z Biłgoraju. Nie był już potrzebny.

Szkody jednak pozostały i metody też. Nikt się nie opamiętał, nie krzyczał, że raz przesuniętym czy uelastycznionym granicom nie da się już przywrócić właściwego, cywilizowanego kształtu. Szarganie wszystkiego, co ważne, co święte dla Polaków, zostało wpisane w repertuar dziedziców Unii Wolności i wyznawców PO. Bo przecież zawsze chodziło o to, „aby ludziom w Platformie żyło się lepiej". To przejęzyczenie Tuska jest znamienne. Czasami los się tak mści.

KONTYNUATORZY

Jak wspomniałem, metoda pozostała. Potwierdza to słynne przemówienie Leszka

Fot. Andrzej Stawarczyński

eprasa.pl c98308c2a0

Jażdżewskiego. Znów wyręczył Donalda Tuska, znów w trakcie kampanii wyborczej i mimo podgrzewania atmosfery, zniknął, przestał być ważny. Nikt ze słuchających nie wstał i nie wyszedł w geście protestu, nawet „katolicki" Władysław Kosiniak-Kamysz, a byli też tacy, którzy temu politycznemu łobuzowi gratulowali. Wszak odważnie mówił właśnie za nich i w ich imieniu, bo wszak wiedział, że przedtem nic nie znaczył i potem też nic znaczyć nie będzie. I znów się nikt nie opamiętał, nikt z otoczenia „króla Europy" nie powiedział: „Tak nie wolno, opamiętaj się!". Nikt się nie opamiętał i teraz ta partytura znów jest w użyciu.

Słynny psychiatra Aleksandr Bernstein napisał, że każdy następny bodziec, aby zadziałał, musi być mocniejszy od poprzedniego. Cóż więc mogło być mocniejsze od (katolickich) świń uprawiających zapasy w błocie? Wystarczyło pogrzebać w internecie i odkryć Jachirę. Tak też się stało. Wywiad partyjny nie zawiódł. Nagroda była oczywista – miejsce na listach KO. No i słynna już Klaudia zaistniała w publicznym obiegu. To ten typ obrzydliwości, któremu służy wszystko. Zarówno krytyka, jak i pochlebstwa. Bo ważne, aby być w mediach, „aby nazwiska nie przekręcali". Ona ma sławę, miejsce na liście, a opozycja kolejne usta, które wyrażają to, czego innym powiedzieć nie wypada. I znów nikt nie podpowiedział: „Tak nie wolno!". I znów lider się odciął od własnej kandydatki, ona niby przeprosiła i sprawę uznano za zamkniętą. Ale nic nie zostało zamknięte. Pani Jachira hula jak dawniej, z kandydowania nie rezygnuje, a jej zwolników zapewne przybywa. Po raz kolejny nikt nie ostrzegł „Tak nie wolno!". I znów granica została przesunięta.

Co będzie dalej, co przyniesie przyszłoroczna kampania prezydencka? Może film pornograficzny z sobowtórem prezydenta RP, może realistyczne sceny z „dorzynania watahy" nakręcone przez Smarzowskiego, może animowany samouczek „Jak wypatroszyć Kaczora" w reżyserii Vegi? A może realistyczny komiks z gwałcenia trzylatki przez jakiegoś klerykała? Realizatorzy i wykonawcy się znajdą, a z przyzwoleniem i nagrodami nie będzie wszak kłopotu. Wyborcy pewnie to przyjmą jako „normalkę" i zrzucą na karb gorączki kampanijnej. Może i będą jakieś przeprosiny, ale ciche i pod stołem. Jak zwykle.

Z łatwością można zauważyć, że po prawej stronie sceny politycznej próżno szukać zachowań symetrycznych, zachowań równie knajackich i bezczelnie agresywnych, jak owe opozycyjne. Zdanie wyprowadzonego z równowagi i doprowadzonego do ostateczności Kaczyńskiego „o zdradzieckich mordach" jest tutaj absolutnym wyjątkiem. Nie zdarza się, aby ktoś kpił z fizyczności politycznych przeciwników, czy to z urody Magdaleny Środy, wózka Jana Filipa Libickiego czy przedrzeźniał głos Joanny Senyszyn. Tam chyba ktoś jednak mówi: „Tak nie wolno!". Po drugiej stronie fizyczności się nie omija i chętnie szafuje „kurduplem", „pasibrzuchem" czy kpi z niepełnosprawnych dzieci polityków.

> Co będzie dalej, co przyniesie przyszłoroczna kampania prezydencka? Może film pornograficzny z sobowtórem prezydenta RP, może animowany samouczek „Jak wypatroszyć Kaczora" w reżyserii Vegi?

AKCEPTACJA, NIE REAKCJA

Czy totalna opozycyjność naprawdę nie cofnie się przed niczym? Czy walka o władzę musi mieć aż tak wredne oblicze? Nie mam pretensji o wyolbrzymianie zasług albo afer, nie oburza mnie nawet skrajnie ostry język debaty społecznej (sam nie należę tu do niewiniątek), ale szydzenie z ofiar smoleńskich (a byli tam przecież przedstawiciele wszystkich opcji politycznych i Kościołów w Polsce), porównywanie katolików do świń czy frazy o „dorzynaniu watahy" leżą poza granicą oburzenia, poza granicami ludzkiego zdumienia i obrzydzenia. Przecież nie można inwestować w ludzi bez sumienia, nie można dopuszczać do jakiejkolwiek władzy osób, które jawnie atakują to, co dla większości jest święte. „Mięsne popisy" Jachiry to drwina z powagi śmierci, z tajemnicy tej szczególnej fazy życia. Z czym ona pójdzie do parlamentu? Kogo tam będzie reprezentować, w czyim imieniu przemawiać? Czy jest coś, co w ogóle szanuje? Czy ostatecznie nie zdepcze powagi parlamentu, debaty publicznej czy Rzeczypospolitej? Poręczycie za nią?

W każdym ugrupowaniu opozycyjnym jest jakaś frakcja tak czy inaczej konserwatywna. Jako wierzący deklarowali się posłowie z PO, z Nowoczesnej, z PSL, z Kukiza, a kiedyś nawet z SLD. Są tacy wśród nich, którzy mają szlachetną historię (np. Andrzej Celiński). Dlaczego żaden nie krzyknął: „Tak nie można!"? Dlaczego pozwolili, aby na ich listach umieścić osobę, o której wiedzą tyle, że nie cofnie się przed żadną niegodziwością medialną? Jeśli nie boją się sumienia, to znaczy, że nie boją się także opinii ludzi, a więc i opinii swoich wyborców. Jakie racje (i czy jeszcze ludzkie, obywatelskie, moralne) decydują, że milczą, że nie buntują się, że nie stawiają sprawy „albo ona, albo ja". Jeśli lider Schetyna i subliderka Kidawa-Błońska, przedstawiana jako uosobienie kultury osobistej i łagodności, posunęli się do tak drastycznego kroku, jak wystawienie na listę do Sejmu Klaudii Jachiry, to co zrobią dalej? Czy biorą odpowiedzialność za gumowe wrota, które tworzą? Czy mają świadomość, że podpalają lont, nie wiedząc nawet, do jakiej bomby prowadzi?

Opamiętajcie się, tak naprawdę nie wolno! Jachira w niczym nie zmieni wyniku wyborów, nie spowoduje klęski PiS, ale zainfekuje życie polityczne wirusem niemożliwym do wyleczenia. Potem będzie już tylko gorzej. Nie zareagowaliście na Tarasa, śmialiście się z dowcipów Palikota, rechotaliście przy Jażdżewskim, to teraz zobaczcie czerwoną lampkę. Nawet jeśli nie boicie się osądu historii, to bójcie się chociaż Boga. Jakkolwiek go sobie wyobrażacie.

eprasa.pl c98308c2a0

SokzBuraka? Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się – mówią politycy PO po naszej publikacji, w której ujawniliśmy ich powiązania z hejterskim profilem internetowym. Wciąż udają, że zależy im na spokoju i rzeczowej rozmowie o problemach Polaków. Ale w tym samym czasie w kampanii rozkręca się Klaudia Jachira – nowy Palikot Schetyny – działająca według tych samych schematów co SzB. Ta polityczna ekwilibrystyka przypomina człowieka, który potknął się na schodach i leci na łeb, na szyję. 13 października szykuje się twarde lądowanie

Platforma hejterska



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

W Platformie Obywatelskiej panika. Jedna z najbardziej skrywanych tajemnic zakulisowych działań PO została obnażona w poprzednim numerze „Sieci". W partii zatrudniony jest Mariusz Kozak-Zagozda, twórca SokuzBuraka – najpopularniejszego facebookowego profilu wszelkimi metodami (żartem, manipulacją, kłamstwem) zwalczającego PiS. Kolejny etat ma w stołecznym ratuszu. Stałe dochody osiąga również ze współpracy z klubem parlamentarnym PO-KO, a okazyjnie dorabiał przy kampaniach Koalicji Europejskiej i Koalicji Obywatelskiej.

W obozie Grzegorza Schetyny nie ma już chyba złudzeń, że da się odsunąć Prawo i Sprawiedliwość od władzy. Nie pomogło nic. Ani ciągłe atakowanie ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego, ani mistyfikowanie, że partia ma jakiś program dla Polaków, ani łagodzenie „totalnego" oblicza za pomocą uśmiechu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

KAMPANIA SIĘ SYPIE

Walkę PO o głosy najlepiej podsumowują sami Polacy. W sondażu IBRiS tylko 4,8 proc. badanych stwierdziło, że formacja Schetyny ma najlepszą kampanię. Na prowadzoną przez PiS wskazało aż 57,1 proc. Polaków. Pozostałe komitety nie osiągnęły w tej ankiecie 5-proc. wyniku. Co gorsze dla PO – ta tendencja się pogłębia. W podobnym sondażu Social Changes dla portalu wPolityce.pl, przeprowadzonym tydzień wcześniej, na PiS wskazało 27 proc. ankietowanych, KO – 7 proc., a na pozostałe komitety – poniżej 5 proc.

Nic więc dziwnego, że gdy dodatkowo ujawniliśmy, że SokzBuraka stworzył etatowy dziś pracownik PO, główna siła opozycyjna próbowała to przemilczeć. Politycy Platformy jak jeden mąż zaprzeczali, by znali Kozaka-Zagozdę, ale jakoś nikt nie podważył tego, że partia go zatrudnia. Jak więc to możliwe, że nikt go nie zna? Ani skarbnik (który mu przecież płaci) Mariusz Witczak, ani szef klubu parlamentarnego Sławomir Neumann, ani ich koledzy. Czy będą w tej sprawie na tyle transparentni, że ujawnią swoje billingi, by udowodnić, że nie mają regularnych kontaktów z Kozakiem-Zagozdą? Jeden Marcin Kierwiński przed kamerą telewizji wPolsce.pl „nie wykluczył", że go zna.

Jeszcze bardziej kabaretowo wyglądają odpowiedzi na pytania o profil SokzBuraka. Paweł Zalewski to kolejny polityk KO, który publicznie twierdzi, że nie zna SzB, choć na jego profilu



eprasa.pl c98308c2a0

na Facebooku widzimy, że go lubi. Podobnie było z Witczakiem, Neumannem i innymi.

Dlaczego się tego wstydzą? Czego się obawiają? Dziwne, wszak wydawało się, że PO już chyba oficjalnie przestawiła zwrotnicę i posługuje się w walce politycznej hejtem. Świadczy o tym wciągnięcie na listy Klaudii Jachiry, niespełnionej aktorki, zajmującej 13. miejsce na warszawskiej liście KO.

KLAUDIA WYWRACA STOLIK

31-latka bywa opisywana jako aktorka, blogerka, satyryczka i youtuberka. W rzeczywistości skończyła studia lalkarskie, w spektaklach ani filmach nie pograła (jeśli nie liczyć seriali czy epizodów w takich produkcjach jak rosyjska „Jedynka" – propagandowa młócka o wspaniałych czerwonoarmistach ratujących polskie dzieci). Gdy cztery lata temu startowała z list Nowoczesnej, otrzymała 629 głosów. Jak sama przyznała w „Gazecie Wyborczej": „W Nowoczesnej też mi powiedzieli, że ośmieszam wizerunek partii, że to niepoważne i nie chcą być powiązani".

Jednak teraz ma poważne szanse na mandat. Schetyna najwyraźniej docenił jej działalność w internecie. A sprowadza się ona do filmowania samej siebie w nadmiernie emocjonalnych (sprawiających wrażenie, jakby kobieta potrzebowała profesjonalnej opieki), tandetnych występach, w których zwykle wylewa swoje frustracje wobec Jarosława Kaczyńskiego. Zrobiła jego lalkę, z którą przeprowadzała „wywiad psychiatryczny". Kukła: – Czy posłom wolno się całować? Jachira: – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Kukła: – Wolno, ale nie w pisię, hy, hy, hy...

W innym „dziele" przekonywała, że „polski naród zabił więcej Żydów niż Niemców" oraz że „dla PiS istotą funkcjonowania było dostarczanie młodych mężczyzn Jarosławowi Kaczyńskiemu [...] tysiące młodych patriotów mające ochotę nadstawić tyłka prezesowi jest w rozterce".

Gdy Schetyna ogłaszał kandydatów do Sejmu, wypalił: „Chciałem podziękować Klaudii Jachirze, która wspiera nas i będzie wspierać, i będzie kandydować z naszych list".



Jachira zrobiła lalkę Jarosława Kaczyńskiego i przeprowadza z nią publiczne wywiady

Dziś nawet Sławomir Nitras i Andrzej Halicki przebąkują, że na tych listach nie powinno już jej być. Sławomir Neumann zapowiada dyscyplinującą rozmowę. Wszystko za sprawą dwóch kolejnych skandali kandydatki. Przed pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego pod hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna" sfotografowała się z transparentem „bób, hummus, włoszczyzna". Kilka dni później na spotkaniu wyborczym zaprezentowała widowisko „Niech Polska zakwitnie na nowo". Szydziła w nim ze znaku krzyża („W imię ojca i syna, i brata bliźniaka") i katastrofy smoleńskiej (tak przedstawiając program telewizyjny w pisowskiej tv: „O godz. 18 transmisja z Brunatnej Góry z okazji rocznicy urodzin Hitlera. [...] I o godz. 22 zacznie się na żywo blok ekshumacyjny oraz quiz »Czyja to kończyna?«. Uprzejmie informujemy, że widowisko poetyckie »Zamiana trumien« zostanie nadane w późniejszym terminie, za co serdecznie przepraszamy".

Do zamknięcia tego wydania „Sieci" tej makabry nie skomentowały Barbara Dolniak ani Barbara Nowacka. Wdowa po Grzegorzu Dolniaku i córka Izabeli Jarugi-Nowackiej, którzy zginęli w Smoleńsku, również kandydują z list KO.

Czy cieszą się na myśl, że być może zasiądą z Jachirą w klubie parlamentarnym? A może nie mają nic do gadania, bo Platforma obrała taką taktykę i już? Nienawiść ma się lać strumieniami, a Sejm ma się zamienić w oborę. Tylko taka strategia uzasadnia forsowanie lalkarki na posłankę.

CZYJ JEST SzB?

A teraz najlepsze. Na kogo będzie głosował człowiek, który dziś jest właścicielem SokuzBuraka, Norbert Nowacki? Na Klaudię Jachirę! Jak mogłoby być inaczej?

Nowacki zapowiedział to w filmie transmitowanym na SokuzBuraka w ubiegłym tygodniu. Postanowił pokazać twarz i wygłosić oświadczenie po naszym artykule oraz burzliwej dyskusji, którą sprowokowaliśmy. Postanowił „wszystko wyjaśnić". W rzeczywistości więcej zagmatwał, niż wyklarował.

Mężczyzna mieszka w Wielkiej Brytanii. Jego nazwisko rzeczywiście figuruje w dokumencie cesji domeny internetowej sokzburaka.pl (choć ze zmienionym imieniem – zamiast Norberta wpisano Huberta jako reprezentanta firmy Domizz Ltd.). Twierdzi, że Kozaka-Zagozdę zna, ale ten nie ma już nic wspólnego z SzB. Przekonuje, że SzB „po długich negocjacjach" kupił „za przysłowiową złotówkę". Nie zdradził niestety, na czym one polegały ani jak udało mu się przejąć za darmo potężny profil polityczny w polskich mediach społecznościowych.

Firma Domizz należy do Andrzeja Szulińskiego, przedsiębiorcy działającego w Płocku oraz na Wyspach Brytyjskich. To on w 2018 r. w wywiadzie dla „Wyborczej" ujawnił się jako „wyciskający SokzBuraka". Do niego też należało mające siedzibę na Wyspach internetowe Wolne Radio Opornik. Dziś jako jego właściciel objawia się Nowacki (miał się rozstać z Szulińskim „w niezgodzie" przed rokiem, nie dopowiada jednak, czy formalnie przejął domenę, profile społecznościowe, radio).

Fot. Piotr Smoliński/Reporter

eprasa.pl c98308c2a0

Niestety nie dodaje, czy ono też stało się jego własnością „za przysłowiową złotówkę".

Nowacki powiedział za to w swoim internetowym występie coś, co może mieć duże znaczenie w obliczu śledztw dotyczących kłamstw, jakie publikował Sok: „Biorę całkowitą odpowiedzialność za SokzBuraka, jak i za Radio Opornik, które jest de facto moją własnością". Teraz już wiadomo, do kogo mają zwracać się prawnicy pomawianych osób. Nawet jeśli Nowacki jest tylko „zderzakiem", który ma na siebie wziąć działalność innych.

UCIECZKA ZA GRANICĘ

Podtrzymujemy wszystko, co napisaliśmy przed tygodniem. Mariusz Kozak-Zagozda bardzo chciałby, by jego związek z SokiemzBuraka uznać za bezpowrotnie minioną przeszłość. Nie jest jednak prawdą, że piarowiec nie ma żadnego kontaktu z osobami, które oficjalnie przyznają się do redagowania hejterskich profili na Twitterze i Facebooku. Nie udało mu się zatrzeć za sobą wszystkich śladów, co opisaliśmy tydzień temu w tygodniku „Sieci". Nawet przyjmując, że rzeczywiście zbył domenę (stronę internetową) sokzburaka.pl, co potwierdza umowa przenosząca prawa na zarejestrowaną w Wielkiej Brytanii spółkę Domizz Ltd. Jej współwłaściciel Andrzej Szuliński ma w Polsce zarejestrowane dwie spółki o podobnej nazwie, jedna z nich to Domizz Studio sp. z o.o. Na nią jest zarejestrowany numer telefonu, którego używa Mariusz Kozak-Zagozda. Rozmawialiśmy z nim, dzwoniąc pod ten numer, stąd mamy pewność, że nieprawdą jest, że panowie się nie znają i nie utrzymują kontaktu.

Drugim dowodem na to, że Kozak-Zagozda wciąż stoi za profilami SokzBuraka, jest to, że do logowania się na nie używano wspomnianego numeru telefonu i jego e-maila. Czy mężczyzna, oddając witrynę oraz powiązane z nią konta w serwisach społecznościowych, oddałby komuś obcemu do dyspozycji także swój telefon i e-mail? Przecież wiemy, że tego nie zrobił. Dopiero po naszej publikacji zmieniono sposób logowania się do twitterowego konta SzB. Od kilku dni nie jest ono powiązane z numerem i adresem Kozaka-Zagozdy.

To wszystko wygląda na przemyślaną mistyfikację. W 2016 r. SokzBuraka podaje całkowicie zmyśloną informację, że posłanka PiS Małgorzata Wassermann i znana z konserwatywnych przekonań dziennikarka Małgorzata Terlikowska miały w przeszłości zabić swoje nienarodzone dzieci. Działo się to w czasie, gdy w Sejmie toczył się gorący spór na temat dopuszczalności przerywania ciąży. Profil SzB miał wówczas ok. 400 tys. obserwujących, fejki rozchodziły się w zastraszającym tempie. Obie panie zdecydowały się ścigać hejterów. Przełom lat 2017/2018 to kumulacja pracy organów ścigania, krótko mówiąc – wokół Mariusza Kozaka-Zagozdy zaczęło robić się zbyt gorąco. Wtedy powstał pomysł, by dokonać cesji na firmę, która działa poza granicami Polski, co miało zapewne utrudnić ściganie internetowych kłamców. Całą operację w obliczu przedstawionych przez nas dowodów należy uznać za fikcyjną.

> Nienawiść ma się lać strumieniami, a Sejm ma się zamienić w oborę. Tylko taka strategia uzasadnia forsowanie przez Platformę Obywatelską lalkarki na posłankę

KASA Z PARTII

Jakie są fakty? Kasa do twórcy SzB płynie szerokim strumieniem. W partii Platforma Obywatelska nasz bohater zatrudniony jest na etacie od lutego 2018 r. W tym miesiącu zarobił zaledwie 3200 zł (podajemy kwoty brutto). Piszemy „zaledwie", bo w kolejnych okresach rozliczeniowych był już zdecydowanie bardziej doceniany. Marzec – 10000 zł, kwiecień – 12300 zł, maj – 11300 zł, czerwiec – 11850 zł, lipiec – 16200 zł, sierpień – 10100 zł, wrzesień – 7100 zł, październik – 6600 zł, listopad – 6950 zł, grudzień – 10000 zł. Nieźle, a w 2019 r. wcale nie było gorzej. Styczeń – 17550 zł, luty – 8400 zł, marzec – 11000 zł, kwiecień – 7000 zł, maj – 7000 zł, czerwiec – 7800 zł, lipiec – 10400 zł i wreszcie sierpień – 13600 zł. I pomyśleć, że w partii, która tak grzmi, gdy zauważy gdzieś wydumaną lub realną rozrzutność publicznych pieniędzy, można tyle zarobić... Ciekawe, co na to inni pracownicy PO? Czy też są tak cenionymi etatowcami? I dlaczego skarbnik partii zarzeka się, że nic o tym człowieku nie wie?

Mówi się, że nic tak nie wiąże jak kasa. Podążając za tą myślą, odnotujmy, że Kozak-Zagozda od lutego 2018 r. co miesiąc bierze także po kilka tysięcy na zlecenie z Klubu Parlamentarnego PO-KO (mimo to szef klubu go nie zna). Na etacie jest także w rządzonym przez PO warszawskim ratuszu – rzecznik Kamil Dąbrowa (o dziwo!) potwierdził nasze informacje, że umowa trwa od kwietnia 2019 r., ale zastrzegł, że zatrudnienie ma mieć charakter czasowy i zastępczy. Tak czy inaczej, od kilku do ponad 20 tys. zł co miesiąc wpada. Zarobki kilku czy nawet kilkunastu tysięcy na umowy przy kampaniach dla Koalicji Obywatelskiej (przy wyborach samorządowych) i dla Koalicji Europejskiej (przy wyborach do Parlamentu Europejskiego) wyglądają jak miły dodatek za wierność partii matce. A ok. 10 tys. zł za trzymiesięczne zlecenie dla Fundacji im. Roberta Schumana to już zupełnie „na waciki".

Partia ma się za co odwdzięczać. SokzBuraka wyrósł przecież na potężną machinę, która z jednej strony jest słupem reklamowym PO, a z drugiej – najprężniejszym narzędziem do atakowania PiS. Atakowania w miarę bezpiecznego, bo – do niedawna – anonimowego, ale zawsze w służbie partii Schetyny. I zawsze według tej samej dobrze znanej od lat strategii opartej na negatywnych emocjach. Kiedyś wypełniali ją Palikot czy Niesiołowski. Dziś robią to Jachira i SokzBuraka.

eprasa.pl c98308c2a0

Nowe drogi rozwiną regiony

Mniej wypadków, tiry omijające miasta, szybsza podróż to pierwsze korzyści, które zauważają mieszkańcy i goście miejscowości, w których nie żałuje się środków finansowych na inwestycje drogowe. Jednak najważniejszym efektem poprawy dostępności transportowej jest dynamiczny rozwój przedsiębiorczości w regionie

Jak okiem sięgnąć, Polska w budowie. Wiele już zostało zbudowane, choćby w ramach inwestycji współfinansowanych ze środków unijnych od 2004 r. Jednak infrastruktura transportowa w obrębie stolic województw Polski wschodniej nadal wymaga rozwoju. Stąd też Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości zdecydowała się skierować swoje wsparcie finansowe do tego regionu.

– Zgodnie z zapisami Programu Operacyjnego Polska Wschodnia jednym z istotnych czynników wpływających na niską pozycję największych miast makroregionu w krajowej sieci miejskiej jest ich relatywnie słaba dostępność transportowa. Dlatego też na etapie programowania dokonaliśmy identyfikacji tzw. wąskich gardeł, czyli braku połączeń miast wojewódzkich z siecią dróg krajowych, w tym TEN T. Rozbudowa i modernizacja infrastruktury transportowej przyczyni się do zwiększenia mobilności zawodowej i przestrzennej mieszkańców, przez co wpłynie na poprawę dostępności rynków pracy i usług, a także na poprawę jakości życia mieszkańców – wyjaśnia założenia programu Maciej Berliński, dyrektor Departamentu Projektów Infrastrukturalnych PARP.

Dzięki dofinansowaniu z POPW (które sięgało aż 85 proc.) powstało 28 inwestycji: w województwie lubelskim – 5, w tym 3 w samym Lublinie, w województwie podkarpackim – 8, w tym 4 w Rzeszowie, w województwie podlaskim – 7, w tym 3 w Białymstoku, w świętokrzyskim – 5, w tym jedno w Kielcach, a w województwie warmińsko-mazurskim – 3 realizacje, w tym jedna w Olsztynie.

– W bieżącym roku będziemy mieli zakończoną fizyczną realizację 27 z 28 projektów w działaniu. Warto podkreślić, że pierwsze umowy o dofinansowanie były podpisywane w 2016 – całkiem niedawno. Wszystkie dostępne środki w ramach działania zostały już wyczerpane. Efekty projektów już są widoczne w postaci zmniejszenia liczby wypadków, wyprowadzenia ruchu ciężkich pojazdów z centrów miast oraz skrócenia czasu podróży. Nowe projekty drogowe to także dynamiczny rozwój przedsiębiorczości na terenach w bezpośrednim sąsiedztwie wybudowanych dróg – wymienia Maciej Berliński.

Miesiąc temu w Białymstoku otwarto Trasę Niepodległości – kluczowy odcinek zachodniej obwodnicy miasta. To jedna z największych i najważniejszych inwestycji w stolicy Podlasia i największy projekt zrealizowany w ramach działania 2.2 Infrastruktura drogowa Programu Operacyjnego Polska Wschodnia. Na realizację inwestycji wartej ponad 336 mln zł Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości przekazała 266 mln zł dofinansowania ze środków unijnych.



Fot. Marcin Jakubiak | 15/0919/F



Maciej Berliński

Trasa Niepodległości to 6-kilometrowa droga o dwóch pasach ruchu w każdą stronę, 11 dwupoziomowych skrzyżowań, tunel pod torami oraz 15 km ścieżek rowerowych. Ta imponująca inwestycja domyka wewnętrzne obwodnice miasta, tworząc pierścień o łącznej długości 25 km.

– Realizacja projektu znacząco poprawiła dostępność komunikacyjną Białegostoku i jego obszaru funkcjonalnego. W odniesieniu do całego regionu warto podkreślić lepszą integrację dróg wojewódzkich przebiegających przez Białystok z siecią dróg krajowych i TENT, co znacząco zwiększa konkurencyjność Białegostoku i całego województwa jako miejsca zamieszkania oraz prowadzenia działalności gospodarczej – ocenia Maciej Berliński.

eprasa.pl c98308c2a0

Dwie Polski

Chyba po raz pierwszy po 1989 r. Polacy pójdą do wyborów, mając tak wiele do stracenia, gdyby zmieniła się władza



STANISŁAW JANECKI



Na finiszu kampanii wyborczej wyraźnie widać, że rządzący i opozycja to dwa bardzo różne światy, dwie różne Polski – na wielu płaszczyznach i wbrew dotychczasowym doświadczeniom III RP. I nie chodzi tu o wyobrażenia partyjnych działaczy czy sympatyków, lecz o społeczne postrzeganie. Zdecydowana większość Polaków zauważa, że obecna władza i opozycja uosabiają różne Polski. Z jedną się w coraz większym stopniu utożsamiają, a drugą coraz więcej obywateli uważa za wrogą i niebezpieczną. Problemem opozycji nie jest taki czy inny kształt kampanii bądź programu, taki czy inny lider (Grzegorz Schetyna czy Małgorzata Kidawa-Błońska). Największym problemem jest postrzeganie opozycji, szczególnie Koalicji Obywatelskiej, jako zagrażającej wspólnocie, a przez to zagrażającej Polsce. Doszło do tego, że nawet zwolennicy Koalicji Obywatelskiej ze świata nauki i mediów dostrzegają już wspólnotę nie tylko w ścisłym elektoracie Prawa i Sprawiedliwości, lecz także wśród tych, którzy nie utożsamiają się z obecnie rządzącymi, ale uważają za godny poparcia model państwa i społeczeństwa, który jest konsekwencją rzą-

eprasa.pl c98308c2a0

dów PiS. Po drugiej stronie (opozycyjnej) widzą natomiast atomizację (indywidualizm), egoizmy, gry interesów różnych grup i – co najwyżej – wspólnotę negatywną, czyli antypis. Ale przede wszystkim dostrzegają w opozycji siłę destrukcyjną wobec wspólnoty. Jeśli opozycja przegra (nawet bardzo wyraźnie) wybory 13 października 2019 r., to przede wszystkim z tego powodu, że jest postrzegana jako siła zagrażająca polskiej wspólnocie.

PRYMAT WSPÓLNOTY

Poczucie, że PiS tworzy pozytywną wspólnotę (choć ponoć obarczoną licznymi wadami, bo inaczej być nie może), a opozycja wręcz przeciwnie, najdobitniej wyraził publicysta „Polityki" Wawrzyniec Smoczyński (na łamach „Gazety Wyborczej") 26 stycznia 2019 r. „Jakością zasadniczą, bo odczuwalną dla wyborców tej partii [PiS], jest komunitaryzm. Kaczyński wygrywa wybory, ponieważ obiecuje wspólnotę, której nie dała Polakom III RP. [...] Jakością definiującą PO jest [...] indywidualizm. Schetyna przegrywa wybory, ponieważ jego partia wciąż stawia w centrum jednostkę i jej indywidualny awans, przez co mimowolnie odżegnuje się od wspólnoty. [...] Po 30 latach przemian, które milionom przyniosły dobro jednostkowe, Polacy chcą dziś większej troski o dobro wspólne. Ta zmiana oczekiwań nie wynika z bieżącego cyklu politycznego, tylko z długofalowego trendu rozwojowego – w świadomości zbiorowej okres przemian został zamknięty i Polska osiągnęła poziom rozwoju, który pozwala na myślenie wspólnotowe" – napisał Smoczyński. Oczywiście ten komunitaryzm może być tylko „autorytarno-konserwatywny", a powinien być „demokratyczno-obywatelski". Smoczyński oraz wielu podobnie myślących twierdzi, że rządy PiS oznaczają „wspólnotę tożsamą z plemieniem [PiS]". Nic bardziej mylnego – ta wspólnota już dawno nie jest plemienna, dlatego PiS ma tak wysokie poparcie społeczne. Natomiast opozycja jest coraz bardziej plemienna, wręcz sekciarska.

Diagnoza dotycząca przeszłości w wydaniu intelektualistów kibicujących Koalicji Obywatelskiej lub lewicowej jest często trafna. Za rządów PO-PSL myślenie wspólnotowe zostało zastąpione ideą postępu, który miał ucywilizować roszczeniowe masy i spacyfikować ich gniew, ale nie dać im podmiotowości. Masy na taką podmiotowość nie zasługują. Wspólnotą byli wyłącznie ludzie sukcesu albo uprzywilejowani (ponad 20 lat temu Donald Tusk trafnie nazywał ich „nową klasą próżniaczą"). Tyle że to nie wspólnota, lecz nomenklatura i oligarchia. Gdy rządziła obecna opozycja (PO, PSL, SLD), wytworzyła lub przejęła elity, które nie czuły żadnej odpowiedzialności – ani za wspólnotę, ani przed wspólnotą. Te elity skupiły się na obronie własnych interesów wbrew wspólnocie. I to trwa do dziś, dlatego hasła wolnościowe i demokratyczne są w ich wykonaniu tylko frazesami mającymi ukryć nomenklaturowość i oligarchiczność.

> Kiedy PiS oferuje powszechny awans materialny, a przez to cywilizacyjny jak najszerszej grupie obywateli, opozycja duże grupy z tego awansu faktycznie wyklucza, a nawet czyni je „zakałą" postępu cywilizacyjnego

Obóz dobrej zmiany zaczął od innej strony, czyli od upodmiotowienia jak największej części społeczeństwa, poczynając od najsłabszych i wcześniej ponoszących największe koszty. I to jest podstawa wspólnoty rozszerzającej się na kolejne grupy społeczne. Dlatego już w styczniu 2019 r. Wawrzyniec Smoczyński dostrzegał, że „tempo i impet, z jakimi PiS buduje swoją wspólnotę, dają poczucie nieodwracalności zmian". Poczucie, ale jednak złudzenie, gdyż w rzeczywistości „projekt Kaczyńskiego" ma być „kruchy". A to dlatego, że „prędzej czy później błędy skumulują się w kryzys, nad którym Kaczyński nie zdoła zapanować, i jego projekt zmiecie kolejna fala społecznego gniewu". Wieszcząc kryzys, zauważa się jednak, że „do III RP nie ma już powrotu, a usilna próba jej odnowy skończy się powrotem do władzy PiS". Problemem jest to, że opozycja nie ma żadnej innej koncepcji jak „powrót do III RP". I nie ma żadnej idei „demokratyczno-obywatelskiego komunitaryzmu". Wciąż aktualna jest filozofia „żeby było tak, jak było", czyli przedwspólnotowa albo antywspólnotowa.

ROZBIEŻNE ŚWIATY WŁADZY I OPOZYCJI

Gdyby wypunktować największe różnice między Polską Prawa i Sprawiedliwości a Polską Koalicji Obywatelskiej (czy szerzej opozycyjnej), to nawet zagorzali sympatycy opozycji dostrzegają, iż PiS tworzy pozytywną wspólnotę ludzi o rosnących aspiracjach, przywiązanych do wartości, a przez to mających potrzebę odpowiadania za wspólnotę i przed wspólnotą, chcących ją wzmacniać i poszerzać. Ludzi mających perspektywę (i chcących się do tego przyczyniać) zbudowania w ciągu około dwóch dekad polskiego modelu państwa dobrobytu, porównywalnego do modelu niemieckiego, holenderskiego czy skandynawskiego. Na tym tle opozycja (głównie KO) prezentuje się jako zlepek grup interesów, grup uprzywilejowanych, rewanżystowskich i odwetowych, jednoczących się wokół negatywnych emocji, skupionych na „powrocie do III RP". Wzmacniając i poszerzając wspólnotę, PiS jednocześnie wzmacnia i odbudowuje poczucie godności kolejnych grup społecznych. Także tych dotychczas wykluczonych ze wspólnoty godności, głównie przez biedę. Koalicja Obywatelska robi zaś wiele, żeby utrwaliło się przekonanie, iż ona tę wspólnotę obraża, stygmatyzuje, dyskryminuje – jako ciemnotę, chamów, prymitywów czy pasożytów. PiS rozszerza polityczną podmiotowość i samoświadomość kolejnych grup społecznych, podczas gdy opozycja zawęża to do wybranych, wcześniej uprzywilejowanych lub takich, których

eprasa.pl c98308c2a0

chciałaby wykorzystać do odwetu na PiS oraz jego elektoracie.

Podmiotem narracji PiS jest lud (przeciętni Polacy), jak najszersza wspólnota obywateli, podczas gdy podmiotem narracji opozycji są jednostki, a co najwyżej grupy interesów lub uprzywilejowanych (nomenklatura i oligarchia). PiS poszerza klasę średnią, odwołując się do kapitalizmu ludowego, natomiast opozycja zawęża klasę średnią, odwołując się do kapitalizmu liberalnego, a w efekcie sprzyjając społecznemu darwinizmowi. Podczas gdy PiS odwołuje się do współpracy, pomocy, opiekuńczości, w tym opiekuńczości państwa, opozycja skupia się na rywalizacji, a nawet jakieś formie walki klas albo na opiekuńczości w wersji PRL (lewica), czyli redystrybucji uwarunkowanej klasowo. Gdy PiS używa języka łączenia, kooptacji, wspólnoty, pozytywnego myślenia i działania, opozycja językowo piętnuje, poucza, nakazuje, ostrzega, wyklucza, a nawet dyskryminuje. Kiedy PiS oferuje powszechny awans materialny, a przez to cywilizacyjny jak najszerszej grupie obywateli, opozycja duże grupy z tego awansu faktycznie wyklucza, a nawet czyni je „zakałą" postępu cywilizacyjnego i procesu historycznego. Gdy PiS poszerza dystrybucję prestiżu, opozycja ją zawęża, a w najlepszym razie zamraża. Kiedy PiS postuluje mechanizmy konkurencji i antydyskryminacyjne w wyłanianiu oraz podtrzymywaniu elit, opozycja dąży do zabetonowania status quo w kwestii elit wyłonionych po „okrągłym stole". Podczas gdy PiS opowiada się za konserwatywnym modelem społeczeństwa i rodziny, opozycja robi wiele, żeby przypisać jej rewolucyjne zamiary, gdzie rolę proletariatu jako awangardy postępu przejęły feministki, grupy LGBT, zwierzęta, a nawet przyroda. Kiedy PiS odwołuje się do poczucia dumy narodowej i narodowych interesów, opozycja relatywizuje je do Unii Europejskiej, uzależnia te kwestie od międzynarodowych instytucji i organizacji, od zdania i decyzji innych państw, uznawanych za silniejsze od Polski. Opozycja proponuje więc model kolonialny, który ma przynosić korzyści potulnym mieszkańcom kolonii, a przede wszystkim jej elitom.

GŁĘBOKA ZMIANA ŚWIADOMOŚCI

Opozycja i jej intelektualiści przyjmują bardzo wygodną dla siebie tezę, że Jarosław Kaczyński oraz PiS zagospodarowali tylko tych wyborców, którym nie podobała się III RP, którzy czuli się w niej obywatelami drugiej kategorii. A tak mieli się czuć ci, którzy pochodzą ze wsi i małych miast, są starsi, biedniejsi i gorzej wykształceni. Ich spoiwem ma być religijność, konserwatyzm, mylenie autorytaryzmu z ideą silnego państwa, nieznajomość świata, nieufność wobec obcych i generalnie innych oraz oczekiwanie na państwową mannę z nieba. Można tę grupę ewentualnie poszerzyć o drobnych przedsiębiorców krzywdzonych przez liberalne państwo, o wielkomiejskich pracowników wyzyskiwanych przez wielkie firmy, o pokrzywdzonych przez „bezduszny" i służący uprzywilejowanym wymiar sprawiedliwości. Byłyby to zatem ofiary liberalnego establishmentu, jego nomenklatury i oligarchii. Tyle że po wprowadzeniu wielu programów społecznych wspólnota ludzi popierających obecną władzę bądź tylko doceniających jej politykę gospodarczą i społeczną nie tylko zyskała bądź poszerzyła polityczną podmiotowość i godność, lecz zaczęła mieć aspiracje dalece wykraczające poza filozofię ciepłej wody w kranie oraz poza egoistyczny indywidualizm. Paradoksalnie ta nowa wspólnota ma znacznie wyżej umieszczony horyzont cywilizacyjnych ambicji i aspiracji niż kiedykolwiek miał elektorat liberalno-lewicowy, na czele z tzw. lemingami, czyli awangardą tych grup wyborców. Opozycja, a szczególnie KO, nie zauważyła, że siłą wspólnoty tworzonej wokół obecnej władzy są głównie wysokie aspiracje, a nie resentymenty, pretensje, żale, krzywdy i negatywne emocje. To sprawia, że poparcie dla PiS może być znacznie trwalsze, niż się opozycji wydaje. Chodzi bowiem o wybór dobrej przyszłości. Na podstawie docenienia dobrej teraźniejszości.

> Opozycja, a szczególnie KO, nie zauważyła, że siłą wspólnoty tworzonej wokół obecnej władzy są głównie wysokie aspiracje

Przez lata obecna opozycja bazowała na ustawianiu PiS jako siły, która jeśli nie odbiera Polakom szans na lepsze życie, to przynajmniej je mocno ogranicza. A Polska pod rządami PiS miała się znajdować w permanentnym zagrożeniu i niebezpieczeństwie. Ale przez ostatnie cztery lata dokonały się takie przemiany, że to opozycja (głównie KO), gdyby powróciła do władzy, byłaby uznawana za zagrożenie, za siłę zdolną co najwyżej do przywrócenia status quo, natomiast pozbawioną zdolności modernizacji Polski, cywilizacyjnego awansu Polaków. To głęboka zmiana świadomości społecznej, na którą kształt kampanii wyborczej, jej liderzy po stronie opozycji czy różne obietnice nie mają większego wpływu. A to sprawia, że idea Polski utożsamianej z opozycją nie tylko nie wydaje się milionom obywateli atrakcyjna, lecz wręcz jest postrzegana jako anachronizm, jako przeszkoda w zrealizowaniu aspiracji, jako kamień młyński u szyi.

Chyba po raz pierwszy po 1989 r. Polacy pójdą do wyborów, mając tak wiele do stracenia, gdyby zmieniła się władza. Wściekłość zaplecza intelektualnego opozycji co do sukcesów obecnej władzy czy pesymizm tego zaplecza co do wyniku wyborów biorą się głównie z tego, że ci ludzie dostrzegają zachodzące w Polsce głębokie zmiany, przede wszystkim świadomości społecznej. Znacznie głębsze i idące w przeciwną stronę niż te, które starały się przeprowadzić główne ośrodki inżynierii społecznej, pedagogiki, reedukacji i indoktrynacji III RP. Po 13 października 2019 r. szansa na to, że tamta Polska powróci, mogą się okazać znikome.

23/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

Bank Pekao

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI



Z ŻYCIA MAM TYLE, ILE SAM PRZEŻYJĘ.

Marcin Mossakowski | podróżnik i filmowiec

Płać kartą rewolucyjną z gwarancją niskich kursów na całym świecie

0 zł prowizji banku za:

- przewalutowanie przy płatności kartą do konta w PLN
- wypłaty kartą z bankomatów za granicą[1]
- prowadzenie Konta Przekorzystnego i obsługę karty[1]

Karta rewolucyjna to karta debetowa Mastercard do Konta Przekorzystnego. Gwarancja niskich kursów dotyczy płatności za granicą tą kartą, rozliczanych w ramach środków w PLN, dostępnych na Koncie Przekorzystnym, polega na rozliczeniu płatności po kursach organizacji płatniczej Mastercard bez dodatkowych prowizji banku za przewalutowanie i bez doliczania marży banku do kursu wymiany. Nie dotyczy to sytuacji, gdy klient akceptuje przewalutowanie transakcji po kursie oferowanym w punkcie zlecania płatności. Gwarancja nie obejmuje poziomu kursów Mastercard, które mogą wzrastać lub spadać. Pełne informacje o karcie debetowej Mastercard znajdziesz w naszych oddziałach.

[1]0 zł w przypadku wpływu na konto w poprzednim miesiącu kalendarzowym min. 500 zł przelewem z zewnątrz lub z konta firmowego w Banku Pekao S.A. i min. 1 płatności kartą debetową do konta lub aplikacją PeoPay. Do ukończenia 26. roku życia 0 zł za prowadzenie Konta Przekorzystnego, obsługę karty do tego konta oraz brak prowizji banku za wypłaty kartą ze wszystkich bankomatów w Polsce i za granicą są bezwarunkowe.

Pojęcia: wypłata, prowadzenie konta, obsługa karty, przelew i PeoPay odpowiadają następującym określeniom z rozporządzenia Ministra Rozwoju i Finansów z 14.07.2017 r. w sprawie wykazu usług reprezentatywnych powiązanych z rachunkiem płatniczym (Dz.U.2017.1437): wypłata gotówki, prowadzenie rachunku płatniczego, obsługa karty debetowej, polecenie przelewu / polecenie przelewu wewnętrznego, usługa bankowości elektronicznej. Stosowne definicje znajdziesz na pekao.com.pl/definicje. I **Bank Pekao S.A.**

eprasa.pl c98308c2a0



Alfabet kampanii

Opisać kampanię wyborczą, której wynik zobaczymy za kilkanaście dni, to zadanie karkołomne. Zrobić to za pomocą liter alfabetu – prawie niewykonalne, nawet gdyby ich liczba była kilkanaście razy większa. Zatem tę próbę, jaką przedstawiam, proszę potraktować jako bardzo subiektywny obraz widziany okiem kogoś, kto teraz patrzy na życie polityczne z pozycji publicysty, choć kiedyś był aktywnym uczestnikiem takich kampanii...



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

A – ANTYSYSTEMOWCY W SZPONACH SYSTEMU

Na początku kadencji klub Kukiz '15 liczył 42 posłów. Programy wyborcze były wtedy dla Kukiza „jednym wielkim kłamstwem". Po czterech latach ruch Kukiza miał tylko 16 posłów, nie miał pieniędzy ani struktur. Kukiz antysystemowość schował do kieszeni i przyszedł do PSL, które rozpaczliwie usiłowało się jakoś wydostać z tęczowej zapaści, w jaką popadło po niefortunnej decyzji pójścia do wyborów do PE w Koalicji Europejskiej. „Liczy się przede wszystkim przyzwoitość" – broni Paweł Kukiz tej koalicji i usiłuje zapomnieć, że jeszcze nie tak dawno mówił o PSL, że funkcjonuje na zasadach „podobnych do mafii". Jego dawny najbliższy współpracownik, Piotr Liroy-Marzec, pytany o powody zaskakującej decyzji Kukiza, skomentował to bardzo dosadnie: „Mam łyknąć pigułkę gwałtu, tak jak ty i wypiąć tyłek? Weź się puknij w czoło, człowieku".

B – BOMBY O SILE KAPISZONA

Teczki, haki, taśmy, afery – kiedyś miały duży wpływ na wyniki wyborów. Mało kto pamięta „czarną teczkę" Tymińskiego i głosowanie na „mniejsze zło", czyli Lecha Wałęsę w 1990 r. Afery Rywina i starachowicka pogrążyły SLD i skazały na bycie w opozycji przez 10 lat, by wreszcie wyrzucić Sojusz z parlamentu na cztery lata. Taśmy z restauracji Sowa & Przyjaciele miały swoją moc, uwolniły ze swoistego chocholego tańca spo-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0

łeczeństwo uśpione, a w efekcie zmęczone ośmioma latami polityki „ciepłej wody w kranie" i nawet nieoburzone aferami zamiatanymi pod dywan, bo medialna ochrona rządzącego układu była w tych sprawach wyjątkowo skuteczna. W tej kampanii kolejne próby odpalania bomb przez media, rozpaczliwie próbujące zastąpić opozycję w walce z rządem, nie dają efektu wybuchu jądrowego, który zmiecie ze sceny politycznej Zjednoczoną Prawicę. Coś, co miało siłę w okresie stagnacji państwa i podświadomego pragnienia zmian w sporej części społeczeństwa, w obecnej sytuacji gospodarczej i przy ograniczeniu monopolu mediów sprzyjających opozycji większych rezultatów nie przyniesie. I nawet jeśli czeka się z odpaleniem największego ładunku wybuchowego (a takie słuchy krążą) na ostatnie dni kampanii, wynik wyborów nie będzie od tego zależał i raczej nie pozbawi PiS szans na samodzielną większość.

C – CISZA WYBORCZA SPRYTNIE OMIJANA

Obowiązująca od 1991 r. cisza wyborcza jest reliktem... No właśnie, sama nie wiem czego. W dobie internetu jest omijana na portalach społecznościowych, na których w dniu wyborów pojawiają się komunikaty o cenach (procentach głosów) „na bazarku" różnych warzyw (komitetów wyborczych). PKW udaje, że tego nie widzi (zresztą jakby mogła tego zakazać), a publiczność świetnie się bawi. Czy ma to jakiś wpływ na ostateczny wynik wyborów? Nie sądzę.

D – DORADCY SPRZEDAJĄCY POLITYKÓW JAK NOWY MODEL TELEFONU

Marketing polityczny to niełatwa dziedzina. Kiedy obserwuje się dzisiejsze kampanie, czasami można odnieść wrażenie, że albo politycy nie ufają specjalistom od marketingu i biorą sprawy w swoje ręce – co czasami kończy się katastrofą – albo zbytnio ufają i pozwalają stosować techniki skuteczne może przy sprzedaży telefonów, ale niekoniecznie programu politycznego i idei. A jeśli już zdecydują się na pomoc specjalistów z zagranicy, jak to podobno miało miejsce w przypadku Koalicji Obywatelskiej, to okazuje się, że obcokrajowcy bardziej zaszkodzą, niż pomogą, nie zawsze stosowana przez nich socjotechnika da się bowiem przeflancować na polski grunt.

E – ELEKTORAT PILNIE POSZUKIWANY

Jeśli ugrupowanie polityczne nie rozumie, że kampanię wyborczą zaczyna się dzień po wyborach i utrzymuje więź z elektoratem przez kolejne lata do następnych, to zaczyna się rozpaczliwe szukanie potencjalnych wyborców na targowiskach i bazarach, wpraszanie na imprezy sportowe i dożynki. Nagle się okazuje, że kilkanaście tygodni przed głosowaniem politycy chcą się dowiedzieć, co ludziom jest potrzebne do szczęścia, jakie mają problemy i w czym mogą im pomóc. I kiedy 23 września KO ogłasza akcję „Powiedz Kidawie o sprawie", a każda z tych spraw będzie traktowana indywidualnie i program KO „będzie tworzony przez ludzi i dla ludzi", to już nawet nie jest śmieszne.

F – FASZYZM, CZYLI NAJPROSTSZY EPITET DO OKŁADANIA PRZECIWNIKA

Każdy, kto ma inne poglądy, może się doczekać epitetu faszysty, antysemity czy homofoba. W kampanii wyborczej skłonność do stosowania tej metody stygmatyzacji przeciwnika jest szczególnie pociągająca, nawet jeśli się nie wie, gdzie faszyzm się narodził ani czym tak naprawdę był, jak to się okazało w przypadku pewnej znanej polityczki (używam specjalnie żeńskiej formy słowa „polityk", bo jest to dobrze widziane w tym ugrupowaniu).

G – GADŻETY KAMPANIJNE PRAKTYCZNIE NIE WYSTĘPUJĄ

Bilbordy, plakaty, ulotki w dzisiejszych czasach praktycznie nie mają wpływu na zyskanie większej popularności. Albo ciężka praca w okręgu, albo nieustająca obecność w telewizji i radiu z przekazem, który widz i słuchacz zapamięta. Niektórym kandydatom wydaje się, że chamstwo i agresja w mediach oraz internecie jest tym, co sprawi, że zostaną zapamiętani i wybrani. I niestety coraz częściej mają rację. Ale i w tej kampanii pojawiły się tzw. gadżety, czyli różne niespodzianki rozdawane wyborcom. Kawa serwowana na ulicach o świcie spieszącym do pracy wydaje się miłym i ciepłym gestem, choć można się naciąć, tak jak jeden z kandydatów w Krakowie, który chciał poczęstować kawą nieznajomą, jak okazało się – rzeczniczkę partii, z której startuje. No ale ponieważ jest to partia, z którą niedawno się zaprzyjaźnił, zostało mu wybaczone. Większą pomysłowością wykazała się Kidawa-Błońska, która rozdawała na spotkaniu seniorów w Radomiu czujniki dymu. Nie był to jednak zbyt fortunny pomysł, czujniki kupiło bowiem miasto, a seniorzy nie byli nastawieni na wyborczą agitację. Pączki nie cieszą się wzięciem, od kiedy je w towarzystwie drożdżówek Schetyna rozdawał powodzianom z Kazimierza Wielkiego, a PO kręciła przy okazji tej wizyty spot wyborczy.

H – HEJT, CZYLI PRZEMYSŁ POGARDY W NOWOCZESNYM WYDANIU

Strona SokzBuraka z 800 tys. obserwujących to prawdziwa fabryka hejtu. Memy i fake newsy tam produkowane mają dyskredytować przede wszystkim ludzi związanych z prawicą. Ale jest także wiele innych stron siejących nienawiść, często działających wbrew polskiej racji stanu, powielających stereotypy Polaka faszysty i Polaka antysemity. Jest także tzw. hejt środowiskowy (sędziowie, nauczyciele, lekarze). To gangrena zżerająca media społecznościowe i właściwie nie bardzo wiadomo, jak z nią walczyć, bo kiedy się zdekonspiruje jedno ognisko hejtu, to natychmiast się przepoczwarza i działa pod nową nazwą.

I – INTERNET, KTÓRY MAMY „MY", BO „ONI" MAJĄ TVP

Wiara w możliwości sprawcze polityki uprawianej w internecie, czy to z otwartą przyłbicą, czy też anonimowo, jest jak wiara dziecka w św. Mikołaja. Nadzieja jest, ale zamiast prezentów może przynieść rózgę. Podobnie jest z telewizją publiczną. Ci, co „mieli" ją w 2015 r., wybory przegrali.

eprasa.pl c98308c2a0

K – KOBIETY I PARYTET, CZYLI MARZENIA FEMINISTEK

Licytowanie się, u kogo jest więcej kobiet na listach, powinno być dla kobiet upokarzające. Dla feministek jest to pewnie powód do dumy, ale jeśli się chce równej płacy za tę samą pracę, to wymagania muszą być takie same i płeć nie ma tu najmniejszego znaczenia. Chyba najlepiej rozumie to SLD, który na 41 listach dał kobietom 14 jedynek. Reszta niech sobie powalczy, niekoniecznie w kisielu, choć mało brakowało.

L – LGBT+, CZYLI FALSTART NA SZCZYCIE RÓWNI POCHYŁEJ

Podpisanie warszawskiej Karty LGBT+ przez Rafała Trzaskowskiego to jego największy polityczny błąd, a słowa jego zastępcy Rabieja zdradzające strategię oswajania Polaków z adopcją dzieci przez homoseksualistów wywołały lawinę zdarzeń, które w efekcie zmobilizowały konserwatywny elektorach do obrony swoich wartości i mocno obniżyły szanse KO na wyrównaną walkę wyborczą z prawicą.

M – MEDIA ZAANGAŻOWANE BARDZIEJ NIŻ NIEKTÓRE SZTABY WYBORCZE

Tzw. mit obiektywizmu dziennikarskiego odszedł ostatecznie do lamusa i wielu dziennikarzy z obserwatorów i komentatorów sceny politycznej zmieniło się w aktywnych jej uczestników. Czasami rozczarowani lenistwem i brakiem intelektualnego rozpędu ugrupowania, które jest im bliskie, starają się wziąć sprawy w swoje ręce, podpowiedzieć, zmobilizować, wyprodukować ładunek, który przyda się do zniszczenia przeciwnika. Czy należy to potępiać? Jeżeli nie używa się do tego kłamstwa, cenzurowania wiadomości i manipulowania informacjami – to pluralizm mediów stanowi bezpiecznik, tylko monopol jest bowiem groźny dla debaty publicznej. A oceny takiej działalności mogą dokonać jedynie widzowie, słuchacze i czytelnicy.

N – NAWRÓCENI: POWROTY I ROZSTANIA

Chyba w żadnej dotychczasowej kampanii okno transferowe nie było otwarte tak szeroko i tak długo – do samego zgłoszenia ostatecznej wersji list wyborczych. Jeżeli nie mamy pretensji do piłkarzy, że zmieniają barwy klubowe, dlaczego mielibyśmy je mieć w stosunku do polityków? Jeśli potrafią przekonać wyborców, że za takimi decyzjami nie stoi wyłącznie czysty koniunkturalizm, tylko coś ważnego, to może im się uda.

O – OBIETNICE ZWANE KIEDYŚ KIEŁBASĄ WYBORCZĄ

„Dwa razy obiecać, to jak raz dotrzymać" – mówił u Sowy & Przyjaciół Sikorski. Na co Rostowski odpowiedział mu w podobnym tonie: „Obietnice polityczne wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą", po czym obaj wybuchnęli śmiechem. Trzeci raz wygrać wyborów PO się nie udało i była to nauczka, by po raz pierwszy chyba od 1989 r. obietnice wyborcze potraktować poważnie.

P – PROGRAM WYBORCZY POSZUKIWANY

Czasami jest jak zaginiona Arka Przymierza, tylko że nie każdy jest Indianą Jonesem. Wyborców nie interesują ponadstustronicowe elaboraty, starające się odnieść do każdej dziedziny życia. Wyborca potrzebuje prostego przekazu, tak prostego i jasnego, jak dziesięć przykazań. I wizji. Niech eksperci dyskutują, ile diabłów mieści się na końcu szpilki, wyborca chce przede wszystkim wiedzieć, co i jak ubiegający się o jego głos chcą zrobić, żeby jego życie stało się lepsze.

R – REKLAMA: PIENIĄDZE WYDANE NA DARMO

W atakującej nas ze wszystkich stron reklamie, która oferuje nam wszystko, co sprawi, że będziemy młodzi, zdrowi i bogaci, reklama wyborcza to przeważnie pieniądze wyrzucone w błoto. Reklamowe spoty wyborcze rzadko są robione z pomysłem, zabawnie, przekonująco i wypadają blado przy wielomilionowych kampaniach dyskontów, suplementów diety oraz piwa.

S – SONDAŻE MOBILIZUJĄCE, DEPRYMUJĄCE I WPŁYWAJĄCE, RZADKO PRAWDZIWE

Coraz częściej sondaże nie badają opinii publicznej, tylko na nią wpływają. Pomału i politycy, i wyborcy tracą do nich zaufanie, tym bardziej gdy mijają się one z ostatecznymi wynikami, jak w przypadku wyborów. Może Francuzi wiedzieli, co robią, kiedy zakazali ich publikacji pół roku przed wyborami?

Ś – ŚCIEKI W NATURZE I W KAMPANII

Awaria oczyszczalni ścieków w Warszawie wpływu na kampanię nie będzie miała, tym bardziej że z badań zamówionych przez ratusz wynika, iż 70 proc. warszawiaków uważa, że prezydent Trzaskowski „dobrze zareagował na tę awarię". Nie wiem, ile procent poza Warszawą, szczególnie na odcinku między stolicą a Bałtykiem, podziela tę opinię, nie wspominając o mieszkańcach miejscowości, do których osady ściekowe są, w związku z awarią również spalarni, zwożone. W tym samym czasie ujawniono ściek w internecie, a to już wpływ na wybory mieć może.

T – TRZEJ TENORZY, CZYLI WYGODNA AMNEZJA POLITYCZNA

Komitet Wyborczy SLD stworzony przez Biedronia, Czarzastego, Zandberga jest jak ten chłop, co śpi, a zboże samo mu rośnie. Grubą kreską oddzielili przeszłość, wszystkie te złe słowa, które jeden Polak powiedział przeciwko drugiemu Po-

eprasa.pl c98308c2a0



Fot. Fratria

lakowi i choć poparcie tak szaleńczo im nie wzrasta, to jednak lewica pomalutku, promil po promilu, odbiera KO wyborców i nawet skandal erotyczno-zoologiczny im nie zaszkodził. Pewnie do Sejmu wejdą, Biedroń pojedzie do Brukseli, resztówka po nim przyklei się do SLD i tylko pytanie, co zrobi Zandberg?

U – UKŁADANKA NA LISTACH

Gdyby poprosić naukowca, by stworzył algorytm, według którego można ułożyć idealną listę wyborczą, to pewnie nie dałby rady. Zbyt wiele czynników i nieprzewidzianych zmiennych. Generalnie listy układane są w kilku wariantach: a) by wygrać, b) by przegrać jak najmniej, c) by utrzymać pozycję lidera pomimo przegranej. Najłatwiej je się układa, jeśli lider jest jeden, a partia jednolita. Najtrudniej – gdy jest to koalicja, a liderów więcej. Ale najgorzej jest wtedy, kiedy pozycja lidera jest niepewna, a za jego plecami czai się kilku Brutusów.

W – WIARYGODNOŚĆ NAGLE DOCENIONA

I to jest nowość w kampaniach wyborczych, a wiąże się z literą „o", czyli z „obietnicami zwanymi kiedyś kiełbasą wyborczą".

Z – ZAMIANA MIEJSC

Nieoczekiwana, zaskakująca i nic nieprzynosząca. Twarz Kidawy-Błońskiej miała przysłonić oblicze Schetyny, niecieszącego się zbytnią popularnością nawet wśród zwolenników PO. Ale nie dość, że nie przyniosła poprawy notowań, to jeszcze w ostatniej chwili zasłoniła ją twarz Klaudii Jachiry.

Ż – ŻONA CEZARA

„Moja żona musi być wolna nawet od cienia podejrzeń" – w ten sposób Juliusz Cezar usprawiedliwiał oddalenie swojej żony Pompei, ponoć skompromitowanej przez mężczyznę, który w przebraniu kobiecym dostał się do jej domu w dniu święta zastrzeżonego wyłącznie dla niewiast. Być jak żona Cezara to trudna sprawa. Tym bardziej w polityce... Może jednak warto w dniu wyborów pamiętać o Pompei?

PS

J – JAKUBOWSKA ALEKSANDRA, AUTORKA TEKSTU

REKLAMA



62/0819/F

eprasa.pl c98308c2a0



Wróg według „Wyborczej”

Czytając kolejne artykuły w „Czarnej księdze PiS”, trudno znaleźć trop do jakiejkolwiek rzeczowej polemiki. Założenie publikacji jest takie: z jej tezami się nie dyskutuje, lecz bierze się je na wiarę. Kto myśli inaczej, ten wróg



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po przejrzeniu najnowszej – piątej już z kolei – „Czarnej księgi PiS” umysł nieodparcie podąża w stronę skojarzeń z „zaplutym karłem reakcji”. Ten słynny plakat pochodzący z okresu wdrażania władzy ludowej byłby doskonałą ilustracją publikacji wydanej właśnie przez „Gazetę Wyborczą”.

Wróg jest miernotą stającą na drodze historii do nieuchronnego postępu, jest parszywy, wulgarny i żeruje na najniższych instynktach. Trzeba go ciągle demaskować, zwalczać, piętnować, bo zrzuci cały kraj w otchłań i pogrąży go w nienawiści. I wtedy, i dziś stawia mu opór niewielka garstka światłych ideowców, którzy muszą zapanować nad otumanionym społeczeństwem, aby wyzwolić je z przesądów podsycanych przez żądną władzy cyniczną klikę. W walce z takim wrogiem nie warto się trzymać reguł, bo stawka jest zbyt wysoka.

Przeglądając kolejne artykuły w „Czarnej księdze PiS”, trudno znaleźć trop do jakiejkolwiek rzeczowej polemiki. Nie z powodu silnych argumentów, przeciwnie – z powodu ich braku. To poziom emocji tak wysoki, że wykracza poza ramy normalnej dyskusji. I takie zapewne jest założenie publikacji: z jej tezami po prostu się nie dyskutuje, lecz bierze się je na wiarę. Kto myśli inaczej, ten wróg.

Skądinąd byłby to bardzo ciekawy przyczynek do innej dyskusji – na temat poziomu frustracji i rozgoryczenia środowisk, które w ostatnich latach straciły władzę i część wpływów. Jednak publicysta, nie dysponując odpowiednim instrumentarium, jest tu raczej bezradny. Być może jakieś szersze konsylium byłoby się w stanie sprawniej pochylić nad tym problemem i postawić właściwą diagnozę.

eprasa.pl c98308c2a0

Pozostaje więc jedynie mały eksperyment intelektualny. Trzeba się wcielić umysłem w kogoś, kto jest zupełnie oderwany od rzeczywistości i zamknięty gdzieś w czarnej dziurze, czerpie informacje o dzisiejszej Polsce wyłącznie z najnowszej publikacji „GW". Spróbujmy więc zrekonstruować jego stan wiedzy.

ZAKOMPLEKSIONY CHAM

Otwierając „Czarną księgę PiS", nasz odsunięty od świata czytelnik najpierw się dowie, że typowy wyborca tej partii to wulgarny, anonimowy troll, bez przerwy miotający prostackie wyzwiska pod adresem tak szlachetnych ludzi jak Jerzy Owsiak, Iwona Hartwich, Marta Lempart czy wdowa po prezydencie Gdańska Magdalena Adamowicz. Wśród zaczerpniętych z internetu inwektyw nie brakuje również brutalnego hejtu w stosunku do osób publicznie nieznanych: Bogu ducha winnych nauczycieli i sędziów, którzy – podobnie jak kiedyś Żydzi – stali się celem sterowanej odgórnie nagonki.

Na pierwszej stronie gazeta ostrzega swoich czytelników przed rynsztokowym słownictwem wewnątrz – nic dziwnego, całość jest rodzajem małej monografii pisowskich rządów, a prostacki język jest przecież, jak wiadomo, jedyną formą komunikacji zwolenników PiS. Osoby delikatne mogą być zszokowane, wchodząc za kulisy pisowskiego świata. Taki – wydawałoby się – niegroźny bezrobotny chłop z szóstką dzieci, który czasem pomaga w ogrodzie, może się okazać bandytą, który za butelkę wódki nie tylko zetnie trawę na działce, lecz i głowy jej gospodarzom.

Gęsto cytowane inwektywy internetowych anonimów pojawiają się nie tylko na otwarciu „Czarnej księgi PiS", lecz również w kolejnych materiałach, gdzie przeplatane są oficjalnymi wypowiedziami liderów PiS, pokazując tym samym, że przykład idzie z góry. Ten fenomen wyjaśnia nam w obszernym eseju na kolejnej stronie „Księgi" prof. Marcin Matczak. Profesor oskarża reżim pisowski o skrajny narcyzm, posiłkując się przy tym artykułem „Tylko ty i ja kochanie. Gierki narcystów" autorstwa dziennikarki Julie L. Hall. Jak pisze, „oskarżenie o narcyzm jest w rzeczywistości oskarżeniem o skrajną nienawiść – do innych, ale i do siebie. Jest oskarżeniem o to, że jeśli ktoś czuje się wewnętrznie słaby i gorszy, to musi to poczucie gorszości przelać na innych. Musi innych zmanipulować, skłócić, musi wydobyć z nich to, co w ludziach najgorsze. Musi to zrobić, bo wtedy choć przez chwilę czuje, że nie jest sam – że społeczeństwo pełne nienawiści upodabnia się do niego samego".

Liderzy prawicy są przeżarci kompleksem niższości i równają wszystko wokół siebie w dół, co musi budzić oczywisty sprzeciw ludzi znacznie bardziej inteligentnych, utalentowanych i dzięki temu w naturalny sposób predestynowanych do sprawowania władzy.

Jakie mogą być źródła tego poczucia niższości na prawicy? Różne – odpowiada prof. Matczak: „Niepowodzenia w karierze zawodowej, takie jak niezdane egzaminy zawodowe czy brak awansu, niepowodzenia w miłości i w życiu rodzinnym, ale także pech". Ta frustracja wynikająca z upośledzenia intelektualnego i idących z nim w parze niedostatków urody wywołuje wśród prawicowców zawiść w stosunku do obecnych wokół „wielkich i bohaterskich postaci, np. wielkich przywódców, którzy obalili komunizm. Głęboko ukryte poczucie niższości wyzwala potrzebę jego zwalczania" – wyjaśnia prof. Matczak.

Prawica jest jak wulgarny, pryszczaty osiłek w zagrzybionych butach, który mści się na ludziach wytwornych i wykształconych tylko z tego powodu, że zazdrości im ogłady, wiedzy i urody.

TĘPAK I ZAWISTNIK

Nic zatem dziwnego, że prawicowy troglodyta nieustannie wypluwa z siebie inwektywy, bo nienawidzi każdego, komu się w życiu udało. Na kolejnych stronach „Księgi" nasz coraz bardziej zdegustowany czytelnik odnajduje kolejne przykłady zezwierzęcenia. Ponure, ciemne masy reagują agresją na wszystko, co wielokolorowe i pełne uśmiechu. Niebezpiecznie zbliżają się do granicy, za którą są już wyłącznie masowe mordy – sygnałem ostrzegawczym było tu zabójstwo prezydenta Gdańska.

Władza pisowska niszczy samorząd, bo jest ostatnią zaporą przed tyranią, zazdrości Jurkowi Owsiakowi, bo jest szlachetnym człowiekiem kochanym przez miliony – prawdziwie niezależną instytucją broniącą resztek wolności i normalności. A tego prawicowy reżim nie może znieść.

Rządowa propaganda z TVP na czele emituje „faszystowskie w swojej idei filmiki" i „obrzydliwie atakuje grupy, które ośmieliły się władzy sprzeciwić". Jakie to grupy? Po pierwsze, nauczyciele, co oczywiście nie może dziwić, bo zwolennicy PiS mają złe doświadczenia ze szkołą, tak jak każdy, kto miał trudności z nauką czytania, pisania i liczenia. Teraz te straumatyzowane z powodu własnego niedorozwoju masy pisowskich wyborców, podpuszczone przez cynicznych propagandystów, mają wreszcie okazję odegrać się na ludziach, których anielskiej cierpliwości i heroizmowi zawdzięczają ukończenie ośmiu klas.

Drugą atakowaną grupą są rezydenci – młodzi ludzie po studiach medycznych. Pisowiec, jak wiadomo, boi się lekarzy jak diabeł święconej wody. Unika go nie tylko dlatego, że jest mu wstyd z powodów higienicznych, lecz również dlatego, że onieśmiela go ogrom wiedzy medycznej, którą postrzega w kategoriach całkowicie niedostępnej dla jego umysłu tajemnicy. To wyzwala w nim strach przed lekarzami i frustrację, którą zręcznym manipulatorom łatwo przekształcić w agresję. O przejawach tej agresji opowiada drobiazgowo artykuł pod wymownym tytułem „Kopa w d... dostaniecie, a nie podwyżki".

Wreszcie trzecia grupa znienawidzona przez pisowców bardziej niż jakakolwiek inna – to obcy. Obcy, czyli imigranci i homoseksualiści. Strach powiedzieć to głośno, ale eskalacja nagonki przeciwko tym grupom coraz bardziej przypomina przedwojenną atmosferę, duszny okres antyżydowskiej histerii rozpętanej ku uciesze tłuszczy przez Obóz Zjednoczenia Narodowego – okryty złą sławą sanacyjny, faszyzujący Ozon. „Tak wczoraj, jak i dziś w prawicowej optyce liberalizacja obyczajów była elementem zaplanowanej akcji politycznej. Płaszczyzna polityczna i obyczajowa przenikały się: masonerię, feminizm, komunizm, antykoncepcję i wychowanie seksualne potępiano na jednym oddechu, jako różne wcielenia tego samego – żydowskiego – potwora"

eprasa.pl c98308c2a0

– pisze prof. Piotr Osęka, historyk z PAN. „Trudno nie zauważyć – podsumowuje – że PiS przemawia dziś do Polaków tym samym językiem co przed 80 laty OZN".

Tamte czasy zakończyły się masowymi zbrodniami podczas II wojny światowej, które obecna pisowska władza próbuje wstydliwie ukryć, budując fałszywy mit bohaterskiego Polaka i zaprzeczając polskiemu udziałowi w Holokauście. Przeinaczając niewygodne fakty, obrzucając obcych inwektywami, tworzy potencjalny grunt pod kolejną falę przemocy. Czy kogokolwiek może jeszcze dziwić, że koszulki z orłem noszą dziś głównie kibole i wygolone osiłki?

We wspólnocie, którą buduje dziś PiS, nie ma miejsca dla obcych ani odmieńców, dla nikogo, kto wybija się ponad przeciętność, równamy nieuchronnie w dół ku szarzyźnie i paździerzowi. Ku najbardziej prymitywnym instynktom.

Nasz czytelnik, dowiedziawszy się o tym, upewnia się, czy drzwi oddzielające jego kryjówkę od świata zewnętrznego są na pewno szczelnie zamknięte. Jest przestraszony.

WYRACHOWANY TROLL

Strach przed obcymi, w szczególności przed osobami homoseksualnymi, jest – jak pisze w „Czarnej księdze PiS" Anna Mierzyńska, wybitna ekspertka od internetu (a także, jak się okazuje, od Rosji) – cechą wspólną dwóch reżimów: pisowskiego i putinowskiego. PiS nie musi wcale kochać Rosji, może się jej nawet przeciwstawiać na arenie międzynarodowej, ale to tylko zasłona dymna mająca ukryć niekłamany podziw pisowców dla Władimira Putina. Mierzyńska wylicza tu cztery główne elementy putinowskiego systemu: „1. Przeciwko Rosji zawsze spiskują zewnętrzni wrogowie, z którymi Rosja musi się konfrontować, 2. Wrogowie Rosji rozpowszechniają na świecie homoseksualną propagandę, 3. Szerzenie tej propagandy ma na celu przekształcenie narodu rosyjskiego w grupę ludzi łatwą do zmanipulowania przez zachodnich kapitalistów, 4. Propaganda homoseksualna powoduje degradację społeczną i kryzys moralny".

Jeśli się przyjrzeć podanym fundamentom rosyjskiego systemu politycznego, to trudno nie dostrzec ich uderzającego podobieństwa do polityki PiS. Wystarczy podmienić słowo „rosyjski" na „polski" i się okaże, że oba systemy są właściwie tożsame. Gdyby nie różnice geopolityczne, to oba reżimy mogłyby dziś utworzyć ścisły sojusz pod hasłami homofobicznymi.

Z Rosją, ale także z orbánowskimi Węgrami, łączy pisowskie państwo obsesyjna nienawiść do znanego filantropa George'a Sorosa. Nic dziwnego, Soros jest przecież największym orędownikiem walki o wolność, zwłaszcza w mediach i internecie, przez które przelewa się dziś brunatna fala nienawiści. O tym, jak produkuje się tę nienawiść, pisze w swoim artykule o kremlowskiej fabryce trolli Wacław Radziwinowicz. Umieszczenie tego artykułu w „Czarnej księdze PiS" może świadczyć o tym, że taka fabryka trolli, wzorowana na rosyjskiej, pracuje już i u nas, bez przerwy szkalując i podsycając nienawiść. Rozejrzyjmy się dokładnie, bo być może ci młodzi ludzie w biurowcu obok, na których spoglądaliśmy ze współczuciem, gdy całymi nocami klikali w klawiatury komputerów, nie są wcale wyzyskiwanymi wyrobnikami międzynarodowej korporacji, ale wyrachowanymi, wulgarnymi trollami na etatach w WOT.

> „Czarna księga" wbrew swojemu tytułowi wcale nie jest o PiS. To raczej zapis środowiskowych fobii, interesujący wgląd w umysły i stan emocjonalny części antypisu

Niewykluczone, że przeżarty antyzachodnim kompleksem PiS, podążając wiernie śladami swojego mistrza Putina, doprowadzi Polskę do konfliktu z całym cywilizowanym światem. W takiej sytuacji może nas czekać los Turcji, która pod dyktatorskimi rządami Recepa Erdoğana została przekształcona w wielkie więzienie polityczne. Już dziś widać liczne podobieństwa między Polską a Turcją. Turcy przykładowo uwielbiają teorie spiskowe, które co chwila podrzuca im Erdoğan, aby utrzymać swoje społeczeństwo w stanie oblężenia i wmawiać mu, że cały świat sprzysiągł się przeciwko Turcji.

Identycznie jest w dzisiejszej Polsce. Otumanione przez PiS masy wierzą w rzekome spiski Unii Europejskiej i Sorosa, nie dostrzegając rzetelnych materiałów śledczych ujawniających prawdziwe oblicze PiS, takich choćby jak publikacja Tomasza Piątka o powiązaniach Macierewicza czy kolejne bomby „GW" demaskujące pajęczą sieć zaplecioną przez spółkę Srebrna.

Polska znalazła się dziś na prostej drodze do wschodniej despotii. Tegoroczne wybory mogą być ostatnimi demokratycznymi wyborami w historii Polski, pamiętajmy, że Hitler również doszedł do władzy w drodze wyborów. Wybrały go opętane nienawiścią tłumy.

„Czarna księga PiS" kończy się wydrukowanym na całą stronę hasłem, właściwie wołaniem o pomoc: „Nie uciszą nas". Wolni ludzie powinni sobie wziąć to wezwanie do serca. Dopóki nie jest za późno.

POST SCRIPTUM

Wróćmy na koniec do naszego eksperymentu i zajrzyjmy do naszego czytelnika, który odizolowany od świata przebrnął przez całą „Czarną księgę PiS". Po jej lekturze jest rozedrgany i już na dobre przerażony. Już wie, kim jest wróg i – tak, tak – głęboko nim pogardza i szczerze go nienawidzi.

„Czarna księga" wbrew swojemu tytułowi wcale nie jest o PiS. To raczej zapis środowiskowych fobii, interesujący wgląd w umysły i stan emocjonalny części antypisu. Wszakże w jednym trzeba się z jej autorami zgodzić: nienawiść jest złem, które ciągnie nas ku przepaści. Dlatego, jeśli kto wierzący, warto, aby poświęcił krótką modlitwę w intencji opamiętania.

eprasa.pl c98308c2a0

Premier to robot, my czasem dokręcamy mu śrubki

W przypadku Morawieckiego to dosłownie prawda, że pracuje się 24 godziny na dobę. Telefony i maile od niego pojawiają się o każdej porze dnia i nocy. Pierwsze maile otrzymujemy o 6 rano, ostatnie ok. 2 w nocy. I to jest stały cykl, a nie żaden wyjątek – mówi Paweł Jabłoński, doradca premiera Mateusza Morawieckiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Mówią, że jest pan prawą ręką premiera Morawieckiego.

Paweł Jabłoński: Jedną z kilkunastu, a może i kilkudziesięciu prawych rąk. Jestem w gronie dość dużego zespołu doradców, którzy są zatrudnieni w KPRM, ale też rozsiani po innych instytucjach i ministerstwach.

To, że pan premier ma sporo doradców, to jasne, ale nie wszyscy jeżdżą z nim do Brukseli negocjować wybór szefowej Komisji Europejskiej, dyskutować z przywódcami z całej UE.

To najbardziej eksponowana część moich obowiązków, ponieważ jestem doradcą ds. międzynarodowych. Ale moja rola to przede wszystkim przygotowywanie rekomendacji, analiz, które premier później akceptuje (lub nie).



Jak wyglądają takie spotkania na szczytach, w kuluarach? Premier odbywa niezobowiązujące small talki, „how are you", czy są tam też konkrety?

Szczerze mówiąc, w kuluarach dogadywanych jest najwięcej spraw. Oczywiście to, co dzieje się na sali – wśród prezydentów i premierów – jest najbardziej istotne, ale jeśli chodzi o ustalanie stanowisk negocjacyjnych (np. w formacie V4 czy poszerzonych sojuszy), to często ucierają się one na nieoficjalnych spotkaniach. Osaka Gang, czyli propozycja nowej personalnej układanki w UE, to był właśnie deal zawarty przy takim wspólnym lunchu.

Z kim najłatwiej się dogadać? Decydują interesy? Sympatie?

Dużo zależy od tematów, o których rozmawiamy. Jeśli mówimy o polityce rolnej, to jednym z największych sojuszników są Francuzi...

...ale prezydent Macron odsyła do Warszawy protestujących w sprawie zmian klimatycznych. Mało sympatyczne.

To tylko pokazuje, jak dużo zależy od poszczególnych spraw. Jemu łatwo jest to mówić, gdy Francja ma miks energetyczny oparty w ¾ na energii atomowej. To twierdzenie na poziomie legendarnego: „Nie mają chleba, niech jedzą ciastka". Macron powinien to wiedzieć najlepiej; protesty „żółtych kamizelek" dotyczyły wszak podwyżek cen paliw motywowanych walką z ociepleniem klimatu.

Wróćmy do dyskusji w kuluarach w Brukseli. Czy Polska jest na cenzurowanym z racji tego, że rządzi u nas centroprawica?

Nie tyle barwy polityczne mają znaczenie, ile postawa. Zaczęliśmy mocno artykułować nasze interesy, które często są sprzeczne z interesami innych krajów UE. Dochodzi do zgrzytów i to jest normalne. Tak było na przykład przy migracji. Stawialiśmy opór bardzo długo, byliśmy pozywani do Trybunału Sprawiedliwości, ale pokazywaliśmy, że chcemy zmiany. To wzbudzało dużą niechęć. Opór był potężny,

eprasa.pl c98308c2a0



Fot. Andrzej Wiktor

my się jednak nie daliśmy złamać i w czerwcu 2018 r. udało nam się odwrócić tę sytuację.

Inny przykład – przy wyborze nowej szefowej Komisji Europejskiej wydawało się, że koalicja przeciw Timmermansowi po prostu się rozpadnie. Dziś możemy to powiedzieć, że na pewnym etapie byliśmy niemal pewni, że ta sprawa jest przegrana. Powoli przygotowywaliśmy tezy do wypowiedzi medialnych na wypadek zwycięstwa Timmermansa. Ale w środku – na sali z innymi przywódcami – premier Morawiecki do końca konsolidował grupę naszych sojuszników. I wygrał! To pokazało, że z nami nie będzie tak łatwo, że twardą, solidarną postawą możemy wygrywać, nawet jeśli będzie trwało to długo. Ale i to specjalne patrzenie na Polskę się zmienia.

> W kuluarach dogadywanych jest najwięcej spraw. Oczywiście to, co się dzieje na sali – wśród prezydentów i premierów – jest najbardziej istotne, ale jeśli chodzi o ustalanie stanowisk negocjacyjnych, to często ucierają się one na nieoficjalnych spotkaniach

Zaczynają na zachodzie Europy traktować rząd PiS jako ekipę, która nie jest tymczasowo, nieco przypadkowo u władzy?

Dokładnie tak. Początek był faktycznie bardzo ciężki – po trzech latach coś zaczęło jednak pękać. W tej chwili widać poprawę, choć oczywiście ataki będą, bo są one wygodne dla niektórych stolic. My coraz wyraźniej przebijamy się z pozytywną agendą.

Przykład?

Jeden z ostatnich: premier Mateusz Morawiecki zaprosił wszystkie państwa do ogólnej deklaracji walki z oszustwami VAT-owskimi.

Problem dotyczy całej UE.

Tak. Śledztwo „Liberation" i 35 innych redakcji zatytułowano nawet „Grand Theft Europe". Pokazujemy naszym partnerom, że łączna kwota oszustw na VAT to poziom 140–150 mld euro na całą UE. Drugie tyle na CIT. A roczny budżet unijny to właśnie 150 mld euro. Mamy potężne pieniądze do odzyskania – by móc je wydać na cele tak potrzebne, jak polityka spójności, rolna czy właśnie klimatyczna. Sprawy realnie poprawiające poziom życia obywateli.

Jak premier odnajduje się w takich codziennych spotkaniach z Merkel czy Macronem?

Atmosfera bezpośrednich relacji jest bardzo w porządku, czemu sprzyjają charakter i wiedza premiera. Przydają się języki, przydaje się też umiejętność wejścia na te same fale co unijni przywódcy.

eprasa.pl c98308c2a0

Co ma pan na myśli?

Z uwagi na swoje doświadczenie w bankowości, w strukturze międzynarodowej premier szybko potrafi złapać wspólny język. Funkcjonuje i na salonach, i w kuluarach jako europejski polityk i nie musi przybierać postawy „brzydkiej panny bez posagu", by się przypodobać innym.

Wróćmy do Brukseli. Czy jest szansa, że to będzie bardziej nasza, propolska Komisja Europejska?

Na pewno dostaliśmy najważniejszą tekę spośród wszystkich, jakie Polska miała do tej pory. 1/3 budżetu UE to rolnictwo: polski komisarz będzie więc miał kontrolę nad tym, jak funkcjonuje UE w tym ważnym obszarze. Ale to nie koniec walki.

Jak to?

W rozmowach z Ursulą von der Leyen poruszamy również niezwykle istotną kwestię krwiobiegu unijnych instytucji. To urzędnicy wyższego i średniego szczebla, gdzie nie ma zbyt wielu reprezentantów Europy Środkowej i Wschodniej.

Czyli bijemy się nie tylko o tekę jednego czy drugiego komisarza?

Dokładnie. Gabinety komisarza i dyrektorów mogą oddziaływać na inne obszary polityki unijnej. Przy komisarz Bieńkowskiej, niestety, tego wpływu polskiego na KE nie było. A przecież z oczywistych powodów narodowość poszczególnych pracowników ma znaczenie. Niemieccy pracownicy KE w pewnym stopniu reprezentują niemiecki punkt widzenia. Nikt się temu nie dziwi.

Na pewno dostaliśmy najważniejszą tekę spośród wszystkich, jakie Polska miała do tej pory. 1/3 budżetu UE to rolnictwo: polski komisarz będzie więc miał kontrolę nad tym, jak funkcjonuje UE w tym ważnym obszarze. Ale to nie koniec walki

Naszym celem jest zatem nie tylko komisarz, lecz wchodzimy głębiej i walczymy o funkcję szefa departamentu przy komisarzu na przykład ds. energii.

Nie mogę podawać szczegółów, ale mniej więcej tak te układanki wyglądają. Hipotetycznie: Francja może zarekomendować nam swojego przedstawiciela do gabinetu komisarza ds. rolnictwa, my – do gabinetu ich komisarza. Czasem to wygląda jeszcze bardziej skomplikowanie, znów hipotetycznie: Francuzi proponują kogoś nam, my – Hiszpanom, Hiszpanie – Francuzom...

Trzeba by stworzyć odpowiednie mapki powiązań.

Proszę mi wierzyć, że mamy takie mapy.

Wróćmy do samego premiera Morawieckiego. Czy Jarosław Kaczyński ma rację, gdy żartuje, mówiąc, że jeśli premier się skaleczy w kuchni, to nie cieknie mu krew, ale nacina sobie przewody?

Tak. [śmiech] Mogę powiedzieć, jak pracujemy z premierem w gronie jego doradców. W przypadku Morawieckiego to dosłownie prawda, że pracuje się 24 godziny na dobę. Telefony i maile od niego pojawiają się o każdej porze dnia i nocy. Pierwsze maile otrzymujemy o 6 rano, ostatnie ok. 2 w nocy. I to jest stały cykl, a nie żaden wyjątek! Cieszymy się czasem, gdy premier leci samolotem, bo tam nie ma internetu i jest trochę spokoju. [śmiech] Tempo jego pracy jest niesamowite.

Jeśli więc premier to robot, to tacy ludzie jak pan dokręcają mu śrubki?

Tak. A jednocześnie podkręcamy śrubki innym robotom, które funkcjonują w tej wielkiej sieci.

Da się pracować w takim tempie?

Opowiem małą anegdotę: zanim dołączyłem do KPRM, byłem adwokatem, prowadziłem kancelarię i pracowałem bardzo dużo. Gdy pojawiła się propozycja od pana premiera, rozmawiałem o niej z żoną, która nie była entuzjastką porzucenia adwokatury dla administracji publicznej. Argumentowałem, że praca dla szefa rządu to wyjątkowa okazja, a ponadto że prawdopodobnie będę nieco mniej czasu w pracy...

Puenta jest pewnie taka, że żona zagłosuje ze złości na Platformę.

Mam nadzieję, że aż tak źle nie będzie. [śmiech] Ale wypomina mi często, że tej pracy jest więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Po co panu w tej pracy mandat posła?

Po to, by móc skuteczniej realizować projekty, które są potrzebne, a do których mandat się przydaje. Pewne zmiany i propozycje, które merytorycznie są przygotowane bardzo dobrze, w momencie gdy trafiają na ścieżkę polityczną, czasem napotykają na opór posłów.

Jeśli się pan dostanie, to będzie jednym z 460 innych. Trybik w maszynie.

To tylko część prawdy. Głos pojedynczego posła, jego możliwości oddziaływania na komisjach czy klubie naprawdę ułatwiają forsowanie dobrych zmian – zwłaszcza na gruncie przygotowywanego prawa.

Pan startuje na Śląsku. Rozumie pan, jak panu byda godoł o hasiokach i krupniokach, czy spadł pan na śląską listę na spadochronie politycznym?

Rozumia i godom. Tu mnie pan nie zagnie, wychowałem się na Śląsku i dobrze wiym, co to hasiok i co to krupniok.

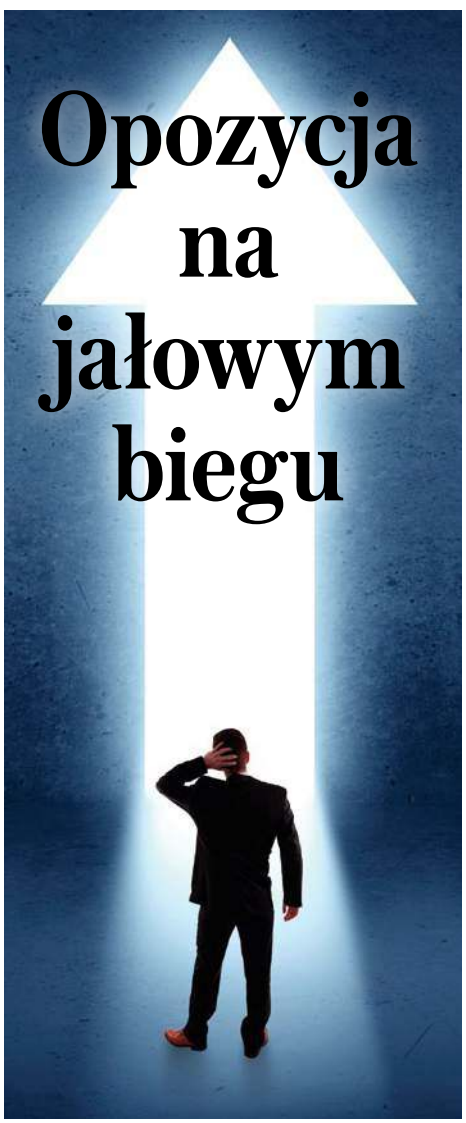
eprasa.pl c98308c2a0

Są w opozycji już cztery lata. Czy przez ten czas, gdy nie są u władzy, intelektualiści lewicowo-liberalni wypracowali nowe spojrzenie na Polskę? Jaką postawili diagnozę i co zamierzają zrobić? Ich Titanic tonie, a orkiestra na pokładzie złożyła instrumenty i przesiadła się do bezpiecznych szalup



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Opozycja na jałowym biegu



W miejsce piątki Kaczyńskiego – szóstka Schetyny, w miejsce podwyżki pensji minimalnej – ustanowienie jej na wysokości połowy średniego wynagrodzenia, 13. i 14. emerytura zastąpiona przez „emeryturę bez podatku"? Komentatorzy coraz częściej powtarzają wniosek, że partie lewicowo-liberalne kopiują rozwiązania PiS, próbują naśladować Jarosława Kaczyńskiego i licytować się na programy polityczne. Nawet projekt „Kidawa-Błońska" to nieudolna kopia Beaty Szydło. To pozorne i nieudolne kopiowanie posunięć politycznych nie przekłada się jednak na wielką pracę, jaką PiS wykonało w czasie swojego zasiadania w opozycyjnych ławach.

SZTUKA BYCIA W OPOZYCJI

PiS przetrwało dwie kadencje w opozycji, będąc pod bezprecedensowym ostrzałem mediów prywatnych i państwowych, narażone na rozłamy, śmierć swoich elit (tragedia smoleńska), prowokacje i upokorzenia. Jednak prawica nie przespała tych ośmiu lat – na corocznych odsłonach Kongresu Polska Wielki Projekt trwała dyskusja o przyszłości państwa, konserwatywne wydawnictwa i periodyki ocalały od zapomnienia tematy i sprawy wypychane na margines przez mainstream. Ale i zwykli obywatele sympatyzujący z tradycją nie próżnowali – miesięcznice smoleńskie, setki uroczystości patriotycznych, organizowanie wykładów, spotkań i dyskusji, konsolidowanie się wokół konserwatywnych mediów przyniosło spektakularny efekt – w 2015 r. Zjednoczona Prawica przejęła ster rządów.

Środowiska lewicowo-liberalne stać było jedynie na wyrób obywatelopodobny – nieudolny ruch KOD czy Obywateli RP przyniosły więcej wstydu niż pożytku, a krótkotrwały projekt zjednoczenia obozu antypisu rozpadł się jeszcze przed pierwszymi wypłatami diet nowych europarlamentarzystów. Wybory już za miesiąc i jeśli nie zdarzy się jakiś nieoczekiwany wstrząs na skalę państwową, to spadkobiercy Donalda Tuska nadal będą zamykać swoją aktywność poselską w tupaniu nogą przed kamerami.

Konserwatyści nie powinni jednak spać spokojnie – nie po to przez dekady raczono Polaków pedagogiką wstydu, żeby projekt rozmontowania kraju liberałowie i lewica na zawsze schowali do szuflady. W społeczności antypis istnieją trzy koncepcje odebrania władzy Zjednoczonej Prawicy.

KONSERWATYŚCI, KTÓRZY NIE CHCĄ WYMRZEĆ

Głosy tego pogardliwego myślenia słychać nawet po czterech latach rządów PiS. Maria Nurowska, niedoszła kandydatka na senatora ze strony Koalicji Europejskiej, tak określiła wyborców prawicy: „Miałam możliwość zobaczyć te twarze, a właściwie mordy. Oni mają ordynarne ryje i to wszystko elektorat PiS. PS. A ich baby! Nie lepsze!" – napisała na jednym z portali społecznościowych. Nie tylko wygląd konserwatystów jest odstręczający – intelekt także. Według prof. Wojciecha Sadurskiego wyborcy PiS są „prostymi ludźmi i nie czytają książek". Takie patrzenie na prawicę jest w Polsce nasilone, ale nie odosobnione. Zachodni liberałowie lubią tak patrzeć na swoich politycznych przeciwników, łącząc nawet światopogląd konserwatywny z tzw. osobowością autorytarną, czyli podatną na dyktatury i sprzyjającą ograniczeniu wolności.

Postrzeganie większości Polaków jako swoistego rodzaju podludzi, osób mniej inteligentnych, ciemnych, niewykształconych dominowało w komentarzach pierwszego roku rządów PiS. Skoro więc Zjednoczona Prawica to banda nieudaczników, a jej wyborcy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0

to swołocz, to ludzie Jarosława Kaczyńskiego nie podołają władzy i skończy się przedwczesnymi wyborami jak w 2007 r. Salon III RP postrzegał dobrą zmianę jako efekt buntu skolonizowanej ludności, która jednak zrzeszona w prymitywnych plemionach, nabierze łupów i rozbiegnie się do swoich wiosek. Tak się jednak nie stało.

Co prawda połykacze lewicowo-liberalnej propagandy zostali nieco w tyle ze zmianą strategii obozu antypis, nadal oczerniają konserwatystów i z nich szydzą, ale ich liderzy doszli już do pewnych refleksji.

KONIEC ŚWIATA LIBERAŁÓW

Utyskiwanie i obrażanie wyborców okazało się przeciwskuteczne. W dyskursie myślicieli i liderów politycznych pojawiło się pierwsze światełko autorefleksji: a może to my popełniliśmy błędy? Całą pracę na ten temat poświęcił jeden z europejskich ideologów liberalizmu, prof. Jan Zielonka, który sam przyznaje, że stosunek jego środowiska do konserwatystów stał się zanadto pogardliwy. „Mówiono, że obywateli należy raczej edukować, niż słuchać". Politolog z Oksfordu sam przyznaje, wbrew pierwszym reakcjom opozycji na zwycięstwo PiS: „Jako demokraci nie powinniśmy wyśmiewać decyzji wyborców". Naukowiec w swojej książce „Kontrrewolucja. Liberalna Europa w odwrocie" przyznaje, że liberałowie z własnej winy tracą władzę – przyczyną tego jest głównie brak samokrytycyzmu.

Podobną refleksję stara się wysuwać Grzegorz Schetyna, choć przecież nie na poziomie metapolitycznym, który do formatu intelektualnego lidera KO nie pasuje. Jednak szef PO sam przyznaje, że takie ruchy rządów PO-PSL, jak podniesienie wieku emerytalnego czy przeniesienie funduszy z ZUS do OFE, były błędami, które kosztowały utratę władzy. Druga refleksja obozu lewicowo-liberalnego zamyka się więc w diagnozie – nasza koncepcja nie do końca się sprawdziła, trzeba przeprowadzić jej korektę i odzyskać stery rządów w państwie.

Problem z tą koncepcją jest jednak taki, że nie zawiera recepty na program. Ani Zielonka na poziomie intelektualnym, ani Schetyna na płaszczyźnie technokratycznej nie mają wizji, co zrobić dalej, jak zreformować swoje obozy polityczne, by stały się konkurencyjne dla konserwatystów. Takie rozważania nie przybliżają do uzyskania eliksiru władzy – być może trzecia koncepcja okaże się przepisem na zwycięstwo.

SIERP I MŁOT

Daleki od nastrojów triumfalistycznych jest prof. Andrzej Nowak. Niewiele obawiając się o wynik najbliższych wyborów, historyk z Krakowa wskazuje na dużo poważniejsze niebezpieczeństwo.

> Środowiska lewicowo-liberalne stać było jedynie na wyrób obywatelopodobny – nieudolny ruch KOD czy Obywateli RP, które przyniosły więcej wstydu niż pożytku

– Platforma od bardzo dawna, właściwie od początku swojego istnienia, znajduje się między sierpem ideologii, której symbolem jest „Gazeta Wyborcza", a młotem rzeczywistości społecznej w Polsce – mówi tygodnikowi „Sieci" profesor. Historyk wskazuje ciekawy problem Koalicji Obywatelskiej – z jednej strony jest ona naciskana przez ośrodki ideologiczne, by przebudowywać polskie społeczeństwo na lewicową modłę, ale z drugiej realia wyborów nakazują nieco złagodzić ostrze światopoglądowe. – Jeśli PO chce wygrać wybory, musi się zbliżyć do młota rzeczywistości, rozpoznać nastroje społeczne, które nadal są dalekie od sympatii do Klaudii Jachiry, pani Nurowskiej czy Roberta Biedronia – tłumaczy profesor. Zdaniem naukowca KO stara się łączyć przekaz lewicowy z łagodnymi posunięciami w stronę elektoratu – i temu ma służyć wysunięcie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na stanowisko kandydata na premiera. – Tymczasem sternicy ideologiczni wymagają innego kierunku: więcej nowoczesności, więcej LGBT, więcej ataków na Kościół, więcej furii przeciwko tradycji i nienawiści do polskości w jej historycznym kształcie – diagnozuje Nowak.

W kontekście tych słów, a także obserwowania złej passy wyborczej opozycji z serią wizerunkowych potknięć, można z pewnością stwierdzić: opozycja dobrze wie, że przegra.

Dlaczego więc pcha się w lewicowy margines?

– Ta strategia jest racjonalna, ale nie w perspektywie jednych wyborów – kontynuuje prof. Nowak. – Z każdego czterolecia na czterolecie, z wyborów na wybory, zwiększa się grupa, do której dociera przesłanie niechętne polskości, tradycji. Opozycja zdaje się zakładać, że te wybory nie są tak ważne, można je przegrać, ale następne będą już inne. Historyk wskazuje na ogólne tendencje społeczne, w których coraz więcej młodych zdezorientowanych ludzi poddaje się ideologicznemu walcowi, postępującymi od dziesiątków, a może dwóch setek lat.

– Raczej martwiłbym się nie najbliższymi wyborami, ale pomysłem na później. W jaki sposób umiejętnie wykorzystać ten zasób, którym jest demokratyczny mandat, aby zatrzymać ten straszny trend niszczenia wszystkiego, co czyni nas Polakami, godnymi ludźmi i osobami odpowiedzialnymi za przyszłe pokolenia – podsumowuje profesor.

WYGRAĆ I NIE SPOCZĄĆ

Bez względu na to, czy opozycja opiera swoją walkę na pogardzie wobec konserwatystów, na świadomości własnych błędów, czy na przygotowaniach do wielkiego lewicowego skoku, tym razem piłka leży po stronie polskiej prawicy. Wygrać wybory to jedno, dokończyć reformy państwa to drugie, ale zatrzymać ofensywę nihilizmu – to zadanie, które dotychczas nie udało się w żadnym chrześcijańskim kraju. Czy będziemy pierwsi?

eprasa.pl c98308c2a0

A jak artyści



Dr Hanna Karp, medioznawca

Kampania wyborcza dobiega końca. Była krótka i pełna niespodzianek. Sprzyjała opadaniu masek środowisk mających dotychczas ambicje duchowego i mentalnego przewodzenia. Czas kampanii jest doskonałym katalizatorem. Przyspieszył wiele zdarzeń, które może w innej sytuacji nigdy by się nie objawiły.

ZAGUBIENI

Premier Donald Tusk i prezydent Bronisław Komorowski odesłani na oślą łączkę zapadają z dnia na dzień w coraz głębszą niepamięć i niebyt. Ich polityczni koledzy zepchnięci w narożnik pomimo upływu lat nie odnaleźli się w roli opozycji. Oniemiali wciąż nie mogą wrócić do siebie po przegranych wyborach z 2015 r. Popierający ich od lat artyści postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Dziś odzierają nas ze złudzeń, jednocześnie poniewierając własne nazwiska i kompromitując wypracowany dorobek. Swoją aktywność ujawnili w otwierających im podwoje komercyjnych mediach, zwołując się na ulicach i w zaprzyjaźnionych zagranicznych redakcjach. Gdyby skorzystali z prawa do milczenia, wielu z nich do chwili obecnej uchodziłoby za subtelne artystowskie lilie. Niestety utrwalony majestat prysnął. Obnażyli się zupełnie, ujawniając swoją wewnętrzną pustotę i przede wszystkim paniczny strach. Obawę przed usunięciem na boczny tor, przed utratą grantów, dotacji, pochwał, nagród. Tracą z godziny na godzinę, wydawałoby się, zadekretowane na wieczność prawo do ustanawiania wzorców, mód i stylu. Istnieje ryzyko, że trwale zagubią monopol na mądrość i łaskawe pozwalanie na bycie adorowanym.

Nowe, nieznane dotąd szeroko oblicze objawili nam: Dorota Stalińska, Maja Komorowska, Magda Cielecka, Maja Ostaszewska, Andrzej Seweryn, Daniel Olbrychski, Jerzy i Maciej Stuhrowie, Janusz Gajos, Maria Peszek, Olgierd Łukaszewicz, Andrzej Grabowski, Jacek Fedorowicz, Agnieszka Holland, Joanna Kos-Krauze i wiele innych postaci. Histeryczne w tonie i treści wywiady i wypowiedzi dla mediów pokazały ich rozchwiany stan umysłu, miałkość intelektualną i duchowe wyjałowienie. Przyglądanie się ich umysłowym szpagatom było i wciąż jest niemal fizycznie bolesne i antyestetyczne. Poczynając od głośnej akcji czytania konstytucji, nocnych zebrań pod sądami, marszów ulicznych z KOD, stałych regularnych wybuchów spazmów z okazji smoleńskich miesięcznic i pod każdym innym byle pretekstem. Łącznie z akcją „Nie świruj, idź na wybory!".

Na czołowe miejsce wysunęła się aktorka Krystyna Janda, która szczególnie zawiodła swoich wielu fanów, pamiętających jej kreacje z filmów Andrzeja Wajdy, w tym „Człowieka z żelaza" czy wcześniejszego filmu „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego. Gwiazda pokazała nowe oblicze, dotychczas nieznane. Dotąd recytując ze sceny lub przed kamerą myśli cudze, w serii wywiadów na łamach „Gazety Wyborczej" i telewizji TVN24 postanowiła się wspiąć na polityczne barykady i zagrzewać w boju tekstem własnym oświecony lud ze zmorą dobrej zmiany.

W TRAUMIE

Jeśli posłuchamy walecznej aktorki, dowiemy się, że rządy Szydło i Ka-

eprasa.pl c98308c2a0

czyńskiego ściągnęły na Polskę jakiś nieznany dotąd straszliwy kataklizm, liczne zarazy i wszelkie możliwe nieszczęścia. We wrześniu 2018 r. Janda skarżyła się: „Czuję się przez ostatnie dwa lata jak chora. Co rano budzę się i zastanawiam, co mi jest. A, to Polska. Mam poczucie, że stało się coś strasznego. Moje poczucie moralności, moje poczucie honoru, prawdy, odpowiedzialności nie zgadza się z ostatnio lansowanym poczuciem prawdy i sprawiedliwości". W tym roku w maju dla jednego z tygodników wyjawiła bez ogródek: „Kiedyś czułam potrzebę wymiany myśli z tym narodem, teraz po prostu już jej nie czuję". W innym miejscu mówiła zbolała: „Mam poczucie żalu, straconej szansy, zmarnowanej pracy, zawiedzionych nadziei. Myślałam, że wszystko dalej będzie się rozwijało w fantastyczny, otwarty kraj inteligentnych ludzi, nowocześnie i odważnie myślącą młodzież. A mamy państwo, które staje się anachroniczne i absurdalne, nagradza ludzi za to, że się nie uczą, nie pracują, nie rozwijają się". Innym razem oburzona krzyczała, że ktoś opluł jej samochód. Samochód, w którym zawsze pachną drogie perfumy. Artystka przy każdej okazji mówi, że jest zawiedziona. Czuje się niemal każdego dnia upokorzona. We wpisach w swoim internetowym dzienniku wyjawiła, że wyborcy obecnej koalicji rządzącej, wygrywając w wyborach, odebrali jej radość życia.

Aktorka wciąż nie może zrozumieć, że ktoś może uważać III RP za zły kraj. Przecież ona w tym czasie pracowała jak nigdy, a okres ten to były najpiękniejsze lata w jej życiu. W innej rozmowie zdradziła, że jednak nie wszystko przed PiS było takie różowe, bo przez 45 lat dorosłego życia miała problem ze znalezieniem gosposi. „Na szczęście są panie z Ukrainy" – zdradziła.

OPLUCI

Najbardziej przykre były chwile, gdy w drugim roku rządów Zjednoczonej Prawicy aktorka przeżyła prawdziwe załamanie. Goszcząc w studiu radiowym w audycji „Popołudnie z Radiem Zet", nagle zawołała: „Ja się czuję, jakby ktoś mnie opluł w tej chwili. Ja nic nie ukradłam, ja kocham ten kraj, pracuję w nim od urodzenia. Zawsze się przyjaźnię ze światem, jestem nie tylko polską aktorką, ale gram i za granicą". I dalej: „Nie mogę tego słuchać. Ja się czuję jakby ktoś na mnie sr*ł cały czas. To jest coś okropnego!". Czymś, czego nie mogła słuchać, były słowa Jarosława Kaczyńskiego, który w kolejną miesięcznicę przed Pałacem Prezydenckim powiedział m.in.: „Bądźcie pewni, że będziemy mieli taką Polskę, że nikt nam nie narzuci woli z zewnątrz, i nawet jeśli pozostaniemy w Europie sami, to pozostaniemy wyspą wolności i tolerancji, tego wszystkiego, co tak silnie było obecne w naszej historii".

> Gdyby skorzystali z prawa do milczenia, wielu z nich do chwili obecnej uchodziłoby za subtelne artystowskie lilie. Niestety utrwalony majestat prysnął. Obnażyli się zupełnie, ujawniając swoją wewnętrzną pustotę i przede wszystkim paniczny strach.

Bardzo to przykre i bolesne obserwować stan rozpadu artystycznej osobowości, która przecież jako kobieta jest sympatyczna, pracowita, przedsiębiorcza i ogólnie do rany przyłóż. Ostatnio, po śmierci matki, zamieściła w swoim internetowym dzienniku wpis jej poświęcony: „Umarła. Kobieta, żona, matka, babcia, Polka, zwykły, pracowity człowiek. Umarła z poczuciem klęski tego kraju i zawiedzionych nadziei. Ona, która nie znała wcześniej uczuć negatywnych, nienawidziła – dobrej zmiany. Prawdziwie nienawidziła". Opis wydaje się nieracjonalny, wręcz obłędny, szokuje. Jego autorka zasługuje na głębokie współczucie. I pomoc.

Wcześniej, gdy gwiazda była nie mniej załamana, objawiła na vlogu z emfazą: „Pojechałam do lasu. Teraz wielu moich znajomych na emigracji, w lasach, nad jeziorami, nad morzem. W dziurach, leśniczówkach, z książkami, pracami, opracowaniami, poezją i zmywaniem po posiłkach. Wszyscy w głuszy z daleka od wiadomości, telewizji wszystkiego, co przyprawia o dygot serca i wpędza w niepokój. Ratują się jak mogą, bo to przeważnie ludzie starsi o słabych sercach i szerokich umysłach, a w związku z tym pełnej świadomości tego, co się dzieje, i umiejący przewidzieć konsekwencje". Ten stan zapaści konsternuje i zasmuca. Na szczęście, jak się dowiaduję, Kraków nie zawiedzie. Krystyna Janda zostanie doktorem honoris causa Akademii Sztuk Teatralnych. Podczas inauguracji 74. roku akademickiego. „Jesteśmy zaszczyceni, że Krystyna Janda zostanie honorowym doktorem Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego" – pisze w laudacji prof. dr hab. Jerzy Stuhr. Wszystko wydarzy się 30 września. Czy to choć nieco uleczy rany i wróci chęć do życia naszej gwieździe? Miejmy nadzieję. Choć boję się o jej stan po 13 października. Ale 30 września oklaski będą wielkie, a kosze z kwiatami nie mniejsze.

POST SCRIPTUM

Ciąg dalszy akcji „Nie świruj, idź na wybory". Prof. Maciej Giertych, ojciec Romana Giertycha, na łamach „Gazety Wyborczej": „Powodowany poczuciem obowiązku chciałbym przestrzec wszystkich moich Rodaków przed oddaniem w tych wyborach głosu na PiS. Piszę do katolików świeckich w naszym kraju, gdyż niestety rady, jakie oni otrzymują w tym względzie od hierarchii, księży i mediów katolickich, są błędne i z niesłychaną arogancją wkraczają w strefę wolności świeckich".

Nawet w powieści Orwella trudno byłoby o takiego newsa!

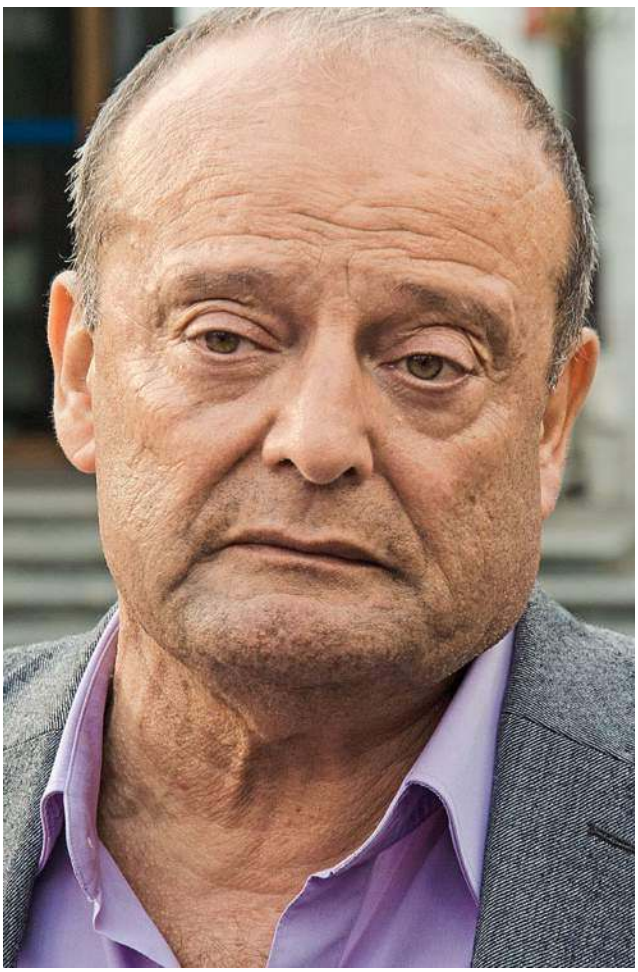
eprasa.pl c98308c2a0

Wszystkie twarze doktora Haidara

To było ciężkie przedpołudnie dla człowieka, który wymyślił, by ukraść Riada Haidara Włodzimierzowi Czarzastemu i podarować go Grzegorzowi Schetynie. Pochodzący z Syrii lekarz z Białej Podlaskiej w programie Roberta Mazurka powiedział bowiem coś, od czego PO próbuje się za wszelką cenę odżegnać w tej kampanii: że popiera adopcję dzieci przez pary homoseksualne i że chce ograniczyć program 500+



PIOTR FILIPCZYK



Fot. Ryszard Godlewski/REPORTER

„Jesteśmy wdzięczni Riadowi Haidarowi. Dziękuję mu z tego miejsca, że miał tę odwagę, żeby publicznie ujawnić, jaki jest plan, prawdziwe zamiary Koalicji Obywatelskiej” – drwił ze swojego kontrkandydata wicepremier Jacek Sasin, „jedynka” PiS w okręgu chełmskim, obejmującym też m.in. Zamość i Białą Podlaską. „Wzywam polityków Platformy: wyjdźcie i powiedzcie Polakom, że jesteście za ograniczeniem, a de facto likwidacją programu 500+, za małżeństwami homoseksualnymi z prawem do adopcji dzieci” – dodawał Sasin.

Działaczom PO z Lubelszczyzny wciąż trudno w to uwierzyć, ale ich nowy lider Riad Haidar rzeczywiście powiedział wszystkie te rzeczy w porannym programie Roberta Mazurka w RMF FM.

„Zostanie dla tych faktycznie potrzebujących” – wypalił polityk na pytanie o losy 500+, gdy do władzy dojdzie dzisiejsza opozycja. Dopytywany przez Mazurka, jaki powinien być próg, powyżej którego Polacy już nie są „faktycznie potrzebujący”, Haidar oznajmił, że chodzi mu o 2,5 tys. zł brutto na osobę w rodzinie.

„Ja osobiście jestem za” – powiedział z kolei bialski lekarz zapytany o to, czy jest zwolennikiem małżeństw homoseksualistów.

45/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

A czy takie pary powinny mieć prawo do adopcji dzieci?

„Powinny, co przeszkadza? Jeżeli spełniają pewne warunki, które są ustalone przez organy państwa powołane do tego celu, dlaczegóż nie?" – dowodził Riad Haidar. Rozpętała się burza.

„NIEDOSZŁY TEŚĆ DODY"

Właściwie wciąż nie wiadomo, dlaczego z Riada Haidara próbowano zrobić kolejną twarzą antypisu. Ani on za bardzo znany, ani popularny, ani politycznie zasłużony. Kiedy ogłoszono decyzję, że Haidar będzie startował do Sejmu z listy Koalicji Obywatelskiej, sprzyjające ugrupowaniu Schetyny portale przedstawiały nową gwiazdę jako „niedoszłego teścia Dody". Tak, to syn Riada Emil Haidar był i jest bohaterem niekończącej się tabloidowej sagi dotyczącej związku z Dorotą Rabczewską. O tacie Emila ogólnopolskie media zbyt wiele nie wiedziały. Sporych rozmiarów hagiografia opublikowana w „Newsweeku", nauczająca lud antypisowski o niemal świętym lekarzu, ratującym dzieci i współpracującym z Jurkiem Owsiakiem, nie spełniła zaś chyba założonych celów – była zbyt słodka, by nie zemdlić.

– Nie wiem, jak w Polsce, ale w Białej Podlaskiej Haidar rzeczywiście jest popularny. Bo to świetny lekarz i sprawny marketingowiec, który potrafi pokazać do kamer uśmiechniętą twarz – mówi jeden z naszych rozmówców ze stolicy południowego Podlasia.

Riad Haidar już kilka razy próbował wejść do dużej polityki. W 2011 r. został zaprezentowany widzom TVN w gronie... „egzotycznych kandydatów" startujących do Senatu.

„O mandat ubiegają się m.in. [...] współzałożycie Związku Tatarów Rzeczypospolitej Selim Chazbijewicz, Joe Chal, figurujący na stronie PKW jako rolnik z Zakurzewa czy Syryjczyk Riad Haidar" – można było przeczytać w relacji zamieszczonej wówczas na portalu tvn24.pl.

Haidar przegrał nie tylko z Grzegorzem Biereckim (PiS), lecz i kandydatem Platformy prof. Józefem Bergierem. 2015 r. to kolejna próba – znowu nieudana, Zjednoczona Lewica wylądowała pod wyborczym progiem. W majowych wyborach do europarlamentu Haidar – dzięki osobistej rekomendacji Włodzimierza Czarzastego – załapał się na listę Koalicji Europejskiej. I choć nikt raczej nie zakładał, że zdobędzie mandat, to wynik był rozczarowujący.

ARABSKI KLAN

– To przepełniło czarę goryczy. Jeśli szuka pan osoby, która skaptowała Haidara do Koalicji Obywatelskiej, to powiem tak: nikt go nie skaptował, a osobą najbardziej zabiegającą o transfer był on sam. Chciał się wreszcie odegrać za liczne porażki – opowiada jeden z bialskich działaczy samorządowych.

REKLAMA



eprasa.pl

– Ja na pewno o to nie zabiegałem, wręcz przeciwnie – śmieje się jeden z wieloletnich posłów PO z regionu. – No i oczywiście miałem rację. Pan Riad znowu ma pecha i na dodatek nas nim zaraził. Słabo jak na lekarza – kpi parlamentarzysta.

Riad Haidar nie chciał odpowiedzieć na nasze pytania związane z wywiadem, jakiego udzielił Robertowi Mazurkowi. Na wszystkie inne – także. Nie jesteśmy wyjątkiem. Po feralnym poniedziałku Haidar raczej unika mediów. Ulotnił się gdzieś jego optymizm, którym jeszcze niedawno starał się zdobywać serca wyborców. Wycisnął z siebie jedynie kilka zdań dla lokalnej gazety, mówiąc, że Mazurek „wymusił" na nim wypowiedzi o homoseksualnych adopcjach i obcinaniu 500+.

„Będę ciągnął listę Koalicji Obywatelskiej, bo trzeba tu wygrać. Ja praktycznie zawsze dostaję dobry wynik" – chełpił się w niedawnym wywiadzie dla portalu wp.pl. „Wierzę w ideały Koalicji Obywatelskiej" – podkreślał.

Może i Haidar wierzy w platformiane „ideały", ale jeszcze kilka lat temu, jeśli mówił o tej partii, to raczej źle. W PO na Lubelszczyźnie doskonale pamiętają jego słowa po aferze z zatrudnieniem w administracji rządowej żon działaczy tej partii z Białej Podlaskiej. W konkursie na urzędnicze stanowiska dwie panie małżonki pokonały w sumie 171 konkurentów.

„W arabskich klanach wujek ma gdzieś dojścia, to pociągnie mnie za sobą. Potem ja się odwdzięczę i pomogę ciotce. W Polsce jest tak samo" – kąsała wówczas platformersów ich dzisiejsza „jedynka".

Gdy w miniony poniedziałek Robert Mazurek przypomniał tę wypowiedź, Haidarowi zabrakło słów. Nieskładnie tłumaczył, że owszem powiedział tak, ale już tak nie myśli. „Nie należałem nigdy do żadnego arabskiego klanu" – podkreślał (nie wiedzieć czemu) zmieszany kandydat KO.

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

– Pewnie niektórych dziwi, że on przez blisko 40 lat w Polsce nie nauczył się perfekcyjnie mówić w naszym języku. Ale tutaj wszyscy się do tego przyzwyczaili. On wręcz czaruje tym swoim akcentem i przejęzyczeniami. Łatwiej mu w ten sposób ukryć drugą, znacznie mroczniejszą twarz. Bo nasz kochany doktor potrafi być przebiegły, brutalny i bardzo sprawny w rozmaitych gierkach. Także dlatego tu, w Białej Podlaskiej, nikt o nim złego słowa oficjalnie raczej nie powie – twierdzi były działacz Platformy.

Dobry doktor jako powód do politycznej dumy podał u Mazurka odsunięcie od władzy prezydenta Białej Podlaskiej Dariusza Stefaniuka z PiS. Stefaniuk przegrał minimalnie w drugiej turze z kandydatem reprezentującym wszystkie pozostałe środowiska w mieście: od macierzystej PO i „niezależnych" samorządowców, przez popleczników rządzącego przez poprzednie 16 lat prezydenta Andrzeja Czapskiego, po dawnych stronników Palikota czy eksmilicjantów.

„Byłem tego architektem" – chwalił się Haidar. Nie opowiedział jednak o przebiegu kampanii wyborczej. A ta była wyjątkowo ohydna. Zaatakowano bliskich Stefaniuka, na mieście pojawiały się obrzydliwe ulotki sugerujące, że w rodzinie prezydenta dochodzi do przemocy domowej. Haidar, rzecz jasna, publicznie odżegnywał się od takich metod. On wszak wszystkich kocha i szanuje.

Z dużym ładunkiem miłości potraktował Riad Haidar sprawę swojego podwładnego, Macieja T. W zeszłym roku ten młody lekarz pracujący na oddziale neonatologii (Haidar jest tam ordynatorem) został oskarżony o czyny pedofilskie.

> On wręcz czaruje tym swoim akcentem i przejęzyczeniami. Łatwiej mu w ten sposób ukryć drugą, znacznie mroczniejszą twarz – mówi o Haidarze były działacz PO

„Od 15 lipca 2018 r. do dnia 19 lipca 2018 r. w krótkich odstępach czasu w wykonaniu z góry powziętego zamiaru wielokrotnie kontaktował się z małoletnią (lat 14) za pośrednictwem portalu internetowego, składał jej propozycje obcowania płciowego, poddania się i wykonania innych czynności seksualnych i zmierzał do ich realizacji, a ponadto doprowadził ją do obcowania płciowego, do poddania się przez nią innym czynnościom seksualnym, a także wykonania przez nią innych czynności seksualnych" – to oficjalna informacja z prokuratury dotycząca szokujących zdarzeń.

Choć od samego początku wiedział o sprawie, Haidar nie doprowadził do zwolnienia Macieja T. Jeszcze w ubiegłym tygodniu lekarz pracował w bialskim szpitalu, zajmując się noworodkami.

„Jest dobrym mężem, troskliwym ojcem, ma dziecko, które ma pięć miesięcy – mówi w czerwcu br. o Macieju T. Haidar.

„Pan go publicznie chwalił wielokrotnie, pan nie widział powodu, dla którego człowiek oskarżony o pedofilię nie może pracować w szpitalu, z dziećmi, pan nie miał z tym żadnego problemu. Ja powiem tak: to jest bardzo ryzykowna postawa. Bo jeżeli mówimy, że inni kryją, to powinniśmy być jak żona cezara, poza wszelkimi podejrzeniami" – miażdżył Haidara w rozmowie Mazurek.

„Ja bronię jego tylko ze strony fachowości" – tłumaczył zdenerwowany Haidar. Nie trzeba być jednak geniuszem, by nie dostrzec, że ten temat jest bardzo kłopotliwy. I to chyba nie tylko dla ordynatora bialskiej neonatologii.

Kiedy kilka tygodni temu lokalny „Tygodnik Podlaski" zarzucił politykowi, że ten w roli radnego sejmiku województwa lubelskiego praktycznie nie zabiera głosu na sesjach, Haidar wściekał się na dziennikarzy i przekonywał, że „mowa jest srebrem, a milczenie złotem".

W Platformie bardzo żałują dziś, że pan doktor nie wziął sobie tego powiedzenia do serca.

eprasa.pl c98308c2a0



Fot. Archiwum

Na „Legiony” marsz

Mieliśmy świadomość, że widzowie znają współczesne zachodnie kino wojenne: „Szeregowca Ryana”, „Grę o tron” czy „Przełęcz ocalonych”. Jeśli więc damy im październik, to po prostu nasz film odrzucą

Michał Karnowski rozmawia z Maciejem Pawlickim, producentem filmu „Legiony”

Nie będę ukrywał, że jestem filmem zachwycony, a co najważniejsze, zachwycony jest także mój nastoletni syn. Trzynastolatek wbity w fotel na obrazie tak arcypolskim, historycznym to wielkie osiągnięcie, a wiem od kolegów, że ich dzieci reagują podobnie...

Maciej Pawlicki: ...poproszę zatem o taki tytuł: „Nastolatki wbija w fotele na »Legionach«”. Dokładnie o to nam chodziło!

Tytuł rozważymy, to zawsze decyzja redakcji, ale wcześniej zapytam: jesteś jako producent zadowolony z tego dzieła? Tak miało być?

Czytelnicy tygodnika „Sieci” pierwsi dowiedzieli się o naszym planie nakręcenia „Legionów”, wiedzą zatem, jaki cel nam przyświecał: opowiedzieć w atrakcyjny sposób o garstce chłopców i dziewcząt, którzy rzucili wyzwanie trzem imperiom. I – sądząc po reakcji widzów – to się udało. To nieuniknione, bo każdy z czterech głównych twórców filmu miał swoje wyobrażenie, coś chciał wnieść. Ta czwórka to obok Adama Borowskiego i mnie, także główny autor scenariusza Tomasz Łysiak i reżyser Dariusz Gajewski. A wiele wnieśli i aktorzy czy autorzy zdjęć. Czasem się spieraliśmy, ale przy tak ogromnej produkcji to nieuniknione i twórcze.

O co się spieraliście najmocniej?

Darek Gajewski miał swoją wizję filmu i wniósł mnóstwo wspaniałych pomysłów. Te dobre pomysły przyjmowałem, ale te zbyt moim zdaniem odchodzące od mojej koncepcji filmu – nie. Bo to nie jest kino autorskie, ale producenckie, ostatecznie decyzje podejmuje producent i on bierze

eprasa.pl c98308c2a0

odpowiedzialność. Nasze twórcze spory dotyczyły tego, jak skutecznie osiągnąć cel, tzn. zrobić film nie tylko dla widowni – z całym dla niej szacunkiem – zakochanej w polskiej historii, która mocno utożsamia się z legionistami, ich walką o niepodległość, która chce filmu wyrazistego w patosie. Dla mnie ważne było, aby był to film także dla tych, którzy niewiele o historii wiedzą, niekoniecznie się nią do tej pory interesowali, a chcą zobaczyć w kinie porywającą, emocjonującą historię.

Wciągnąć ich w opowieść arcypolską, złowić innymi haczykami?

Może nie złowić, ale zaprosić do tego pięknego świata. Całe życie starałem się robić w mediach rzeczy, które dużej widowni opowiadają o sprawach ważnych. Bo kręcić ważne rzeczy dla małej widowni jest łatwo, mówić głupstwa dużej widowni chyba najłatwiej. Wyzwaniem jest skutecznie opowiadać o ważnych sprawach wielu widzom. Kiedy więc Adam Borowski z Tomkiem Łysiakiem przyszli do mnie z tym pomysłem, powiedziałem: pomysł wspaniały, ale zróbmy go tak, żeby nie był filmem środowiskowym, tylko przemówił także do tych, którzy zatrzaskiwali okiennice, kiedy I Brygada wchodziła do Kielc.

Zaraz nam przyśle sprostowanie prezydent Kielc, bo zawsze przysyła po takich tekstach. Podobno wcale tak nie było, a faktem jest, że gdy legioniści dłużej posiedzieli w tym mieście, to 600 ochotników do nich dołączyło.

Dobrze, więc mówmy o miasteczku Skała, na którego przykładzie ten chłód w przyjmowaniu legionistów wkraczających do Królestwa Polskiego pokazujemy w naszym filmie.

Też pokazaliście to wstrzemięźliwie – ludzie pochowani, pustka.

Początkowo chcieliśmy tę scenę pokazać jeszcze mocniej – ludzie nie są pochowani po domach, ale stoją na ulicy, zimni, obojętni, pełni niezrozumienia, nawet wrogości. To obraz pokazujący nie tyle, że Polacy nie chcą wolności, ile raczej, że nie wierzą, że ona jest możliwa, na wyciągnięcie ręki, nie mają w sobie tej siły wielkiego marzenia, którą miał Piłsudski, Strzelcy i Drużyniacy. To się przełamuje, legioniści pozyskują serca Polaków, ale przejść musieli przez ten gorzki czas niezrozumienia.

> Najważniejsze było, żeby film działał jako całość na emocje. A jak widać z reakcji, działa. W internecie nastolatki piszą: „Przepłakałam pół filmu, najlepszy film, jaki w życiu widziałam”

Tu mocnym kontrapunktem jest postać „Króla”, który dostawszy się do niewoli rosyjskiej, ma możliwość zachowania życia pod warunkiem ponownego wstąpienia do armii rosyjskiej. Odmawia. Nie chce już żyć w niewoli, nie chce i nie potrafi już zgiąć karku.

Ta postać jest w ogromnej mierze oparta na prawdziwej postaci Stanisława Kaszubskiego ps. Król. Ta scena w rzeczywistości rozegrała się na rynku miasteczka Pilzno w Małopolsce. Jego odmowa założenia munduru rosyjskiego miała więc wielką siłę świadectwa i wiary, że zryw ku Polsce nie jest epizodem, ale elementem trwałego i nieodwracalnego wyboru. Nam dzisiaj, w czasach gdy cwaniactwo bywa wynoszone do rangi cnoty, może trudno to zrozumieć. Ale właśnie na tym polegało przełamanie dokonane przez legionistów, stąd brała się siła ich ducha, który był absolutnie decydujący dla ich zwycięstw.

Jest jakiś paradoks w tym, że właśnie ty, Maciej Pawlicki, który całe życie poświęciłeś walce o pokazanie piękna polskiej historii, prawdy, odrzucenie pedagogiki wstydu, podkreślasz w tym filmie, że to była bitwa zaczęta przez garstkę przy obojętności większości.

Taka jest prawda, nie tylko w odniesieniu do Legionów. Ilu ludzi tworzyło polską kulturę w czasie zaborów? Ilu wybierało świadomie trudną ścieżkę polskości? Naprawdę nie tak wielu. W sumie kilkudziesięciu twórców opowiedziało nam Polskę, przechowało ją w głowach i sercach pokoleń i tych młodych w 1914 r. chłopaków, których rodzice, dziadkowie i pradziadkowie żyli w zniewolonym kraju. Zawsze wstrząsał mną finał „Wesela” Wyspiańskiego, kiedy słychać: „Hej, hej, bracia, chyćcie koni! Chyćcie broni, chyćcie broni!! Czeka was WAWELSKI DWÓR!!!!!”, a wszyscy stoją w marazmie i kręcą się w chocholim tańcu. To przekonanie, że czas chwytać broń, że dość już czekania, w tych chłopakach narastało. I dzięki osobistym decyzjom każdego z nich w sierpniu 1914 r. mieliśmy kilka tysięcy żołnierzy, którzy się z wielkim zapałem szkolili, sami sobie uszyli mundury. Znany jest przypadek, że chłopak kształcił się na muzyka, dostał od ojca pieniądze na frak, ale wydał je na mundur strzelecki, za co został wytargany za uszy. Ale i tak poszedł na wojnę.

Miałem łzy w oczach, kiedy na końcu filmu bohaterowie waszej opowieści płynnie przechodzą w postaci z archiwalnych zdjęć. Mocny przekaz, że byli tacy sami jak my, że też musieli się mierzyć z setkami problemów osobistych, a jednak byli w stanie zdobyć się na taką ofiarę, na taką odwagę.

Cieszę się, bo sam te zdjęcia, dostarczone przez Adama, wybierałem i układałem. Chodziło o trzy sprawy. Po pierwsze, by pokazać właśnie to, o czym wspomniałeś, że oni byli tacy sami jak my. Wielu z nich mogłoby tu przejść obok kawiarni, w której siedzimy, i nikt by się nawet nie odwrócił.

Zwłaszcza że brody znowu wróciły do mody, za czym osobiście jednak nie przepadam.

eprasa.pl c98308c2a0



Fot. Andrzej Wiktor

Nasza bohaterka Ola, agentka wywiadu I Brygady, grana przez Wiktorię Wolańską ma w filmie włosy krótko obcięte, zgodnie z modą zapoczątkowaną w Paryżu w 1911 r. przez króla fryzjerów i fryzjera królów Antoine'a, czyli Antoniego Cierplikowskiego z Sieradza. Ale wracając do zdjęć w finale: po drugie chodziło o to, by pokazać, iż wiele z archiwalnych zdjęć było inspiracją dla scen zawartych w filmie. A po trzecie, żeby – w ostatnich kadrach – pokazać, iż ich wysiłek był nie tylko piękny, lecz i skuteczny. Przynieśli wolność i niepodległość Polakom. To dzięki nim nie rozmawiamy dzisiaj po rosyjsku czy niemiecku, ale po polsku.

„Legiony" mają wymiar ideowy, ale film jest też nieprawdopodobnie energetyczny, gęsty, to w wielu momentach mocne kino wojenne. Sceny batalistyczne powodują wstrzymanie oddechu. Dawno nie było tak pięknej sceny bitewnej w polskim kinie jak szarża pod Rokitną, ale i sposobowi pokazania bitwy pod Kostiuchnówką należą się brawa. Jak to zrobiliście?

Mieliśmy świadomość, że widzowie znają doskonale współczesne zachodnie kino wojenne, znają „Szeregowca Ryana", „Grę o tron" czy „Przełęcz ocalonych", nie będziemy mieli taryfy ulgowej, musimy startować w tej samej lidze. Jeśli więc damy im paździerz, to po prostu nasz film odrzucą, nie zidentyfikują się z nim. Dlatego nasi operatorzy i reżyser dostali wszystko, czego chcieli, wszystkie „zabawki", jak to oni mówią – specjalne kamery, sprzęt pozwalający filmować z najdziwniejszych pozycji. Uważam, że warto było.

Efekty dorabiane komputerowo tam są?

Trochę jest, ale niewiele, jako uzupełnienia. Ogromna większość scen militarnych, wojennych, łącznie z wybuchami, artylerią, szarżami kawaleryjskimi to efekty analogowe, czyli naprawdę zagrane.

Epopeja legionowa w waszym filmie kończy się na bitwie pod Kostiuchnówką w lipcu 1916 r., a przecież formalnie trwała o rok dłużej, do kryzysu przysięgowego w 1917 r., i dalej płynnie przeszedł ten czyn w walkę o granice Polski. Nie było pokusy, by pójść dalej? Pokazać łopoczącą nad odrodzoną Rzeczpospolitą biało-czerwoną?

Oczywiście była, ale też było jasne, że nie damy rady odpowiedzieć wszystkiego. Mieliśmy wiele dyskusji, jak film spuentować. To zawsze są trudne wybory. Nad scenariuszem pracowaliśmy długo. Niektórzy mówią, że historia miłosna zbyt się rozrasta i przysłania część historyczną, inni, że nie pokazaliśmy takich lub innych faktów historycznych, jeszcze inni, że za dużo tej batalistyki. Każdy ma pewnie trochę racji, to zależy od upodobań. Ale najważniejsze było, żeby film działał jako całość na emocje. A – jak widać z reakcji – działa, w internecie nastolatki piszą: „Przepłakałam pół filmu, najlepszy film, jaki w życiu widziałam".

> Właściciel sieci kin Helios, czyli spółka Agora, nie wpuściła „Legionów" do swoich kin mających poniżej pięciu sal. Ta blokada oznacza, że znaczna część Polski nie może zobaczyć filmu

Ciężki wybór ma też główna bohaterka, Ola, która kocha się w aż dwóch legionistach. I to jest bardzo rozbudowany wątek.

Takie sytuacje się zdarzały, historia jest inspirowana losami miłości i małżeństwa najsłynniejszego ułana Rzeczypospolitej Wieniawy-Długoszowskiego. Choć u nas inaczej się kończy. Ale wojna, ekstremalne sytuacje, świadomość, że za chwilę może nas nie być, czasem przyspiesza pewne decyzje. Nasi bohaterowie to ludzie z krwi i kości.

Kobiety są w „Legionach" zresztą bardzo docenione. Feministyczne trendy?

Prawda historyczna. W samym wywiadzie I Brygady było 40 kobiet, kierowała nimi Aleksandra Szczerbińska. Była Liga Kobiet Pogotowia Wojennego, którą myśmy w naszym filmie umieścili. Ale były też inne, w sumie kilka tysięcy kobiet, niektóre brały udział w akcjach bojowych. Zresztą zdradzę, że w pierwszej wersji scenariusza Ola była dość bierna, panowie

eprasa.pl c98308c2a0

o nią walczyli, a ona się przyglądała. Ale moja córka interweniowała: ona musi być aktywna. Dziś wiemy, że uniknęliśmy poważnego błędu, bo kobiety były w walce o niepodległość zaangażowane, odważne, cierpiały, były torturowane, zabijane. Były dzielne także w szpitalach, gdzie widziały straszne rzeczy, musiały amputować rannym chłopakom nogi i ręce. Im też zawdzięczamy wolność.

Ile z tego ducha legionowego zostało we współczesnej Polsce?

Sporo. Ale ten płomień ducha polskiego trzeba rozniecać stale, pokusa marazmu czy uległości jest zawsze duża. Ta walka toczy się o umysły i o serca. Nie przypadkiem tak straszna praca jest wykonywana, by zawstydzić Polaków, wmówić im, że nasza historia jest nic niewarta, że dziedziczymy tylko małość, głupotę i klęski. Mam nadzieję, że nasz film jest opowieścią o prawdziwej Polsce i małą cegiełką w walce o to, by Polacy wciskaną im pedagogikę wstydu odrzucili.

Smutne jednak, jak wielu Polakom to pasuje. Dlaczego?

Ulegają złudzeniu, że będą szczęśliwsi, gdy przestaną być Polakami i zostaną Belgami, Francuzami, Niemcami. Może się staną w trzecim pokoleniu, ale stracą znacznie więcej, niż zyskają. Ale taki nurt kompleksów i niewolnictwa będzie zawsze, walka idzie o to, jakie będą proporcje, gdzie będzie większość.

Jak oceniasz przyjęcie filmu, jak wygląda dystrybucja? Nie rzucają kłód pod nogi?

Recenzje są znakomite, także w mediach, które zwykle próbują wyszydzać filmy o wymowie patriotycznej. Doceniany jest rozmach, sceny batalistyczne, zdjęcia, montaż, muzyka, aktorstwo, Zderzyliśmy się jednak z blokadą, gdy chodzi o dystrybucję filmu.

O co chodzi?

Właściciel sieci kin Helios, czyli spółka Agora, nie wpuścił filmu „Legiony" do swoich kin mających poniżej pięciu sal. Zasłonili się argumentem, że jednocześnie na ekrany wchodzi film „Piłsudski", który – przez inną swoją spółkę – Agora dystrybuuje. Ta blokada oznacza, że znaczna część Polski nie może zobaczyć filmu „Legiony". Co szczególnie bolesne, dotyczy to głównie mniejszych miejscowości, gdzie zainteresowanie historią jest największe, gdzie patriotyzm jest najbardziej żywy. Oceniam, że – biorąc pod uwagę te czynniki – prawie jedna czwarta naszej potencjalnej publiczności została, decyzją Agory, odcięta, wyeliminowana.

> Ogromna większość scen militarnych, wojennych, łącznie z wybuchami, artylerią, szarżami kawaleryjskimi, to efekty analogowe, czyli naprawdę zagrane

Jakiego argumentu używa Agora?

Że „Legiony" i „Piłsudski" to dwa filmy o tej samej tematyce. Po pierwsze, to nie jest prawda, bo „Piłsudski" kończy się w momencie, gdy zaczynają się „Legiony", można więc raczej mówić o kontynuacji. Po drugie, można te filmy pokazywać w różnych godzinach. Mamy do czynienia z wykorzystaniem pozycji monopolistycznej. Dystrybutor naszego filmu złożył w tej sprawie skargę do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, a ja, jako producent, rozważam wystąpienie do sądu z pozwem przeciw Agorze o zakazane praktyki działające na szkodę inwestorów naszego filmu.

Pod względem finansowym to była superprodukcja? To uzasadnione określenie?

Budżet filmu to 27 mln zł. Na warunki polskie to dużo, choć teraz powstaje film o rotmistrzu Pileckim z budżetem 35 mln, o Janie Karskim chyba podobnie. My możemy się porównywać finansowo z „Miastem '44" czy „Bitwą Warszawską". Rozmach scen batalistycznych musi tyle kosztować, jeśli mają dobrze wyglądać, inaczej nikt by nie powiedział, że to film hollywoodzki. Kiedy pokazałem część materiału producentowi filmów amerykańskich, powiedział, że to film za kilkadziesiąt milionów dolarów, Gdy się dowiedział, że za siedem milionów, nie uwierzył. To świetna reklama naszych możliwości jako przemysłu filmowego. Dodam jeszcze, że kluczową osobą dla powodzenia naszego przedsięwzięcia był Andrzej Senkowski, prywatny przedsiębiorca, właściciel filmy Polcar, który zdecydował się zainwestować w film. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczny. Podobnie jak Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej, które dołożyły resztę.

„Legiony" były w konkursie głównym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ale żadnej nagrody, nawet za przepiękne zdjęcia, nie zdobyły. Jak to oceniasz?

Nie wypada mi komentować werdyktu, ale myślę, że Mirosław Baka za rolę „Króla", autor zdjęć Jarek Szoda, czy autor muzyki Łukasz Pieprzyk zasługiwali na nagrody.

To może galę, wściekle antypisowską, skomentujesz?

Gala nie była antypisowska. Takie były tylko dwie wypowiedzi. Młody aktor podczas wręczania nagrody polemizujący z recenzentem, który skrytykował jego rolę to osobliwy, nowy standard. Ja krytyczne opinie przyjmę z pokorą. Awantury wokół filmu „Solid Gold" zaś nie rozumiem, przecież przed rozpoczęciem produkcji jest zapisane, kto ma „final cut", kto ostatecznie decyduje o kształcie filmu. Jeśli reżyser, to reżyser. Jeśli producent, to producent. To musi być zapisane w umowach.

Będą kolejne takie projekty?

Mam ich w głowie wiele. Dla tej publiczności, która na „Legionach" płacze.

eprasa.pl c98308c2a0

SIECI

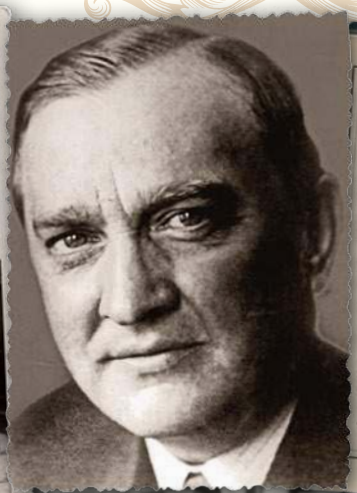
SUKCESY
XX-lecia międzywojennego

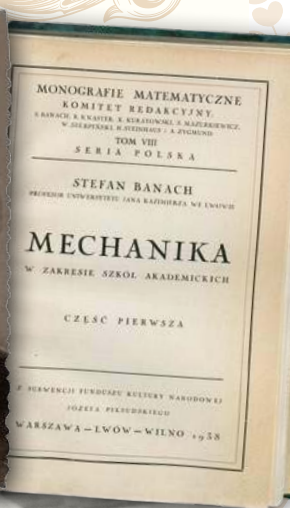
1918–1939













odc. 9

Osiągnięcia naukowe

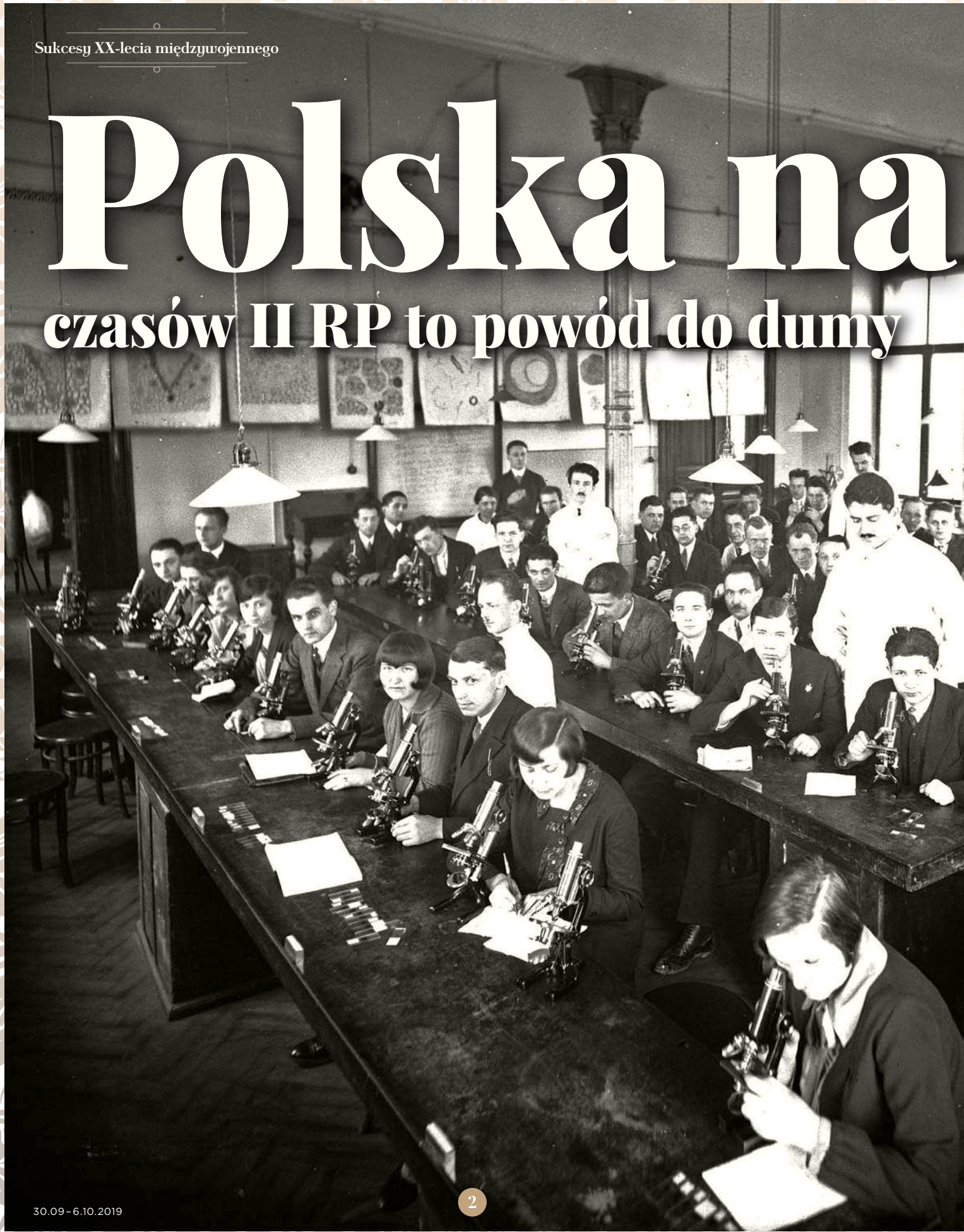
PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl c98308c2a0

Polska na

czasów II RP to powód do dumy



eprasa.pl/c98308c2a0

uka



Z profesorem ***Jarosławem Kłaczkowem***
z Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu rozmawia Maciej Wolny

Jak wyglądała sytuacja polskiej nauki w czasie zaborów?

Jarosław Kłaczkow: Przełomem jest bez wątpienia nadanie zaborowi austriackiemu autonomii. W 1869 r. polski stał się językiem urzędowym w sądownictwie i administracji na terenie Galicji. Język polski trafił również do szkolnictwa, a na terenie tego zaboru funkcjonowały Akademia Krakowska i Uniwersytet Franciszkański we Lwowie (dopiero w okresie międzywojennym nadano mu jako patrona króla Jana Kazimierza). Ta ostatnia uczelnia była w okresie austriackim stopniowo polonizowana, m.in. w latach 80. XIX w. dominowała już kadra narodowości polskiej. O zdobywaniu przewagi przez Polaków świadczą dane: w 1870 r. prowadzono 46 wykładów po niemiecku, 13 po łacinie, 13 po polsku i 7 po ukraińsku, a na początku XX w. było to już odpowiednio: 185 w języku polskim, 19 w języku łacińskim, a tylko 5 w języku cesarstwa austriackiego. Rozwój uczelni przekładał się na powstawanie kolejnych jednostek, jak Wydział Medyczny czy katedra astronomii.

Rozwijała się również myśl techniczna, przede wszystkim na powstałej w 1877 r. Szkole Politechnicznej we Lwowie. Przekształcono ją z istniejącej już wcześniej Akademii Technicznej.

Akademia Krakowska, wcześniej traktowana przez austriackiego zaborcę jako zło konieczne, zaczęła się rozwijać. Zmianie uległa nazwa na funkcjonującą do dziś – Uniwersytet Jagielloński, a kadrę humanistyczną stanowili tak znakomici naukowcy jak twórcy krakowskiej szkoły historycznej: Stanisław Smolka, Michał Bobrzyński, Józef Szujski czy Stanisław Estreicher. W Krakowie działała również Akademia Sztuk Pięknych. Na terenie autonomicznej Galicji działały ponadto lwowska Akademia Weterynaryjna i Akademia Rolnicza w Dublanach. Było to szczególnie ważne ze względu na to, iż przeważał na tym terenie sektor rolniczy.

W pozostałych zaborach nie było takich szans rozwoju. W zaborze pruskim nie istniał żaden uniwersytet. Dopiero w 1904 r. w Gdańsku uruchomiono politechnikę, której językiem wykładowym był niemiecki. Z kolei w zaborze rosyjskim w Warszawie istniał Cesarski Uniwersytet Warszawski oraz Instytut Politechniczny. Oba były rosyjskojęzyczne. Rosjanie, wycofując się w 1915 r., ewakuowali kadrę uczelni do Rostowa nad Donem, gdzie jeszcze istniał przez dwa lata, następnie został przekształcony w Uniwersytet Doński.

W 1918 r. Polska na nowo zaistniała na mapie świata. Zaczął się trudny proces odbudowywania życia naukowego i akademickiego. Od czego zaczęto ten proces i jaką wartość stanowił on dla ówczesnych władz?

Fot. NAC

eprasa.pl c98308c2a0


Stefan Bryła



Historia pewnego mostu

Stefan Bryła był z pewnością jednym z najtęższych umysłów inżynierskich II RP. Ten wielki patriota, podczas walki o granice odrodzonej Polski broniący Lwowa przed Ukraińcami i Warszawy przed bolszewikami, zajmował się przede wszystkim zagadnieniem spawalnictwa. Dopiero po I wojnie światowej w Polsce zaczęto korzystać z wynalezionej kilkadziesiąt lat wcześniej przez Stanisława Olszewskiego i Nikołaja Bernardosa metody spawania łukowego, która pozostaje powszechną praktyką po dziś dzień. To właśnie prof. Bryła, przy wsparciu innych znakomitych inżynierów, Władysława Trylińskiego (który później wymyśli słynne trylinki, czyli sześciokątne betonowe płyty używane do budowy parkingów i dróg) i Wenceslawa Poniża (wspomagającego Bryłę także przy budowie sztandarowego wieżowca Warszawy – biurowca Prudential), postanowił spawanie elektryczne wynieść na zupełnie nowy poziom. Na niewielkiej rzece Słudwi nieopodal Łowicza Polacy zbudowali pierwszy na świecie spawany most drogowy, który, choć wymiarowo niewielki, miał gigantyczny wpływ na światowe budownictwo. Spawana konstrukcja okazała się lżejsza i tańsza od jej nitowanych odpowiedników, a dzieło Stefan Bryły i spółki bez najmniejszej przesady można uznać za milowy krok w dziedzinie inżynierii. Główny twórca mostu w Maurzycach zasłynął jeszcze dziesiątkami innych efektownych budowli, które po dziś dzień można podziwiać w miastach całej Polski. W czasie II wojny światowej został zamordowany przez Niemców w Warszawie.

Proces ten rozpoczął się jeszcze podczas wielkiej wojny po zajęciu ziem Królestwa Polskiego przez państwa centralne. Przede wszystkim stopniowo rozpoczęła się polonizacja szkolnictwa i aparatu administracyjnego, w tym sądownictwa. W 1915 r. powołano w Warszawie do życia Szkołę Nauk Społecznych i Handlowych, którą dwa lata później przekształcono pod kątem kształcenia urzędników w Szkołę Nauk Politycznych. W czasie okupacji niemieckiej reaktywowano jesienią 1915 r. Uniwersytet Warszawski, a trzon kadry stanowili uczeni ze Lwowa. W 1915 r. powstała również Politechnika Warszawska. Można więc przyjąć, że lata 1915–1918 zostały skrzętnie wykorzystane przez nasz naród do budowania zrębów polskiej nauki.

To ułatwiło dalsze działania już po odzyskaniu niepodległości, gdy powstały Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski. Powstała także, na bazie przedwojennego Towarzystwa Kursów Naukowych, Wolna Wszechnica Polska. Z nowych szkół technicznych należy wymienić: Państwową Wyższą Szkołę Budowy Maszyn w Poznaniu (przekształcona w 1929 r. w Państwową Wyższą Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki) czy Akademię Górniczą w Krakowie. Na mapie edukacyjnej Polski w 1933 r. pojawiła się ważna z punktu widzenia badania procesów gospodarczych Szkoła Główna Handlowa. Pod koniec lat 30. na fali przekształceń wcześniejszych struktur powstała także w Warszawie Akademia Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego.

Jaka była kondycja życia akademickiego w tamtym okresie?

O tym, jak wielką uwagę władze II RP przywiązywały do sprawy dostępu do morza i aktywnego jego wykorzystywania, najlepiej świadczył to, iż już w 1920 r. powołano do życia Szkołę Morską z siedzibą w Tczewie. Została ona w 1930 r. przeniesiona do szybko rozbudowującej się Gdyni i tam funkcjonowała jako Państwowa Szkoła Morska. Od 1922 r. istniała z kolei w Toruniu Oficerska Szkoła Marynarki Wojennej, przeniesiona w 1938 r. do Bydgoszczy. W ówczesnej stolicy polskiego Pomorza, Toruniu, planowano również utworzenie uniwersytetu, co silnie wspierał istniejący tam Instytut Bałtycki. Plany te udało się jednak zrealizować dopiero w 1945 r.

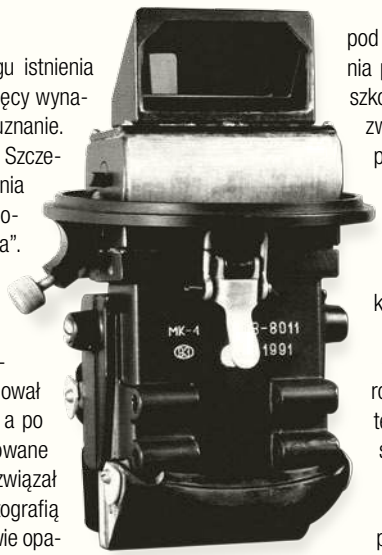
Pozostałe w kraju placówki (uniwersytety i politechniki) cieszyły się szeroką autonomią i wolnością badań. Dopiero tzw. reforma jędrzejewiczowska z 1933 r. ograniczyła suwerenność uczelni. Minister uzyskał prawo zatwierdzania wyboru rektora, a także powoływania i likwidowania wydziałów i katedr. Środowisko akademickie, w zdecydowanej większości sprzyjające endeckiej opozycji, zorganizowało 2–3 marca 1933 r. strajk, który jednak nie przyniósł żadnych rezultatów. Władze


Strajk środowiska akademickiego, 2–3 marca 1933 r.

eprasa.pl/c98308c2a0

Polski Edison i inni

Polska międzywojenna wynalazkami stała. W ciągu istnienia II RP Polacy zgłosili do opatentowania dziesiątki tysięcy wynalazków, z których wiele znalazło międzynarodowe uznanie. Niesamowitą postacią był nauczyciel z zawodu Jan Szczepanik, który pomimo braku gruntownego wykształcenia co chwila wpadał na nowe pomysły, które zaowocowały nadaniem mu przydomka „polskiego Edisona". Ów „galicyjski geniusz" przyczynił się do rozwoju przemysłu włókienniczego dzięki swoim patentom sprawiającym, iż tkactwo stawało się szybsze i tańsze. Szczepanik ma swój udział w rozwoju technologii ruchomych obrazów, gdyż po pierwsze skonstruował telektroskop i telefot, będące prototypami telewizji, a po drugie wymyślił system barwnego filmu oraz dedykowane mu projektor i kamerę, a w późniejszym czasie rozwiązał kwestię udźwiękowienia filmów. Nie inaczej było z fotografią – to właśnie prosty nauczyciel mieszkający w Tarnowie opatentował światłoczuły papier barwny. Do najciekawszych pomysłów Szczepanika należy z pewnością ulepszenie kamizelki kuloodpornej, wymyślonej chwilę wcześniej przez innego Polaka, Kazimierza Żeglenia. Przesyłaniem obrazów na odległość zafascynowany był także Mieczysław Wolfke, który opatentował „aparat do widzenia na odległość", a później udoskonalił istniejące w tamtych latach teleskopy. Wolfke znany jest przede wszystkim jako twórca holografii – to on zaproponował koncepcję hologramu, za której wcielenie w życie kilka dekad później przyznawano Nagrodę Nobla. Skoro o przesyłaniu fal mowa, warto pamiętać o Stefanie Manczarskim. To on wymyślił pierwszy magnetowid, a wcześniej skonstruował pierwszy polski radioodbiornik. Później jego nadajniki radiowe miały praktyczne zastosowanie w trakcie II wojny światowej. Do bardziej tajemniczych aspektów działalności Manczarskiego należy jego praca ze słynnym w II RP jasnowidzem Stefanem Ossowieckim, z którym opracowywali techniki telepatii. Równie tajemnicze z punktu widzenia laika mogą się wydawać dokonania Wojciecha Świętosławskiego, pełniącego pod koniec lat 30. funkcję ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Naukowiec ten tak naprawdę stworzył polską szkołę fizykochemii, badając przez lata właściwości fizyczne związków chemicznych. Podobnie doniosłe miejsce w historii polskiej nauki ma Stefan Pieńkowski, który przez lata w laboratoriach zajmował się fizyką doświadczalną, a jej odkrycia popularyzował na łamach „Postępów Fizyki". Do okresu międzywojennego można również zaliczyć przełomowe prace w dziedzinie medycyny i biochemii, jakie od początku XX w. prowadzili Ludwik Hirszfeld i Kazimierz Funk. Ten pierwszy wsławił się odkryciem przyczyny konfliktu serologicznego i praw dziedziczenia krwi, tym samym tworząc seroantropologię. Temu drugiemu zawdzięczamy powszechność terminu „witaminy", których właściwości zgłębiał z wielkimi sukcesami. Z kolei Eugeniusz Romer to ojciec polskiej kartografii, który całe życie poświęcił kreśleniu i udostępnianiu map w popularnych atlasach oraz tworzeniu encyklopedii powszechnych. Na koniec nie sposób nie wspomnieć o licznych dokonaniach Polaków w dziedzinie transportu i wojskowości, które później znalazły praktyczne zastosowanie na frontach II wojny światowej. Tu na plan pierwszy wybija się postać Stefana Drzewieckiego, który projektował pierwsze okręty podwodne i wyrzutnie torped, a później zajął się propagowaniem aeronautyki poprzez konstruowanie napędów śmigłowych i udział w budowie pierwszego francuskiego tunelu aerodynamicznego. W dziedzinie lotnictwa zasłynęli Zygmunt Puławski, twórca nowego układu skrzydeł zwanego od wynalazcy „płatem Puławskiego", czy Jerzy Rudlicki, który wymyślił usterzenie motylkowe, a w trakcie wojny wprowadzał w alianckich samolotach rewolucyjny wyrzutnik bomb. Ów wyrzutnik był dziełem innego Polaka, Władysława Świąteckiego, a jego koncepcja spotkała się z podziwem na Zachodzie i weszła do powszechnego użycia w siłach wojskowych. Życie czołgistom na frontach wojennych ułatwił Rudolf Gundlach, który wymyślił peryskop odwracalny, stosowany również w łodziach podwodnych. Jak widzimy, polska nauka międzywojenna powinna być powodem do dumy i wzorem dla współczesnych.



Peryskop odwracalny opracowany przez Rudolfa Gundlacha



sanacyjne nie ograniczyły jednak w żadnej mierze wolności badań ani nie dokonały zmian kadrowych. Nadal rozwijało się życie studenckie. Żacy zrzeszali się w korporacjach. Byli także aktywni politycznie, co niestety czasami prowadziło do napięć i zamieszek – głównie na tle narodowościowym. Pojawiały się wówczas getta ławkowe i dzielenie sal wykładowych.

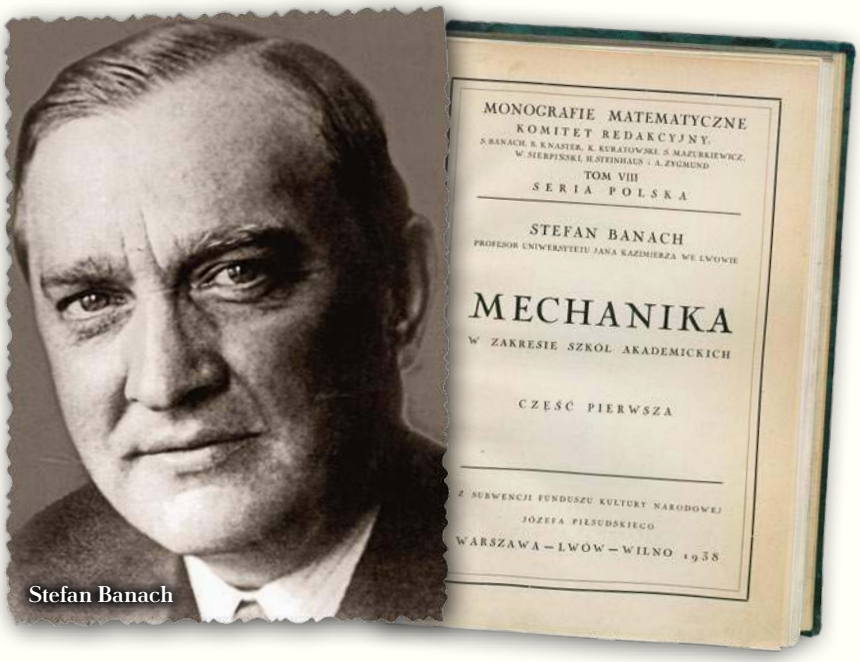
Mimo tych politycznych zawirowań trzeba jednak podkreślić, iż okres międzywojenny to przede wszystkim czas niebywałego rozwoju polskiego życia naukowego. Było to zauważane również na forum międzynarodowym, np. ze znakomitym polskim socjologiem Florianem Znanieckim współpracował naukowo nad pracą „Chłop polski w Europie i Ameryce" William Thomas. Obaj w ramach umiędzynarodowienia badań stworzyli metodę autobiograficzną w socjologii.

Z pewnością Polska na naukowej mapie świata wyróżniała się znakomitą szkołą matematyczną.

Za prekursora polskiej szkoły matematycznej może uchodzić warszawski matematyk Wacław Sierpiński. Skonstruował on jeszcze w czasie wielkiej wojny obiekt samopodobny albo nieskończenie złożony zwany fraktalem (później nazwano go „dywanem Sierpińskiego"). Sam Sierpiński nie ograniczał się wyłącznie do pracy w murach uczelni. W 1920 r. podczas wojny z bolszewikami działał w Biurze Szyfrów II Oddziału Sztabu Generalnego i łamał sowieckie szyfry. Sierpiński wraz z Zygmuntem Janiszewskim, Karolem Borsukiem, Kazimierzem Kuratowskim, Stefanem Mazurkiewiczem i Samuelem Eilenbergiem tworzyli tzw. warszawską szkołę matematyczną, której specjalnością były badania nad logiką matematyczną czy teorią mnogości.

Fot. NAC x4

eprasa.pl/c98308c2a0



Stefan Banach

Bardziej znana jest oczywiście inna, lwowska szkoła matematyczna, skoncentrowana wokół dwóch osób: Stefana Banacha i Hugona Steinhausa. Specjalizowała się ona w analizie funkcjonalnej, a efekty badań były publikowane na łamach założonego przez nich pisma o skali międzynarodowej „Studia Mathematica".

Pod koniec lat 20. Oddział II Sztabu Głównego (wojskowe służby specjalne) rozpoczął poszukiwania wybitnych młodych matematyków, których można by zatrudnić w Biurze Szyfrów. Szybko zauważono takich na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza – byli to Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski. Wszyscy świetnie znali niemiecki, ale jednocześnie byli genialnymi matematykami. I to właśnie zastosowanie metody matematycznej zamiast językowej pozwoliło złamać im szyfr Enigmy. Mało tego, udało się następnie trzem polskim kryptologom odtworzyć konstrukcję maszyny. Pozwoliło to zbudować kopię Enigmy, co latem 1939 r. w tajnej placówce w podwarszawskich Pyrach ujrzeli zdumieni i zaskoczeni polscy sojusznicy – Francuzi i Brytyjczycy. Otrzymali oni kopie maszyny i informacje potrzebne do dekryptażu. Skorzystali z tego w praktyce jedynie Brytyjczycy.

Zrozumieć człowieka

Polska nauka międzywojenna to nie tylko rozważania z zakresu matematyki, fizyki, chemii czy setki mniej lub bardziej doniosłych wynalazków. To także próba zrozumienia człowieka i społeczeństwa, jego motywacji, zasad i celów. To właśnie polskie uczelnie (również te działające w okresie zaborów) wykształciły jednych z najznamienitszych naukowców poświęcających się zagadnieniom głęboko humanistycznym. Do takich należał bez wątpienia Florian Znaniecki, znany dziś jako twórca polskiej socjologii. Zdobył uznanie na całym świecie dzięki swoim dogłębnym badaniom nad naturą społeczeństwa dokonywanym rewolucyjną na owe czasy metodą autobiograficzną, poprzez pryzmat uczestników badania. Był zwolennikiem socjologii humanistycznej, kierującej się innymi prawami niż nauki ścisłe, postulował także kulturalizm, czyli koncentrację na badaniu wytworów człowieka, a do dziś żywa jest jego typologia osobowości dzieląca społeczeństwo na cztery grupy ludzi. Badanie egzotycznych plemion kojarzy nam się z dzisiejszej perspektywy przede wszystkim z Tonym Halikiem, ale to Bronisław Malinowski był jednym z pierwszych Polaków zapuszczających się w nieznane krainy celem zrozumienia podstawowych instynktów człowieka i społeczeństwa. W Polsce spędził niewiele czasu, bo przede wszystkim pracował w Londynie i nieustannie podróżował. Do najbardziej znanych dokonań polskiego antropologa należą opisy ludów Oceanii, których dokonywał metodą obserwacji uczestniczącej, czyli intensywnych i dogłębnych badań w terenie. Wysnuł teorię funkcjonalizmu, wedle której każde najmniejsze zjawisko kulturowe jest istotne dla całego systemu społecznego. Na rolę szczegółów zwracał także uwagę jeden z najznamienitszych przedstawicieli polskiej szkoły filozoficznej, Tadeusz Kotarbiński. To właśnie one składają się na dobre, skuteczne i zacne życie. Czołowy polski etyk swoje najważniejsze dzieła tworzył już po II wojnie światowej, wtedy też uformował swoją koncepcję etyki niezależnej. Wedle niej zasady nie są zależne od ideologii czy religii, a ich słuszność określa ludzkie sumienie i kontakty z innymi ludźmi. Idealną postawą etyczną jest postawa „spolegliwego opiekuna" – godnego zaufania, niezawodnego, motywującego do czcigodnego działania, angażującego się w sprawy społeczne, stającego po stronie wykluczonych. Kotarbiński nie tylko położył podwaliny pod wiele filozoficznych idei, lecz także przez całe życie był wielkim orędownikiem aktywnego życia akademickiego, które pozwoli wykształcić porządnych ludzi gotowych do wykonywania „dobrej roboty".

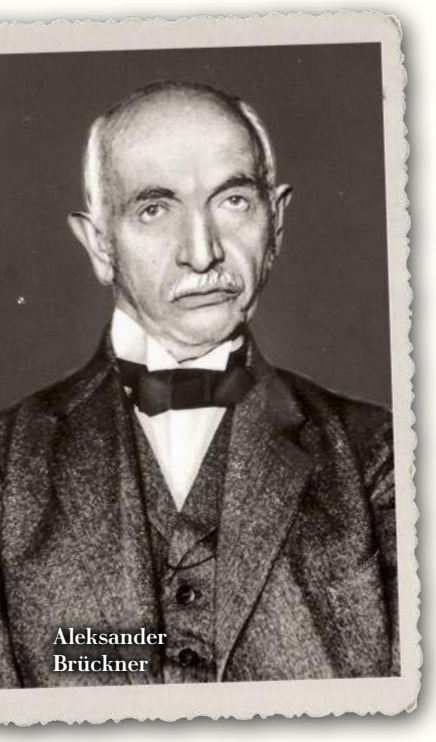

Florian Znaniecki

eprasa.pl/c98308c2a0

Obok królowej nauk II RP mogła się również pochwalić filozofią, która w świecie znana jest przede wszystkim dzięki swojemu dorobkowi w zakresie logiki.

W okresie międzywojennym powstała tzw. szkoła lwowsko-warszawska. Jej twórcą był prof. Kazimierz Twardowski, a wśród jego słynnych uczniów znajdowali się Tadeusz Kotarbiński, Alfred Tarski, Jan Łukaszewicz, Władysław Tatarkiewicz czy Kazimierz Ajdukiewicz. Cechą szkoły był racjonalizm, aczkolwiek sam Ajdukiewicz stworzył jeszcze teorię logistycznego antyirracjonizmu. W polskiej szkole filozoficznej widoczne były oczywiście wpływy np. brytyjskiej szkoły filozofii analitycznej. Kontaktowano się również z tzw. Wiener Kreis – czyli grupą wiedeńskich filozofów skupionych wokół Moritza Schlicka.

Okres XX-lecia międzywojennego to czas odbudowy, ale również rozwoju. Jakimi wynalazkami zasłynęła II RP i jakie nazwiska osiągały największe sukcesy na tym polu?



Aleksander Brückner

Polscy uczeni i ich dorobek były już zauważane przed odzyskaniem niepodległości. Na czoło oczywiście wysuwa się polska noblistka Maria Skłodowska-Curie i jej odkrycie oraz rozwój radiochemii. Późniejszy prezydent RP Ignacy Mościcki był wybitnym chemikiem, dziekanem Wydziału we Lwowie. Tam w 1916 r. z jego inicjatywy powstał Instytut Badań Naukowych i Technicznych „Metan". Badania prowadzone przez tę instytucję ogniskowały się wokół nowych technologii destylacji ropy naftowej wydobywanej na obszarze Galicji Wschodniej. Z kolei na terenie Szwajcarii bardzo znanym budowniczym elektrowni wodnych był późniejszy pierwszy prezydent RP Gabriel Narutowicz.

W okresie międzywojennym obok wspomnianego już Floriana Znanieckiego można bez wątpienia wymienić znanego na całym świecie antropologa kultury Bronisława Malinowskiego. W tym czasie powstały także „Dzieje kultury polskiej" (w czterech tomach) i „Słownik etymologiczny języka polskiego", których autorem był profesor Uniwersytetu Lwowskiego Aleksander Brückner.

Fot. NAC, sygn. 3, Biblioteka Narodowa

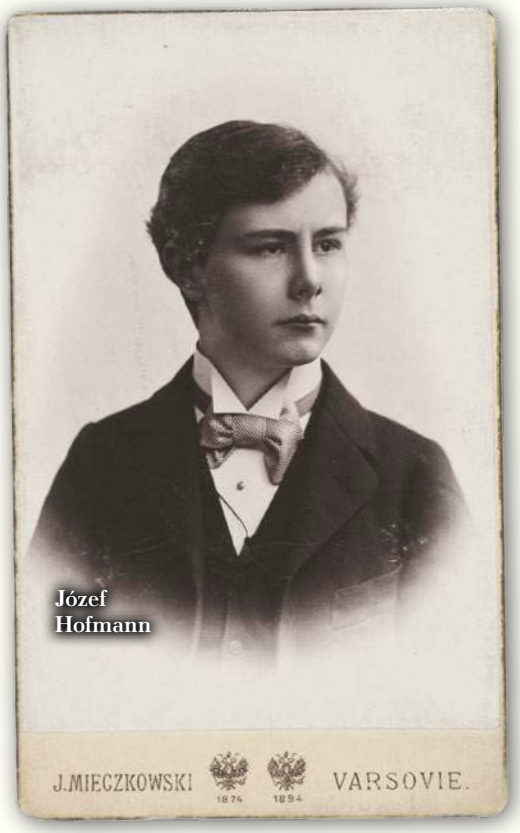


Maria Skłodowska-Curie z córką Ireną w laboratorium

Jaka matka, taka córka

O Marii Skłodowskiej-Curie, nazywanej największą polską uczoną w historii, wiemy wszyscy. Pierwsza kobieta pochowana w paryskim Panteonie została na początku XX w. dwukrotnie uhonorowana Nagrodą Nobla za badania nad promieniotwórczością. Jak się okazało, w ślady genialnej matki (i genialnego ojca, wszak Piotr Curie wspólnie z żoną zdobył pierwszego Nobla) poszła jej córka Irena Curie. Wraz ze swym mężem, Frédérikiem Joliotem, Curie odkryła sztuczną promieniotwórczość. To osiągnięcie pozwoliło małżeństwu na odebranie Nagrody Nobla w 1935 r., a tym samym Maria Skłodowska stała się protoplastką prawdziwie naukowej dynastii. Irena Curie była przez całe życie socjalistką i nie ukrywała swojej sympatii dla komunistycznej władzy przejmującej rządy w Polsce pod koniec II wojny światowej. Warto wspomnieć o tym, że druga córka Marii Skłodowskiej, Ewa, była znaną i cenioną działaczką UNICEF (jej mąż, Henry Labouisse, jako dyrektor tej organizacji odebrał w 1965 r. Pokojową Nagrodę Nobla). Z kolei dzieci Ireny, Helena i Pierre, odnosiły sukcesy odpowiednio w dziedzinie fizyki i biochemii.

eprasa.pl c98308c2a0



Fortepian i wycieraczka

Polak, XX-lecie międzywojenne, fortepian – gdyby zagrać w skojarzenia, zapewne 99 proc. pytanych wskazałoby jako odpowiedź Jana Ignacego Paderewskiego. Uwielbiany w świecie za swą muzykę i ceniony w Polsce za zasługi na rzecz odradzającej się ojczyzny wirtuoz miejsce w historii ma rzecz jasna niepodważalne. Ale warto zwrócić uwagę na innego pianistę, którego powołaniem okazały się nie dyplomatyczne działania zmierzające do wzmocnienia pozycji II RP na arenie międzynarodowej, ale… wynalazki. Józef Hofmann był cudownym dzieckiem – jego niebagatelne umiejętności gry na fortepianie pozwoliły mu się cieszyć międzynarodową sławą już jako 10-latkowi, gdy w latach 80. XIX w. koncertował w Europie i Stanach Zjednoczonych. Kariera muzyczna Hofmanna rozwijała się wzorowo, a grać przestał dopiero po skończeniu 70 lat. Ale jego drugą pasją były wynalazki, i to wynalazki wszelakie. Gdy przecieramy szybę auta wycieraczkami – zawdzięczamy to Hofmannowi. Gdy na wakacjach mkniemy po jeziorze motorówką – pamiętajmy, że to polski pianista wpadł na jej pomysł. Gdy używamy spinacza biurowego do spięcia dokumentów – za jego powstaniem stał nie kto inny, jak Hofmann. Ilekroć spojrzymy na elektroniczny zegarek na ręce – chyba nie trzeba pisać, kto go wymyślił. Hofmann łącznie opatentował 70 wynalazków, z czego lwia część dotyczyła konstrukcji auta, którym uwielbiał jeździć w wolnym czasie. Podobnie jak Paderewski zmarł na amerykańskiej ziemi, w Los Angeles.

Autor tekstów w ramkach Michał Muzyczuk

Z kolei do najwybitniejszych historyków tego okresu należał bez wątpienia kierownik katedry historii Polski na UJ Władysław Konopczyński. Pod jego redakcją rozpoczęto wydawanie monumentalnego „Polskiego słownika biograficznego". Ukazuje się on do dnia dzisiejszego.



Jakie różnice i jakie podobieństwa można wskazać w funkcjonowaniu polskich uczelni współcześnie i w XX-leciu międzywojennym?

Podobieństwo to przede wszystkim przywiązanie do tradycji oraz wykorzystywanie i rozwijanie dorobku poprzednich pokoleń, m.in. poprzez budowanie zespołów badawczych złożonych ze starej i nowej kadry. Zarówno w okresie międzywojennym, jak i współcześnie często funkcjonują „szkoły" budowane wokół jakiejś wybitnej jednostki. Osoby, które wychodzą z tego kręgu, często podkreślają, że są uczniami tego lub innego uczonego. Następnie mają oni swoich doktorantów i tak ta akademicka tradycja przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Różnice oczywiście występują i są bardzo istotne. W okresie międzywojennym praca na uczelni była bardzo elitarna, studia również miały taki charakter. Były przede wszystkim płatne, co w tamtych realiach ekonomicznych skutecznie ograniczało liczbę studiujących. W całym okresie międzywojennym przez uczelnie wyższe przeszło tylko ok. 50 tys. osób. Uczelnie były również areną starć politycznych, stanowiły w dużej mierze bastion endeckiej opozycji wobec władzy piłsudczyków. W latach 30. zdarzały się również na ich terenie animozje narodowościowe. Nie wpływało to jednak na bieżące funkcjonowanie i proces kształcenia. Można na koniec postawić tezę, że polskie uczelnie i polska nauka mimo krótkiego bytu niepodległego kraju wykształciły spore grono wybitnych przyszłych uczonych. Niektóre z wynalazków polskiej myśli technicznej weszły zaś do światowego obiegu i znalazły swój udział w walkach na frontach II wojny światowej – tak było np. ze skonstruowanym przez Józefa Koseckiego w 1941 r. wykrywaczem min.

eprasa.pl/c98308c2a0

Polacy zdecydowanie są narodem odważnym, jednak ta odwaga nie objawiała się w ciągu naszych dziejów tylko na polach bitew. Wielu naszych rodaków formułowało odważne tezy i miało odważne poglądy, wielu też z tą odwagą kreowało wynalazki, które zmieniały bieg dziejów ludzkości. Warto pamiętać o tych polskich innowatorach, bo z wynalazków wielu z nich korzystamy do dziś



Ignacy Mościcki opracował metodę wiązania azotu z powietrza za pomocą energii elektrycznej



Gabriel Narutowicz był pionierem elektryfikacji

Polscy innowatorzy

Postać Mikołaja Kopernika jest powszechnie znana na całym świecie, jednak Erazm z Zakroczymia niekoniecznie znany jest nawet w Polsce. Tymczasem o ile Kopernik był wybitnym astronomem, którego tezy na zawsze zmieniły postrzeganie kosmosu i miejsca w nim Ziemi, o tyle Erazm z Zakroczymia zajmował się bardziej przyziemną sprawą, jaką był... transport. Ten żyjący w XVI w. inżynier stworzył pierwszy stały most na Wiśle w Warszawie, realnie łącząc oba brzegi i kładąc podwaliny pod nowoczesny wygląd naszej stolicy. Dlaczego warto o Erazmie wspominać? Nie tylko był to polski uczony, który wpłynął na bieg dziejów, ale reprezentuje on cechę charakterystyczną łączącą wszystkich naszych innowatorów – potrafił znaleźć niebanalne rozwiązanie dla palącego problemu codzienności. Polscy uczeni właśnie z tego zasłynęli podczas biegu dziejów – wykorzystywali swoje umiejętności do rozwiązania problemów dotykających zbiorowości, ich wynalazki nie miały być teoretycznymi, drogimi projektami, lecz usprawnieniami pomagającymi przezwyciężyć trudności dnia codziennego. Wybitni matematycy, chemicy, inżynierowie, a nawet twórcy teorii filozoficznych – wszyscy nasi wybijający się polscy naukowcy wpłynęli na kształt świata.

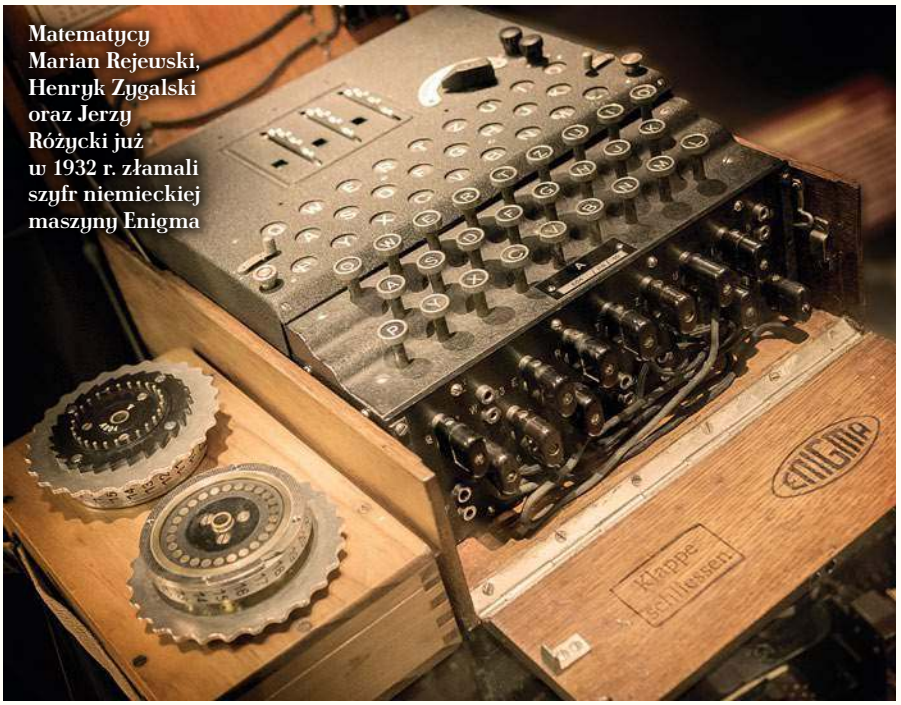
Fot. NAC x2

eprasa.pl c98308c2a0

Matematycy, którzy złamali Enigmę

Gdy w 1915 r. w Warszawie wznowiono działalność Uniwersytetu Warszawskiego oraz Politechniki Warszawskiej, matematycy skupieni na owych uczelniach szybko stworzyli silne środowisko naukowe zajmujące się badaniami nad teorią mnogości, topologią, a także ich praktycznymi zastosowaniami. Matematycy ci byli bowiem nie tylko świetnie wykształceni, ale też doskonale rozumieli, iż Polska potrzebuje wysokiej jakości kadr naukowych i wynalazków, jeśli państwo kiedykolwiek ma odzyskać niepodległość. Kiedy w 1918 r. nasz kraj istotnie wybił się na niepodległość, polska szkoła matematyczna mogła się już pochwalić sukcesami, nazwiska zaś uczonych, takich jak Zygmunt Janiszewski, Stefan Mazurkiewicz czy Wacław Sierpiński, były znane na świecie. Kolejnym krokiem na rzecz budowy silnej polskiej myśli matematycznej była praca wspomnianego już Janiszewskiego pod tytułem „O potrzebach matematyki w Polsce". Praca ta była nie tylko krytyką tego, co należało poprawić lub zmienić w funkcjonowaniu polskiej matematyki (bardzo poszkodowanej przez działania zaborców), wytyczała też program zadań, które – według Janiszewskiego – w przypadku realizacji mogłyby stworzyć nową matematyczną jakość w naszym kraju i przede wszystkim uczynić z niego matematyczną potęgę i sprawić, iż rozwiązanie wielu problemów gospodarczych czy wojskowych byłoby łatwiejsze.

II RP doprowadziła do realizacji tych postulatów dzięki działalności trzech najważniejszych ośrodków matematycznych w Polsce. Okazały się nimi Warszawa, Kraków oraz Lwów. Co więcej, powołano wtedy pierwsze na świecie czasopismo matematyczne „Fundamenta Mathematicae". Niestety jego inicjator, genialny Zygmunt Janiszewski, nie dożył publikacji pierwszego numeru, zmarł bowiem we Lwowie podczas epidemii grypy hiszpanki. Jednak spuścizna Janiszewskiego trwała w młodych matematykach, którzy byli jego bezpośrednimi wychowankami lub po prostu uczonymi zafascynowanymi polską myślą matematyczną. Do tego grona należy bezwzględnie zaliczyć naukowców z Poznania: Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego oraz Jerzego Różyckiego. To właśnie ci matematycy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza złamali w 1933 r. szyfr niemieckiej maszyny Enigma.



Matematycy Marian Rejewski, Henryk Zygalski oraz Jerzy Różycki już w 1932 r. złamali szyfr niemieckiej maszyny Enigma

Fot. Lenscap Photography/Shutterstock.com

Zresztą losy owych nieprzeciętnych ludzi przypominają scenariusz filmu z Jamesem Bondem! Prace uczonych były utrzymywane w najściślejszej, wojskowej tajemnicy, co wiązało się z nieprzyjemnościami dla naukowców – gdy ich koledzy święcili triumfy na międzynarodowych seminariach, swobodnie prezentując wyniki badań, trójka z Poznania musiała się cieszyć jedynie poważaniem wojskowych i świadomością, iż ich praca przyczynia się do wzrostu bezpieczeństwa nowo odrodzonego państwa. Sama Enigma była niemiecką maszyną szyfrującą produkowaną przez wytwórnię Scherbius & Ritter. Choć uznawana była za najlepszą i najskuteczniejszą maszynę szyfrującą na świecie, Polakom udało się złamać jej kod już 1932 r. Podczas prac w warszawskim Pałacu Saskim (gdzie mieściło się Biuro Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego) Rejewski, Różycki, Zygalski i towarzyszący im współpracownicy odcyfrowali niezłamany dotychczas kod. Ich prace były nie tylko pionierskie, lecz również pozwoliły na dalszy rozwój badań nad Enigmą, które podejmowano potem w Wielkiej Brytanii czy Francji. Z Enigmy korzystał w okresie II wojny światowej niemiecki Wehrmacht, a tym samym złamanie kodu przez Polaków poważnie wpłynęło na losy całego konfliktu.

Chemicy, inżynierowie, patrioci, prezydenci

Postać Gabriela Narutowicza znana jest głównie ze względu na tragiczną śmierć, jaką pierwszy prezydent RP poniósł z rąk zamachowca 16 grudnia 1922 r. Należy jednak pamiętać, że Narutowicz był nie tylko wielkim patriotą, lecz również wybitnym inżynierem.

Zawsze bliskie były mu wartości narodowe. Jeszcze w czasie studiów w XIX w. pomagał Polakom ściganym przez carat. Ta patriotyczna posta-

eprasa.pl/c98308c2a0

wa nigdy go nie opuściła, nawet gdy w młodym wieku zajął wysokie stanowisko szefa sekcji odpowiedzialnej za regulację Renu. Rzeka Ren miała wtedy złą sławę kanału, który notorycznie wylewa, powodując szkodliwe śmiertelne powodzie – inżynieryjny projekt jego regulacji był jednym z najambitniejszych w XIX w., efekty zaś można w Niemczech podziwiać do dziś. Warto więc pamiętać, iż to właśnie nasz rodak był jednym z inżynierów tego sukcesu. Jeśli wybierzemy się do Szwajcarii, będziemy mogli podziwiać dzieło elektryfikacji tego kraju – ze względu na górski charakter krajobrazu bardzo trudne i ambitne w warunkach sprzed niemal półtora wieku. Mimo to elektryfikacja kraju Helwetów zakończyła się sukcesem – także dzięki zaangażowaniu Narutowicza, który był w owym okresie pionierem elektryfikacji. Niestety kariera inżynieryjna została przerwana przez zaangażowanie w politykę, a co za tym idzie – śmierć na skutek postrzału w warszawskiej Zachęcie.

Więcej szczęścia miał inny genialny uczony i prezydent RP Ignacy Mościcki. Ten urodzony w 1867 r. chemik w latach 1926–1939 pełnił zaszczytną funkcję prezydenta RP. Jednak nas interesuje jego wcześniejsza kariera. Mościcki był bowiem wynalazcą i twórcą polskiego przemysłu chemicznego. Dostrzegając potężne zapotrzebowanie na gaz azotowy, Mościcki już na początku XX w., będąc kierownikiem technicznym w firmie Société de l'Acide Nitrique, opracował metodę wiązania azotu z powietrza za pomocą energii elektrycznej. Co więcej – do stosowania tej metody niezbędne były kondensatory wysokiego napięcia, które w owym czasie nie były masowo produkowane. Naukowiec musiał więc osobiście zająć się ich konstrukcją, stając się pionierem już w dwóch dziedzinach. Jednak Mościcki, mimo globalnych sukcesów, pozostał polskim patriotą i gdy po latach badań opuszczał Szwajcarię, wykupił kilka ton fachowej aparatury i podarował ją uczelni we Lwowie, która po I wojnie światowej i zniszczeniach z nią związanych nie dysponowała fachowym sprzętem. Potem Mościcki został prezesem lwowskiego Polskiego Towarzystwa Chemicznego, po wyborze zaś na stanowisko prezydenta RP przekazał bezpłatnie prawa do swoich kilkudziesięciu patentów państwu polskiemu.

W tym kontekście warto też pamiętać o polskich ekonomistach, choćby opisywanym już w ramach tego cyklu Eugeniuszu Kwiatkowskim, twórcy idei Centralnego Okręgu Przemysłowego i Gdyni, czy Adamie Heydelu, rozstrzelanym przez Niemców pionierowi nurtu wolnościowego w gospodarce.

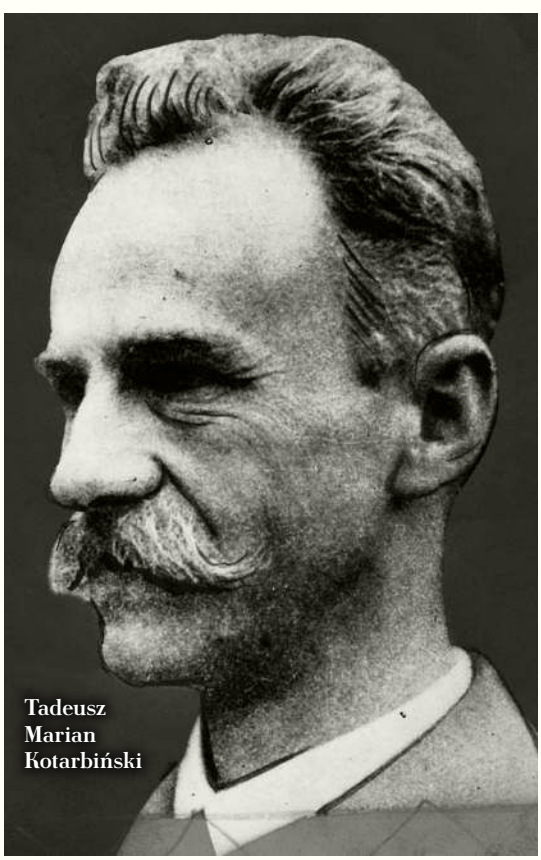
Wielka filozofia

Tadeusz Marian Kotarbiński jest jednym z najbardziej inspirujących twórców filozofii polskiego pochodzenia, jednocześnie przez długie lat jego teorie pozostawały nieznane. Kotarbiński urodzony w 1886 r. jest jednym z najbardziej znanych polskich twórców filozofii analitycznej – twórcą teorii sprawnego działania. Jednak i w jego przypadku wewnętrzny patriotyzm przekładał się na osiągnięcia filozoficzne. Analizując polskość, Kotarbiński pisał: „Polskość to splot i rozmaitość wszystkiego, co na tej tu ziemi, rozbrzmiewającej naszym językiem, składa się na bogactwo naszego kulturalnego oblicza... W języku naszym ileż łaciny, ruszczyzny, niemczyzny, francuszczyzny i hebraizmów, i zapożyczeń z jidyszu... Tak samo we krwi naszych twórców ileż przybyłego skądinąd dziedzictwa... A przy takim rozumieniu polskości antysemityzm w stosunku do własnych jej, genetycznie żydowskich składników przestaje być tylko grzechem – staje się absurdem".

Innym wielkim filozofem rodem z Polski jest Feliks Koneczny. Ten wybitny twórca wskazywał, że cywilizacje są nie tylko niekompatybilne, ale też rozbijał marzenie o jednolitej wspólnej cywilizacji. Według Konecznego kluczowe różnice cywilizacyjne mieszczą się w dziedzinie etyki, co oznacza, iż jedne cywilizacje mogą być bardziej etyczne względem innych. Koneczny nie wykluczał też, że nawet najbardziej rozwinięta gospodarczo i przemysłowo cywilizacja może być u źródła barbarzyńska.

W II RP, dzięki niezależności uczelni (rzecz niebywała w owym okresie w Europie), polscy uczeni początku XX w. mieli niesamowite możliwości rozwoju. Mimo że nie paraliżowały ich instytucje państwowe, dla każdego z nich myśl patriotyczna była naczelnym wyznacznikiem działania i badań. Nic więc dziwnego, że to właśnie prace tych uczonych są cenione w Polsce i na świecie do dzisiaj. I że to ci uczeni traktowani są jako najwięksi z polskich innowatorów.

Arkady Saulski



Tadeusz Marian Kotarbiński

Fot. NAC

Fot. NAC x2

50/0119/F

eprasa.pl/c98308c2a0

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88
samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator : Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

*** Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.**

eprasa.pl c98308c2a0



Zjawiskowa uroda, mocny charakter i głośne filmy. Ten rok Maria Dębska zaczęła od niosącej poważny problem „Zabawy, zabawy" i przebiła się przez męski świat „Piłsudskiego". Teraz wjeżdża do kin „Czarnym mercedesem", ale też szuka w sobie „Jesiennej dziewczyny"

Nadchodzi jesienna dziewczyna

Fot. Niemiec/AKPA

eprasa.pl c98308c2a0



Kadry z filmu „Czarny mercedes” w reżyserii Janusza Majewskiego

Z aktorką Marią Dębską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

To była głośna premiera. Juliusz Machulski pisał: „Ta książka aż się prosi, by przeniósł ją na ekran zdolny reżyser. Na przykład Janusz Majewski”. Tak było trzy lata temu. Jak wtedy podobał się pani „Czarny mercedes”?

Maria Dębska: Sięgnęłam po powieść, którą napisał reżyser, zaraz po tym, jak dostałam propozycję roli w jego filmie. Byłam może w połowie, gdy od ludzi z ekipy usłyszałam: „Nie kończ, bo będziesz miała mętlik w głowie; w książce jest znacznie więcej wątków i szczegółów”. Tak więc skończyłam lekturę dopiero po zdjęciach, ciesząc się detalami, których z takim smakiem autor użył. Na ekranie nie sposób ich wszystkich pokazać, nawet jeśli film ma blisko dwie godziny.

Dokąd zawiózł panią „Czarny mercedes”?

Zagrać u Janusza Majewskiego było jednym z moich zawodowych marzeń. To była wielka przyjemność. Szansa, by się przekonać, że kręcenie filmu może być świętem, spotkaniem, które się celebruje i w czasie którego każdy może się wypowiedzieć. Dawał mi też na planie wielkie poczucie bezpieczeństwa.

Sądząc po filmie, Janusz Majewski niezmiennie kocha życie. W różnych jego aspektach. Także w pikantnych wywodach hrabiego, granego brawurowo przez Andrzeja Seweryna, czy w odsłanianiu urody kobiecego ciała. Miała pani z tym problem?

Gdy wybucha wojna, moja bohaterka przestaje być panią samej siebie. Swojego ciała też. Bogatej żydowskiej dziewczynie, najlepszej studentce na SGH, szczęśliwej i zakochanej, wojna wszystko zabiera. By przeżyć, Aneta Landau podszywa się pod inną kobietę. W klimacie kina noir podejmuje niebezpieczną grę. Z dramatycznymi tego konsekwencjami.

Młode aktorki bywają postrzegane jako osoby wyłącznie dekoracyjne, ale to nie pani przypadek. Bohaterek, które pani gra, życie nie oszczędza. Wystarczy przypomnieć „Cichą noc”, gdzie śliczna dziewczyna trafia na damskiego boksera, „Zabawę, zabawę” z uzależnieniem bohaterki od alkoholu czy najnowszą premierę.

Cieszę się, że dostaję takie propozycje. W teatralnym dyplomie byłam Marią Stuart, ta rola bardzo dużo mi dała, wiele nauczyła. Zagrałam sporo ról, w których ktoś chce bohaterki stłamsić, wbić w ziemię, ale one się nie poddają. I te w historycznym kostiumie, i te współczesne. Chcą o sobie decydować, być partnerkami. Jak bohaterka z filmu „Piłsudski” (który, tak jak „Czarny mercedes”, trafił do konkursu głównego tegorocznego festiwalu w Gdyni). Aleksandra Szczerbińska nie miała łatwo, bo zakochała się w mężczyźnie „na życie” bardzo trudnym, ale fascynującym i dla niej jedynym, który był też jej politycznym idolem. Ten mężczyzna otwarcie powiedział, że ją kocha, mieszkał z nią pod jednym dachem, ona nosiła jego dziecko, ale formalnie nie mógł z nią być. Nie mógł, bo tak zdecydował. Trudna to była miłość i niełatwe partnerstwo.

Dwa lata od dyplomu ma pani na koncie głośne i rozpoznawalne produkcje (również serialowe: obok „W rytmie serca” także „Wojenne dziewczyny” czy „Stulecie Winnych”) oraz kilkanaście ról, które coraz więcej od pani wymagają. Choćby „Zabawa, zabawa”, na której planie własna matka, Kinga Dębska, zarazem scenarzystka i reżyser, zgotowała pani traumatyczne doświadczenie.

Lubię grać bohaterki, które muszą się odbić od dna. Jak Magda, którą stres związany ze studiami i równoległą pracą w korporacji popycha w alkoholizm. I mama nie zgotowała mi żadnego traumatycznego doświadczenia. Scena gwałtu stanowiła część roli, której się podjęłam. Nie była łatwa – dobrze, że nagrywaliśmy ją już pierwszego dnia zdjęciowego – ale musiała się pojawić, by pokazać w pełni postać, bynajmniej niepisaną z myślą o mnie. Z tego, co wiem, mamie nie było łatwo, kiedy montowała te ujęcia. Cały czas skracała sceny. Jednak na planie zachowywała profesjonalny dystans. No cóż... dała mi rolę, którą jej zdaniem mogłam udźwignąć, która rozwinęła mnie i wzmocniła jako aktorkę.

Te niełatwe zawodowo-prywatne relacje zaczęły się od słodko-gorzkiego, czeskiego w klimacie debiutu Kingi Dębskiej – filmu „Moje, córki, krowy”. Jak go pani wspomina?

Projekt został oparty na historii odchodzenia moich dziadków. Długi czas nie chciałam czytać scenariusza, był dla mnie zbyt bolesny. Kiedy jednak weszłam na plan, przestała być to dla mnie prywatna historia. Moim dziadkiem stał się Marian Dziędziel, do dziś tak się do niego zwracam. Bardzo wiele nauczyłam się od filmowej mamy Agaty Kuleszy. Była też Gabrysia Muskała i Marcin Dorociński. Znalazłam się w najlepszej z możliwych szkole zawodowej, bo zdjęcia powstawały, kiedy byłam na drugim roku.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl c98308c2a0



Chwilę wcześniej zeszła pani z planu „Demona", kolejnego bardzo trudnego emocjonalnie projektu. Reżyser, Marcin Wrona, nie wytrzymał ciśnienia.

To był mój pierwszy film, pierwsza premiera kinowa, przed „Moimi córkami, krowami", i pierwszy festiwal w Gdyni. Tego, co stało się z Marcinem Wroną, nie chcę komentować. To zbyt trudne dla jego bliskich i dla mnie też, ale takie ostateczne zdarzenie uświadamia, że biegniemy gdzieś i czasem zapominamy o sobie, o tym, co mamy w środku, czego potrzebujemy. Myślę, że bardzo ważna – na finałowej gali ówczesnego festiwalu – była wypowiedź mojego rektora Mariusza Grzegorzka, że pierwszą refleksją po tej tragedii powinno być: „Bądźmy razem". W totalnym wyścigu szczurów, w pogoni za sukcesem czy własną wizją świata próbujmy spotkać drugiego człowieka. Osamotnienie to najgorsza opcja. W samotności rodzą się trudne i ciemne rzeczy.

Dwa lata po tamtej tragedii wydarzeniem festiwalu w Gdyni 2017 staje się, zrealizowana w podobnym składzie, „Cicha noc". Prosta historia o niełatwych rodzinnych relacjach przeprowadza widzów na jasną stronę mocy.

Faktycznie, to była trochę ekipa z „Demona", bo Piotrek Domalewski był na tamtym planie asystentem Marcina Wrony i też grał w filmie. Podobnie jak Tomek Ziętek i Tomek Schuchardt [w „Cichej nocy" wcielił się w męża maltretującego bohaterkę – przyp. red.], z którym spotkaliśmy się w filmie „Piłsudski". Plan „Cichej nocy" przyniósł mi kolejne, niezwykle ważne doświadczenia. Zagrałam postać dramatyczną, którą na początku – muszę to przyznać – trudno było mi zrozumieć, ale w końcu udało mi się zajrzeć w jej oczy.

Podejmuje się pani niełatwych aktorskich zadań. Jaki jest sposób, by się od nich po zdjęciach uwolnić?

Nie jestem osobą, która wraca z planu, otrzepuje się i może przestać myśleć o tym, co się działo. Były role, które mnie poharatały, ale staram się zachować psychiczną higienę. Uczę się stawiania granic i skupienia, by nie tracić czasu na planie. Staram się żyć normalnie. Być bardziej człowiekiem niż aktorką.

Czy pomaga w tym trochę droga – wcale nie taka oczywista – którą doszła pani do aktorstwa?

Gdy się nad tym zastanowić... Od dziecka grałam na fortepianie. W sumie 16 lat. Po kilka godzin dziennie samotnych ćwiczeń i występy, które wykańczały mnie psychicznie. Po maturze przez rok studiowałam dziennikarstwo na UW (zawsze lubiłam pisać) i kończyłam równolegle szkołę muzyczną. Po czym porzuciłam dziennikarstwo na rzecz Akademii Muzycznej, w której studiowałam przez kolejny rok, by w końcu zdecydować: wybieram aktorstwo. To moja pasja i miłość.

Gdy do pasji i miłości dodać temperament i legendę, która nie pozwala zapomnieć o tej artystce, nie dziwi kolejna rola, do której się pani przygotowuje. Co możemy o niej powiedzieć?

Pracujemy nad warstwą muzyczną, która musi być gotowa przed wejściem na plan. Reżyserem jest Katarzyna Klimkiewicz, producentkami – Renata Czarnkowska-Listoś i Maria Gołoś z Re-Studio, które dopisało do swoich sukcesów Srebrne Lwy dla filmu „Ikar. Legenda Mietka Kosza". Teraz przyszła pora na Kalinę Jędrusik i „Jesienną dziewczynę".



W filmie obok Marii Dębskiej występuje m.in. Artur Żmijewski

eprasa.pl c98308c2a0



Szansa dla młodych Polaków na Litwie



Powstanie ośrodka TVP Wilno jest dowodem na poprawę relacji polsko-litewskich. Kilka lat temu nie byłoby to możliwe

***Z Michałem Dworczykiem**, szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, rozmawia Marcin Wikło*

Podczas inauguracji nadawania kanału TVP Wilno premier Mateusz Morawiecki, dziękując panu, mówił o wieloletnich staraniach, by Polacy na Litwie mieli swoją telewizję. Jak długo trwały zabiegi, by stało się to możliwe?

Michał Dworczyk: O tym, że Polacy na Litwie chcieliby mieć u siebie polską telewizję, z programami po polsku, a najlepiej robioną przez siebie, mówiło się od początku lat 90. Natomiast pierwszy raz realna szansa na to pojawiła się w 2007 r., po koniec rządów „pierwszego PiS", kiedy w oparciu o telewizję publiczną przymierzono się do rozszczepienia sygnału TVP Polonia i stworzenia zespołu redakcyjnego w Wilnie.

Dlaczego wówczas do tego nie doszło?

Ten pomysł umarł właściwie szybciej, niż się narodził, bo – jak pamiętamy – były przyspieszone wybory. Kolejna ekipa nie miała tego w swoich priorytetach, a poza tym ówczesna TVP, która była dłużej pod kontrolą centroprawicy, nie wykazała właściwie zainteresowania tym projektem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do lat 90. Skąd dobiegały sygnały, że w postsowieckiej republice ktokolwiek chce mieć polską telewizję?

Byłem wtedy instruktorem Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej i jeździłem na Kresy I i II RP, by wspierać odradzające się tam harcerstwo polskie. Znałem więc dobrze środowiska polskie, poznałem od podszewki ich problemy i potrzeby. Bardzo często słyszałem już wtedy, że potrzeba jakiejkolwiek równowagi dla telewizji litewskojęzycznej, a w szczególności rosyjskojęzycz-

Fot. Andrzej Wiktor, Fratria

eprasa.pl c98308c2a0

nej, bo tylko taką Polacy wówczas mogli oglądać.

Czy istniejąca od 1992 r. TVP Polonia nie spełniała takiej funkcji?

To był i jest bardzo wartościowy kanał telewizyjny. Jednak skierowany do wszystkich Polaków za granicą – od Kamczatki po Chicago – nie mógł więc spełnić nadziei, które pokładali w nim nasi rodacy na Kresach. Byli wciąż zarzucani moskiewską propagandą, która wywierała ogromny, negatywny wpływ na nastroje. Z kolei w odradzającym się młodym państwie litewskim, w mediach, panowała narracja, z której wynikało, że większym zagrożeniem są polscy sąsiedzi niż Związek Sowiecki.

Czy to nie było właśnie to miejsce, które już wtedy polskie państwo powinno zagospodarować?

Polska polityka zagraniczna była wówczas przedziwna. W dużej części klasy politycznej panowało przeświadczenie, że nie można być zbyt ofensywnym w pomocy Polakom na wschodzie, bo to mogłoby urazić naszych sąsiadów z Litwy, Białorusi czy Ukrainy. Czym to skutkowało? Ano tym, że oni poczytywali taką postawę za słabość Polski, która nie wspiera swych obywateli, przez co nasi rodacy narażeni byli na wiele – delikatnie mówiąc – nieprzyjemności. Tak jakby nikt z rządzących wówczas Polską nie dostrzegał, że to nie tylko problem mieszkających tam naszych rodaków, ale szerzej, było to przecież upokarzające dla Rzeczypospolitej.

Mówimy o telewizji, ale przecież inne media polskie na Litwie działały.

Tak, komunistyczny, wydawany od lat 50. XX w. „Czerwony Sztandar" zmienił się w 1990 r. w „Kurier Wileński". Powstało także Radio znad Wilii, które wówczas było najbardziej nowoczesnym nadawcą na Litwie. Nawet państwowa rozgłośnia często powoływała się na jego informacje, bo tworzyli je młodzi Polacy, którzy mieli kontakt z macierzą i potrafili wykorzystać dobre wzorce z Zachodu do swojej pracy.

A jak wyglądała ta ostatnia prosta i podjęcie decyzji, że startujemy z TVP Wilno?

W ub.r., wracając niejako z pomysłem sprzed lat, przyszliśmy do premiera Mateusza Morawieckiego z moimi polskimi przyjaciółmi z Litwy i przypomnieliśmy, że czeka wciąż na realizację pomysł powołania polskiej telewizji w Wilnie. Decyzja o budowie ośrodka TVP na Litwie – zarówno polityczna, jak i finansowa – została podjęta przez premiera właściwie natychmiast. To musiało się rozegrać równolegle w tych dwóch płaszczyznach. Mateusz Morawiecki kilkakrotnie rozmawiał na ten temat z premierem Sauliusem Skvernelisem, bo nasz pomysł – co zrozumiałe – jako nowość, był początkowo nawet z pewnym niepokojem śledzony przez stronę litewską. A druga sprawa, polski premier, przekazał środki z rezerwy ogólnej na to, żeby od razu rozpocząć realizację tego projektu.

Okazało się, że wcale nie zestarzał się pomysł sprzed lat, by wykorzystywać kanał TVP Polonia.

Początkowo w Wilnie będą powstawały tylko 15-minutowe okienka informacyjne i trochę publicystyki. Później inne lokalne programy, a docelowo TVP Wilno będzie autonomicznym, odrębnym kanałem dla Polaków na Litwie. Ważne jest, że powstał nie tylko kanał dla Polaków, lecz także ośrodek telewizji publicznej, który w Wilnie zatrudnia młodych ludzi, i to w nim ta regionalna telewizja będzie powstawała. Było to możliwe m.in. dzięki takim osobom jak Mirek Ciunowicz – dziś wicedyrektor TVP Polonia, który wychował się w małej miejscowości pod Wilnem, czy Edyta Maksymowicz, polska dziennikarka od lat działająca na Litwie.

Widać na zdjęciach, że zespół jest młody. Trzeba ich uczyć czy są już ukształtowani?

W tym projekcie bardzo atrakcyjne było to, że właściwie TVP Wilno jest budowana od zera. I poza przekazywaniem informacji, co jest podstawową misją, to przedsięwzięcie ma cel środowiskowotwórczy. Telewizja przyciąga młodych Polaków, absolwentów polskich szkół, studentów, którzy do tej pory nie byli właściwie zaangażowani w życie organizacji polskich. Gdyby nie to, część z nich być może odpłynęłaby do środowisk litewskich. Dzięki Fundacji „Wileńszczyzna" udało się zrekrutować sporą grupę wartościowych młodych ludzi. To ta instytucja niosła na swoich barkach ciężar projektu przez pierwszy rok. Obecnie całością zarządza już Telewizja Polska.

Czy dla wszystkich jest jasne, jak ważny to projekt?

TVP jest ogromną korporacją, z pewnymi przyzwyczajeniami i utartymi procedurami. TVP Wilno to pomysł nowy, nie dziwi mnie więc, że nie zawsze wszystko szło gładko. Napotykaliśmy na pewne problemy i gdyby nie osobiste zaangażowanie prezesa Jacka Kurskiego, wiceprezes Marzeny Paczuskiej, a wcześniej wiceprezesa Macieja Staneckiego, to być może tego kanału wciąż by nie było. A mimo wszystko powstał i dziś mamy pierwszy ośrodek TVP poza granicami kraju.

Zapytam jeszcze o politykę. Jak start TVP Wilno został odebrany w Wilnie?

Niektóre z osób, z którymi kiedyś rozmawialiśmy o konieczności stworzenia takiej telewizji, już nie żyją. Tyle to trwało. Z niektórymi mam do dzisiaj koleżeńskie, wręcz przyjacielskie relacje i widzę, że jest to dla nich wielka satysfakcja. Ten projekt ma mieć – i wierzę, że będzie miał – wpływ na całą polską społeczność na Litwie. A zupełnie inną kwestią jest aspekt międzynarodowy. Cieszę się, bo powstanie ośrodka TVP Wilno jest dowodem na poprawę relacji polsko-litewskich, kilka lat temu nie byłoby to możliwe. To również dobry prognostyk na przyszłość, że wiele innych problemów, z którymi boryka się nasza mniejszość na Litwie, także znajdzie rozwiązanie.

eprasa.pl c98308c2a0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Film bardzo o czymś

Tym razem nie piszę o czymś, co pokazała telewizja. Piszę o tym, co nie ma jeszcze swojego miejsca. Ale mam nadzieję, że będzie miało.

Rynek filmowy to studnia bez dna. A jednak choć filmów jest tyle, że ma się wrażenie potopu, czasem wkrada się poczucie natłoku rzeczy nazbyt do siebie podobnych. Na festiwalu w Gdyni widziałem kilka arcydzieł i kilka obrazów ważnych. Nie zgadzam się z tymi konserwatystami, którzy stając wobec polskiego kina, rzucają uogólnienia: że nic nie warte, ideologiczne. Ale też czasem przyznaję, że pewnych tematów, wątków, w nim nie znajduję.

I dlatego będąc w Gdyni, pędzę na największe wydarzenia, ale też rozglądam się na boki. W roku poprzednim mieliśmy konkurs „Inne spojrzenia", mieszczący różne dzieła mniej typowe. Czasem tak piękne, tak poetyckie, jak „Okna okna" Wojciecha Solarza. W 2019 r. dostaliśmy jedynie niekonkursową „Panoramę polskiego kina". A w jej ramach zaprzyjaźniony aktor zaprowadził mnie na „Adwokata". I było warto.

Piotr Gołębiowski nakręcił za własne pieniądze film, na który nie wpadła żadna z renomowanych wytwórni. Ten prawnik, również po szkole Wajdy, chciał się podzielić tym, co przeżył jako adwokat w renomowanych kancelariach. W debacie po filmie tłumaczył, że nie o specyfikę zawodu adwokackiego chodzi, że w innych firmach czy korporacjach zawodowych może być podobnie, choćby u lekarzy. I pewnie miał rację, choć pewne dylematy są przypisane do prawników. Ale prawda, oni nie mają monopolu na życiowe zasadzki.

Pamiętamy pretensje do filmowców, że niektórych zawodów, środowisk, realiów, sfer życia, polskie kino, inaczej niż zachodnie, nie obejmuje. Bo nie chce? Nie umie? No to Gołębiowski wyrównuje tę lukę czy dziurę. Robi to ciekawie, ze znawstwem, z pasją. Z pasją, w której pobrzmiewają echa dawnego polskiego kina. Nawet tego bardzo odległego, które nazywano 40 lat temu kinem moralnego niepokoju. Ten film rozwija się powoli. Niektórzy powiedzą: zbyt wolno jak na cierpliwość współczesnego widza. Ja oglądałem ze wzruszeniem, bo padały na samym początku ważne słowa, jak u Kieślowskiego czy Zanussiego. A potem nagle następuje mocne uderzenie. To nie jest jeden więcej branżowy obrazek (których zresztą też nie kręcono). To mroczny obraz rzeczy najstraszniejszych, które mogą się przytrafić człowiekowi próbującemu zachować przyzwoitość. Godny odpowiednik efektownego zachodniego kina „prawniczego", nawet jeśli bez jego najbardziej drastycznych efektów. Ale przecież jest zmowa milczenia, jest zbiór prawniczych przesądów i pułapek służących interesom.

Tego w polskim kinie nie było. To powstało gdzieś na uboczu. Gołębiowski sam, nie będąc zawodowym aktorem, zagrał głównego bohatera, i przy wszystkich niedoskonałościach jego kreacji, nadał historii moc moralnej szamotaniny. Zagrał pośród świetnych aktorów: Marii Pakulnis, Piotra Machalicy, Marcina Czarnika. Choć najmocniejsze są, poza nim samym, postaci kolegów z pracy. Demonicznego szefa granego przez Łukasza Mateckiego i dwuznacznego, do końca trudnego do rozszyfrowania kolegi, w którego wcielił się Sebastian Cybulski.



Dziwi mnie, że ten film nie zyskał wsparcia, choćby PISF. Jest przecież bardziej o czymś niż wiele innych filmowych obrazów. Wszystkie jego niedoskonałości wybaczam w jednej chwili. Mamy nagle Polskę jak żywą. I świat jak żywy. Będę na niego czekał w kinach, w telewizjach. Chyba że decydujemy się na życie w świecie sztucznym, nieprawdziwym. Ale to sobie otwarcie powiedzmy.

Piotr Zaremba

67/0819/F

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Postaw na sprawdzonego partnera
Wybierz PPK w PZU

- Brak opłat za zarządzanie w pierwszym roku funkcjonowania PPK
- Kompleksowa pomoc dla pracodawców i pracowników
- Profesjonalne inwestowanie powierzonych oszczędności

Sprawdź:
emerytura.pzu.pl
infolinia **22 640 06 22**
Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o PPK oferowanym przez TFI PZU SA są zawarte w „Regulaminie zarządzania pracowniczym planem kapitałowym przez PPK inPZU Specjalistyczny Fundusz Inwestycyjny Otwarty". Materiał nie stanowi oferty ani porady prawnej. TFI PZU SA podlega nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego.

eprasa.pl c98308c2a0



Wypracowania słowików

1 września 1939 r. dzieci nie poszły do szkoły. Siedem lat później spróbowały opisać czas kaźni i tajnych kompletów

Wojciech Stanisławski

„Było to w zimie, przed Bożym Narodzeniem. Jańcia poszła do szkoły, a ja siedziałem przy piecu na stołeczku i wyrównywałam różne błyszczące papierki z zeszłego roku, i przygotowywałam się na choinkę. Wtedy przyszła Jańcia z wielkim płaczem i powiedziała, że widziała, jak tatusia prowadzili żandarmi niemieccy z wielkim psem". I już, i tyle wystarczy, żeby skończyło się dzieciństwo, chociaż kto ma siłę czytać dalej relację Jadwigi Malinowskiej z II klasy szkoły powszechnej w Starościcach, znajdzie spodziewany ciąg dalszy: „Z Przemyśla wywieźli tatusia do Tarnowa, tam mamusia już często nie jeździła, bo było daleko, zresztą tatusia wywieźli niedługo do Oświęcimia. [...] Chciałam się nauczyć pisać, żeby napisać do tatusia list, ale już nic nie napisałam, bo tatusia wywieźli gdzieś z Oświęcimia i od tej pory nic nie wiemy".

Kolejna inicjatywa Instytutu Pileckiego, w której przypadku chwalić trzeba nie tyle treść (bo to trochę nie uchodzi), ile pomysł. Wypracowania dzieci piszących o swoich przeżyciach wojennych to jeden z pierwszych pomysłów, jakie mieli dorośli na cząstkowe bodaj rozładowanie traumy, na nazwanie tego, co najstraszniejsze, ale też, mówiąc zimnym językiem zawodowca historii, na „wywołanie źródeł". Ich waga dla odtworzenia tego, co najstraszniejsze, rzeczywistej hierarchii lęków i traum (co zapamiętuje się najmocniej – sześć lat głodu czy zgubioną na Ochocie małpkę? Kurz września czy pył zmielonego tynku w sierpniu? Rewizję teczki czy rewizję w domu?), jest bezsporna.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



„Moje przeżycia wojenne" (koncepcja publikacji Leszek Zaborowski, redakcja Anna Król), Instytut Pileckiego, 2019

Paradoksalnie, relacje dzieci z ziem zajętych przez Sowiety, zgromadzone przez ich opiekunów ze szkół i sierocińców powstających pod skrzydłami Armii Andersa, znamy od ponad 30 lat – za sprawą Instytutu Hoovera i Jana Tomasza Grossa, który wydobył stamtąd te zapiski i wydał jako wstrząsającą antologię „W czterdziestym nas, matko, na Sibir zesłali". Relacje dzieci spod okupacji niemieckiej (przede wszystkim – choć znalazły się wzmianki również o Sowietach), do których spisywania zachęcały kuratoria w pierwszych dwóch latach po wojnie, przeleżały kilkadziesiąt lat w Archiwum Akt Nowych. Wydane dziś są tekstem, który nie wymaga żadnego komentarza. Chwalić można dopracowany w każdym szczególe pomysł edytorski (miękka okładka i „okrągłe" liternictwo, imitujące szkolny zeszyt), to, że od początku pomyślano o wydaniu dwujęzycznym, polsko-angiel-

eprasa.pl c98308c2a0

skim. Reszta jest równie wymowna jak niedające się zapomnieć zdjęcie Tereski – dziewczynki, która przeszła przez warszawską Wolę, uwiecznionej w 1948 r., podczas rysowania domu, przez UNICEF-owskiego fotografa Davida Seymoura.

Jeśli jednak uwaga o treści książki, to najwyżej o języku, który – jak chciał klasyk – zawsze krzepnie w brokat stylu. Brokat czy może beton? Kilkadziesiąt relacji utrzymanych jest w tym samym tonie, oscylując między łzawością a patosem. To zrozumiałe: kilkuletni autorzy dopiero się uczyli, dosłownie i w przenośni, pisać, na dodatek ich próby ujęte zostały w gips „wypracowania", wedle przedwojennych jeszcze rygorów: miało być zwięźle, podniośle, bez brzydkich słów i w miarę możliwości z budującym zakończeniem. Dziecięce rysunki przedstawiające wojnę są bardziej spontaniczne, czarna i czerwona kredka opowiada koszmar bez zahamowań. Ta proza jest hieratyczna i skrępowana kanonem jak teksty z czasów, kiedy ludzkość uczyła się pisać. Starożytni poeci i kronikarze też nie pozwalali sobie na zbytni realizm i płochość, chroniąc się w cień formuł, które można było powtarzać. Ale takim językiem, wysokim i chłodnym, też opowiedzieć można pożar Troi.

Chłopcy z kołchozowego placu

Zwolnienie przed trzema tygodniami Ołeha Sencowa z pięcioletniej moskiewskiej niewoli nie tylko cieszy wszystkich, którzy solidaryzowali się z ukraińskim reżyserem i aktywistą, w 2014 r. uprowadzonym na Krymie, w kilka dni po rosyjskim najeździe, przez FSB. Rozwiązuje również ręce czytelnikom jego prozy, którzy dotąd mogli odczuwać rodzaj moralnej presji: jak można zganić cokolwiek w prozie jednego z najgłośniejszych więźniów Putina, jak można jej nie chwalić? To kłopotliwa sytuacja, która skłania, by innym okiem niż zwykle spojrzeć na autorów cenzurowanych i zakazanych dzieł: najwyraźniej wolność stwarza komfort nie tylko im samym, lecz i ich recenzentom.

Osiem opowiadań ukraińskiego awangardzisty okazuje się nadspodziewanie tradycyjne i zakorzenione w tradycji rosyjskiej/radzieckiej prozy całego ostatniego wieku: kto wsłucha się, usłyszy tu Gorkiego, ba! – Tołstoja (nie przypadkiem pierwsze i kluczowe opowiadanie nosi tytuł „Dzieciństwo"), szczyptę Gajdara, a zdecydowanie najwięcej – Anatolija Rybakowa, oczywiście nie z czasów socrealistycznych „Kierowców" i „Kordzika", udręki peerelowskich podstawówek, lecz ekspiacyjnych „Dzieci Arbatu". Co decyduje o tym podobieństwie? To, że zbiorek Sencowa to „opowiadania chłopackie": nostalgiczne, choć brutalne obrazki z przełomu pierwszej i drugiej dekady życia, kiedy młodemu człowiekowi zaczynają rosnąć kły i pazury, kiedy kształtują się jego relacje z grupą i decyduje, czy pociąga go los rabusia, czy rycerza.

Sencow dobrze opisuje tę kondycję (w pewnym sensie ponadczasową, czy będzie ona opowiedziana przez losy Mikołajka i chłopaków, czy Holdena Caulfielda, czy bohaterów Niziurskiego), tyle że bez zmiękczającej mgiełki, w którą zwykle spowici są bohaterowie „powieści dla młodzieży". „Żywoty" nie są może mrocznym traktatem o upadku w rodzaju „Władcy much", są natomiast na pewno (i w tym chyba ich największa wartość) darwinistycznym zapisem dorastania na prowincji w ostatniej dekadzie ZSRS: migdałki wycina się w miejscowym szpitalu „na żywca", przywiązując ofiarę do fotela dentystycznego, chłopak z trisomią nie ma szans – wrobią go we własnej grupie i przed wychowawczynią, wierne psy giną, a ojcowie zachlewają się na śmierć. Cziornucha czasów Breżniewa, rozjaśniona miejscami blaskiem meczu rozgrywanego na uliczce pod zachód słońca.



Ołeh Sencow, „Żywoty", przełożył Bohdan Zadura, Warsztaty Kultury, Lublin 2019

Najbardziej jednak znamienny w tej prozie – nie wiem, czy przeoczony przez wydawców Sencowa, czy uznany przez nich za atut? – jest jeszcze jeden element osobliwie anachroniczny, żywcem wzięty z Tołstoja i Amicisa: drąży morał, pobrzękujący pod koniec utworu niczym kopnięty przez nieuwagę kawałek szkła na chodniku. „Ważne jest co innego – czytamy w ostatnich wersach najmocniejszego chyba opowiadania »Szpital«. – Że od tamtej pory ani razu nie zmilczałem, kiedy ktoś próbował drugiego poniżyć, i już dokładnie wiem, że nigdy nie zmilczę też w przyszłości". Tego rodzaju deklarowanie własnej szlachetności i delektowanie się nią, nierzadkie w naszych czasach, nie jest oczywiście niczym nagannym: czyni jednak w moich oczach z Sencowa lepszego aktywistę niż prozaika.

eprasa.pl c98308c2a0

Adamski poleca





Przypowieść o ojcostwie

Kino

„Ad astra" nie jest kolejnym z rzędu klasycznym filmem s.f. Nie jest też „Grawitacją" Alfonsa Cuaróna. To kino łączące z sobą narrację kina Terrence'a Malicka, elementy „Czasu apokalipsy" Coppoli i poetykę „2001. Odysei kosmicznej" Kubricka. James Gray znów nakręcił oryginalny film, bez patrzenia na panującą modę filmową.

Przyszłość. Roy McBride (Brad Pitt) jest jednym z najsłynniejszych astronautów. To syn legendarnego Clifforda McBride'a (Tommy Lee Jones), który wiele lat wcześniej poleciał z misją szukania innych cywilizacji. Jego statek zaginął gdzieś obok Jowisza. Po 16 latach okazuje się, że informacje o śmierci bohatera Ameryki były przedwczesne. Roy wyrusza w tajną misję mającą uratować świat przed katastrofą. Ceną za to jest spotkanie ojca.

Nie jest „Ad astra" wybuchową opowieścią o apokalipsie w stylu „Armageddonu" (co zabawne – w obu na astronautę ratującego Ziemię czeka Liv Tyler). Jeżeli się spodziewacie takiego kina, to będziecie zawiedzeni. Ten film ma wielki budżet (90 mln dol.) i gwiazdy na pokładzie. Jest bardziej przypowieścią niż rozrywkowym blockbusterem. Rozmach jednak imponuje. Operator Hoyte van Hoytema („Interstellar) maluje kamerą przytłaczającą przyszłość. Statki kosmiczne przypominają bardziej te z „Obcego" niż kina s.f. z XXI w., baza na Księżycu jest zimna i industrialna, czerwień Marsa zaś w każdym kadrze niepokojąca. Gray doskonale też bawi się klasyką, choć film ten nie jest żadną żonglerką gatunkową. Scena pościgu łazików na Księżycu jest np. bezpośrednim nawiązaniem do westernów Johna Forda.

Wątek uratowania Ziemi przez astronautę jest tylko przyczynkiem do o wiele głębszej opowieści. Roy leci na krańce Układu Słonecznego, by zrozumieć, dlaczego został porzucony przez ojca. Leci tam, by przepracować własne traumy. Wchodzi do „jądra ciemności", by wyjść z niego wzmocniony albo zginąć. Wielką rolę tworzy Brad Pitt. To znakomity sezon tego aktora, który zasługuje na Oscara zarówno za „Pewnego razu w Hollywood" Tarantino, jak i „Ad astra". Jego rola jest subtelna, doskonale wyważona, zagrana na drobnych grymasach.

Relacja ojca z synem to tylko warstwa, pod którą kryją się kolejne rozważania. Czy warto porzucać najważniejszych dla siebie ludzi (żona i syn) w imię nauki i chęci dosięgnięcia nieznanego? Czy prawdziwa miłość jest możliwa, gdy występuje poczucie życia w klatce? Ten motyw wciąż u Graya powraca. Od „Małej Odessy", przez „Kochanków" aż po „Imigrantkę" – wszędzie kajdany krępują rozdartego bohatera. Roy nie chce mieć rodziny. Jego domem ma być kosmos. Jest doskonale wytrenowaną maszyną z idealnymi parametrami psychologicznymi i fizycznymi. A co z duszą?

To najbardziej poruszający mnie wątek filmu. Dzisiejsze kino s.f. unika mocnych pytań o Boga i dziedzictwo grzechu („Czy grzechy ojca przechodzą na syna?" – pyta Roy). Widzimy też astronautów modlących się o sukces misji, co uderza w pogląd, że wiara i nauka nie idą w parze. Poprzez chrześcijańską optykę można spojrzeć na synowsko-ojcowską relację i ostateczny pęd ku światłu. To moja interpretacja. Ten film pozwala na zupełnie odmienną interpretację. Nawet areligijną. To tylko świadczy o jego wielkości.

„AD ASTRA" REŻ. JAMES GRAY, DYSTR. IMPERIA CINEPIX

DVD

Kino moralnego niepokoju

Hirokazu Koreeda jest mistrzem lustrowania rodziny. „Jak ojciec i syn" czy „Nasza młodsza siostra" dowodzą, że nie są przesadą porównania japońskiego reżysera do samego Yasujirō Ozu. Nominowane w tym roku do Oscara „Złodziejaszki" to najpełniejsze dzieło Japończyka. Koreeda opowiada o trzypokoleniowej rodzinie z przedmieść Tokio. Uboga rodzina utrzymuje się m.in. z drobnych kradzieży. Mimo biedy i beznadziei przyjmuje pod swój dach bezdomną dziewczynkę. Obserwowana do tej pory z zewnątrz rodzina odkrywa przed nami swoje tajemnice. Jak zawsze u tego reżysera rodzina nie oznacza tylko więzów krwi. Jest wspólnotą, gdzie wykuwa się dopiero miłość i przywiązanie. A co, jeśli jej członkowie noszą maski? Czy na kłamstwie da się zbudować miłość? Koreeda jest mistrzem obserwacji i subtelnego wyciągania z zachowania członków rodziny ich drugiego dna. Do tego drażni moralnie. Stawia widza przed potrzebą wyboru, który nie jest moralnie jednowymiarowy. Cóż, Koreeda kręci prawdziwe kino moralnego niepokoju. Rozdzierające serce.



„ZŁODZIEJASZKI", REŻ. HIROKAZU KOREEDA, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl c98308c2a0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

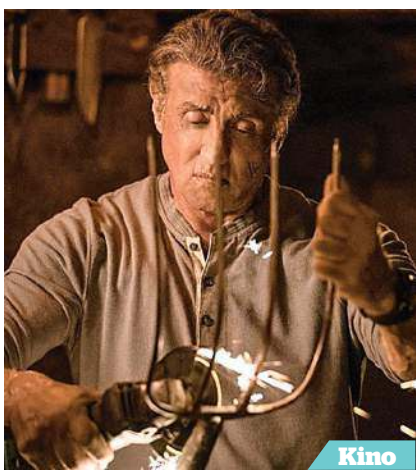
Adamski odradza

Niepotrzebny film

Miałem obawy, gdy Sylvester Stallone ogłosił, że po raz piąty zamierza się wcielić w najsłynniejszego filmowego weterana wojny wietnamskiej. Ale fenomenalny powrót Rocky'ego Balboa w „Creedzie" pozwalał wierzyć w intuicję Slya.

Po seansie „Rambo. Ostatnia krew" okazało się, że miałem rację. Gdyby Stallone chciał z klasą zakończyć mitologię tej archetypicznej już postaci, poprzestałby na „Johnie Rambo" z 2008 r. Dostaliśmy wówczas brutalną opowieść o ostatniej walce mieszkającego w azjatyckiej dżungli komandosa, zmagającego się nie tylko z birmańskimi siepaczami, lecz też z własnymi demonami. W finale tego filmu Rambo po latach tułaczki i toczonych wojnach w Wietnamie i Afganistanie wrócił do domu w Arizonie. Czy odzyskał spokój? Czy pokonał wroga w swoim sercu? Powinniśmy pozostać z tą myślą sami.

„John Rambo" wyeksploatował wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tej postaci. Nabrała ona głębszego wymiaru niż w dwóch klasykach kina akcji z lat 80. (część II i III). Syndrom stresu pourazowego, alienacja i próba odkupienia własnych win – wszystko to satysfakcjonująco Stallone uwypuklił. Nie był to film na poziomie dwóch „Creedów", ale rozwijał przynajmniej w ciekawym kierunku ikonograficzną


Kino

postać. To główny powód, dla którego nie widzę najmniejszego sensu nakręcenia części „Rambo. Ostatnia krew".

John Rambo mieszka na ranczu w Arizonie z przybraną córką Gabrielle (Yvette Monreal) i jej babcią. Matka Gabrielle nie żyje. Dziewczyna tuż po skończeniu szkoły średniej trafia na ślad swojego ojca, który zostawił rodzinę i uciekł do Meksyku. Tam wpada w ręce karteli narkotykowych handlujących kobietami. John nie chce już walczyć. Pragnie jedynie spokoju na swojej farmie, gdzie zamienił się w kowboja. Ma jednak kolejną wojnę do stoczenia.

Jest to kopia z poprzedniego filmu. Birmańską juntę wojskową zastępuje meksykański kartel, a bronionych chrześcijan przybrana córka Johna. Przemoc ekranowa jest w wydaniu wręcz gore (wyrywane z ciała kości, serca i rozpryskujące się mózgi), natomiast John nadal nie może odgonić od siebie wspomnień z Wietnamu i Afganistanu. To już było! Teraz jest w mniej dramatycznym sosie.

Zaskakuje jednak to, że tym razem nie działa zupełnie sentymentalna opowieść o zagubionym w nowych czasach twardzielu kierującym się starotestamentalną zasadą oko za oko. Jestem dzieciakiem ery VHS, więc zawsze prostolinijna mądrość bohaterów z dzieciństwa chwyta mnie za serce. Tym razem czułem wyłącznie znużenie i zażenowanie. Po trylogii zemsty Tarantino, w której dokonano miazgi z rasistów, nazistów i morderców niewinności lat 60., ręka sprawiedliwości Johna Rambo też jest wtórna.

Niemniej jednak cieszy widok masakrowanych w rytm „Five to one" Doorsów bandytów, którzy porywają i zmuszają do prostytucji młode kobiety. Od tego jest Rambo. A raczej był. Chyba że 73-letni Stallone zrobi serial o mścicielu czyszczącym Amerykę z szumowin. Tyle że od tego mamy superherosów w komiksowym kinie.

„RAMBO. OSTATNIA KREW",
REŻ. ADRIAN GRUNBERG, DYSTR. MONOLITH

Zdezelowany wóz

Kino

To imponujące, że 88-letni Janusz Majewski wciąż kręci filmy. Ten jest oparty na dodatek na jego własnej książce! I już za to dostaje twórca „Zaklętych rewirów" kciuk w górę. Niestety „Czarny mercedes" jest filmem na każdej płaszczyźnie nieudanym. Kryminalna historia tajemniczego zabójstwa z okupowaną przez Niemców Warszawą w tle nie trzyma w napięciu. Poboczne wątki wyglądają, jakby były na siłę doklejone. Nie sprawdza się to ani jako kino noir, ani jako gatunkowa sensacja. Aktorzy grają na różnych, niepasujących do siebie nutach. Andrzej Zieliński jest przerysowany jako pseudo-Humphrey Bogart, Artur Żmijewski w roli poczciwego adwokata mógłby się pojawić w propagandowych komiksach, a Bogusław Linda jest fatalnie zdubbingowany jako niemiecki gliniarz. Broni się tylko idealnie pasująca do epoki Marysia Dębska i kradnący show Andrzej Seweryn jako hrabia erotoman podglądający sąsiadki. Taki jest to kryminał, że kradnie go trzecioplanowa postać.

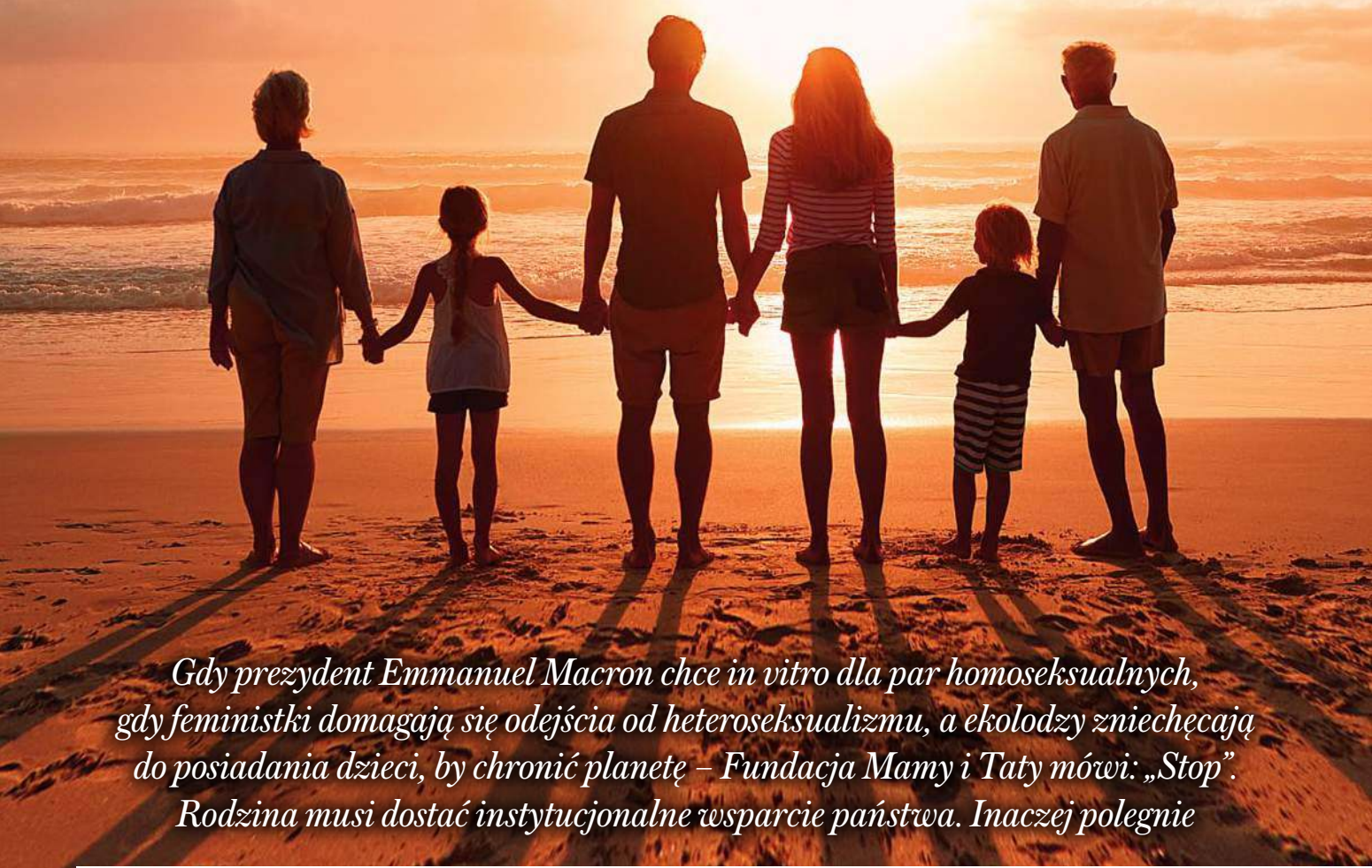


„CZARNY MERCEDES",
REŻ. JANUSZ MAJEWSKI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl c98308c2a0

Rodzina pod ochroną



Gdy prezydent Emmanuel Macron chce in vitro dla par homoseksualnych, gdy feministki domagają się odejścia od heteroseksualizmu, a ekolodzy zniechęcają do posiadania dzieci, by chronić planetę – Fundacja Mamy i Taty mówi: „Stop". Rodzina musi dostać instytucjonalne wsparcie państwa. Inaczej polegnie

Wysoka liczba rozwodów (63 tys. w 2018 r., co trzecie zawierane małżeństwo, wg GUS), wciąż dość niska dzietność (1,43) i wysoka konsumpcja pornografii przez nieletnich to tylko niektóre z przyczyn kryzysu rodziny wymienianych przez Fundację Mamy i Taty. Organizacja domaga się od państwa instytucjonalnego wzmacniania roli rodziny.



DOROTA ŁOSIEWICZ

– Frontalny atak na rodzinę jest prowadzony bardzo konsekwentnie, jest coraz bardziej radykalny. Nie ma na to zgody środowisk rodziców. Nie możemy poprzestać na biernym oporze – tłumaczy Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty.

Fundacja wskazuje kilka źródeł szalejącego kryzysu rodziny. Po pierwsze, winne są przemiany społeczne związane z szeroko rozumianą kulturą. Po drugie, transformacja motywacji osobistych z budowania więzi na motywację indywidualistyczną związaną osiąganiem sukcesu (zawodowego, finansowego). Po trzecie, zmiana ideologiczna związaną z rewolucją pokolenia '68. Po czwarte, procesy związane z industrializacją i globalizacją, większa mobilność, migracje ludności. Po piąte, osłabienie roli religii i związanej z nią klasycznej moralności. Po szóste, wysoka konsumpcja mediów i absorpcja przekazu medialnego mającego bardzo płytki i nieraz antyrodzinny charakter. I wreszcie po siódme, zbyt słabe i nieadekwatne do współczesnej rzeczywistości zabezpieczenie prawne i instytucjonalne rodziny.

– Żyjemy w dobie rewolucji kulturowej, która w świecie zachodnim już się dokonała. Polska jest teraz polem starcia. Mam na myśli rewolucję, której korzenie tkwią w postmodernizmie, w ideologii, filozofii, której założeniem jest niestałość zmienność, antycel, brak angażowania się. Widać to na wszystkich polach. Nasze dzieci bombardowane są ofertą kolorowego „świata bez zobowiązań" i to przynosi dziś skutki, np. w spadającej liczbie zawieranych małżeństw lub rosnącej liczbie rozwodów – nie ma wątpliwości Agnieszka Jackowska, doradca rodzinny.

– Proszę zauważyć, że zalewa nas morze artykułów podważających sens macierzyństwa, wątpiących w dobro, jakie daje kobiecie bycie matką. Smartfony cały czas podrzucają młodym chłopcom treści pornograficzne. W efekcie więc mamy wypaczoną tożsamość kobiety z jednej strony, a z drugiej wypaczoną wizję męskości – podkreśla Jackowska.

– Polska rodzina jest w bardzo trudnej sytuacji. Unia Europejska zamierza przeznaczyć 1,8 mld euro w ciągu kilku lat na promocję ideologii antyrodzinnych. Ta kwota jest tak znaczna m.in. dzięki staraniom byłego europosła PO Michała Boniego. Większość tych środków ma trafić właśnie do Polski. I tak kwotą ok. 8 mld zł będzie dokonywana erozja polskiej rodziny. Nie oszukujmy się, to są potężne środki – wylicza Marek Grabowski. – Jeśli nie nastąpi teraz aktywizacja obywatelska, a z drugiej strony mocna aktywizacja sił politycznych, bo partii rządzącej brakuje pójścia za ciosem, mocnego ruszenia w stronę obrony wartości, to będzie źle. Wsparcie wyłącznie finansowe polskich rodzin to zdecydowanie za mało. Socjal nie zastąpi ochrony wartości. Można być biednym i mieć szczęśliwą i trwałą rodzinę, a można być bogatym i żyć w rozsypce. Wzmacnianie rodziny to zadanie na najbliższą kadencję.

Z diagnozą zgadza się Agnieszka Jackowska. – Razem ze strategią lizbońską Polska zgodziła się na politykę gender mainstreaming. Rząd PO-PSL przyjął konwencję antyprzemocową, której istotą jest w gruncie rzeczy promowanie innych form bycia razem. Dopóki nie wypowiemy tej konwencji, jesteśmy zobowiązani jako kraj do promowania zachowań antyrodzinnych. Bez rządowego wsparcia różne gremia walczące o przyszłość tradycyjnego modelu rodziny nie poradzą sobie. Kierunek wsparcia rodziny będziemy egzekwować po wyborach – dodaje Jackowska.

– W niemieckich mediach niedawno pojawił się pomysł, by w ogóle zlikwidować rodzinę – zauważa Grabowski.

– Nihil novi sub sole. Marks i Engels już o tym pisali – dodaje Jackowska.

Według twórców ideologii gender małżeństwo kobiety i mężczyzny oraz ich dzieci przestają być uprzywilejowaną i unikatową wspólnotą, środowiskiem, w którym rodzą się i kształtują kolejne pokolenia. Jest ona reliktem mrocznej przeszłości i siedliskiem przemocy. Natomiast ideologiem, który jako jeden z pierwszych orzekł, że patriarchalna rodzina monogamiczna jest źródłem wszelkiego zła i ucisku kobiet, był Fryderyk Engels. W tekście „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa" z 1884 r. pisał, że w rodzinie monogamicznej kobieta została poniżona, uciemiężona, stała się niewolnicą namiętności mężczyzny i zwykłym narzędziem do rodzenia dzieci. Rodzina monogamiczna opiera się na zamaskowanej niewoli domowej kobiety, mąż w rodzinie jest burżua, a jego żona proletariuszką. W historii pierwszorzędnym antagonizmem jest antagonizm między mężczyzną i kobietą w monogamicznym małżeństwie, które jest „ujarzmieniem jednej płci przez drugą" i „proklamowaniem nieznanej dotychczas w dziejach pierwotnej wrogości płci". Tak więc małżeństwo nie było przymierzem mężczyzny i kobiety, złączonych oblubieńczą miłością, a relacją wrogów. Brzmi znajomo?

> Wsparcie wyłącznie finansowe polskich rodzin to zdecydowanie za mało. Socjal nie zastąpi ochrony wartości. Wzmacnianie rodziny to zadanie dla polityków na najbliższą kadencję

Przenieśmy się więc teraz do współczesnej Francji, gdzie właśnie odbył się festiwal „Wyjść z heteroseksualności". W związku z festiwalem radykalne feministki w lewicowym magazynie „Les Inrockuptibles" wygłosiły teorię, według której heteroseksualność to bardziej reżim polityczny niż orientacja seksualna. I to ona miała doprowadzić do ustanowienia rzekomych podstaw wyzysku – kapitalizmu i patriarchatu. Dlaczego „wyjść z heteroseksualności"? Dla działaczki feministycznej Juliet Drouar, która odmawia uznania się za mężczyznę lub kobietę, „heteroseksualność jest kamieniem węgielnym konstrukcji patriarchatu". Co gorsza, „jest to podstawa strukturalizacji binarności rodzaju i płci". I wreszcie, w prostej linii, jest „w ścisłym związku z konstrukcją kapitalizmu", ponieważ nie pozwala na wynagradzanie za „dzieło reprodukcji" (ciążę). Dla innej aktywistki wyjście z heteroseksualności „jest niczym innym jak przezwyciężeniem niewoli".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0

– Warto obserwować, co dzieje się z rodzinami na Zachodzie, bo po jakimś czasie wszystkie te procesy pojawiają się w Polsce. Trzeba obserwować i reagować – nie ma wątpliwości Janusz Wardak, współtwórca Akademii Familijnej w Polsce.

– Polską rodzinę trzeba chronić. Ona potrzebuje dobrego klimatu do wzrostu, który łatwo można zatruć. Nasze dzieci narażone są na wiele niebezpieczeństw, jak choćby niekontrolowany dostęp do treści pornograficznych, uzależnienie od alkoholu i narkotyków, pracoholizm, konsumpcjonizm, osłabienie relacji międzyludzkich – wylicza Marek Grabowski. – Chcemy, by ta dyskusja o rodzinie została włączona do trwającej kampanii wyborczej. To jest dobry moment, by wszystko otwarcie poruszyć – podkreśla prezes Fundacji.

Co zrobić, by uchronić Polskę przed tymi negatywnymi procesami? Jak zapewnić trwałość rodzinie i nie pozwolić na erozję systemu wartości? Odpowiedzią ma być piątka Fundacji Mamy i Taty:

1. Budowanie pozytywnej kultury małżeńskiej i rodzinnej;
2. Ograniczenie nieletnim dostępu do pornografii;
3. Wzmocnienie prawa rodziców w decydowaniu o programach wychowawczych w szkole (zmiana art. 86 Prawa oświatowego);
4. Ograniczenie finansowania przez samorządy oraz zagraniczne fundacje promocji gender;
5. Powołanie Rzecznika Praw Rodziny.

Piątka, w formie petycji ma trafić wkrótce do najważniejszych polityków w państwie, a można ją podpisać na stronie: http://mamaitata.org.pl/petycje/petycja-w-sprawie-wzmocnnienia-praw-rodzicow-i-ochrony-dzieci-i-rodzin-piatka-fundacji



Fot. Shutterstock

Tablice Pamięci – projekt poświęcony cywilnym ofiarom Warszawy

W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej PGE Energia Ciepła we współpracy z IPN oraz pod patronatem wicepremiera prof. Piotra Glińskiego realizuje projekt „Tablice pamięci".

Głównym celem projektu jest umieszczenie przy każdej tablicy Karola Tchorka w Warszawie informacji w języku angielskim i polskim oraz kodu QR o zbrodniach dokonywanych przez Niemców na ludności cywilnej Warszawy podczas II wojny światowej.

Tablic Tchorka w Warszawie jest coraz mniej. Spośród 450 upamiętnień w tej formie, umieszczonych najczęściej tam, gdzie Niemcy dokonywali zbiorowych egzekucji warszawiaków, do dziś przetrwało zaledwie 164. To pokazuje skalę zacierania się pamięci o tych tragicznych dla Warszawy wydarzeniach. Często mijamy niektóre z Tchorków, nie pamiętając, czego dotyczą, a są świadectwem pamięci o konsekwentnym planie eksterminacji mieszkańców Warszawy i zniszczenia miasta przez Niemców.

Projekt „Tablice pamięci" ma również na celu dotarcie z faktami historycznymi do zagranicznych turystów, dla których tablice Tchorka i informacje na nich są niezrozumiałe.

5 października podczas koncertu w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie premierę będzie mieć specjalnie utworzona aplikacja mobilna, dzięki której każdy znajdzie mapę tablic, zdjęcia oraz szczegółowe informacje na temat zdarzeń dotyczących każdej z lokalizacji. Przy projekcie pracowali pracownicy IPN, historycy, tłumacz, fotograf, grafik, metodycy i nauczyciele. W ramach projektu zinwentaryzowano 167 miejsc pamięci (tablic), wraz z IPN przeprowadzono kwerendę historyczną, wykonano dokumentację zdjęciową i tłumaczenie tekstów.

Tablica Karola Tchorka to płasko rzeźbiona, kuta w piaskowcu tablica, której głównym motywem jest maltański krzyż, jest dla wszystkich mieszkańców Warszawy symbolem śmierci, przede wszystkim cywilnych ofiar.

5 października 2019 r. o godz. 15.30 na terenie Muzeum Wojska Polskiego w Al. Jerozolimskich 3 wystąpią: Bartas Szymoniak, Piotr Karpienia oraz gwiazda wieczoru – zespół Luxtorpeda. Wstęp wolny.

eprasa.pl c98308c2a0



Wołodymyr Zełenski, prezydent Ukrainy

Kurt Volker, specjalny amerykański wysłannik ds. Ukrainy

Czarny sen Ukrainy

Obecna polityka Rosji ma na celu maksymalne wykorzystanie słabych punktów nowej ukraińskiej administracji. Pośrednio wspierają te dążenia projekty Berlina i Paryża, bo główni europejscy gracze zmierzają do normalizacji relacji z Moskwą, licząc na ożywienie wymiany handlowej oraz inwestycje, które pobudzą spowolnienie ich własnych gospodarek. Czy amerykańska pomoc, uwikłana w przedwyborcze rozgrywki, podtrzyma twardą politykę Kijowa wobec Kremla?



MAREK BUDZISZ

Kurt Volker, zanim jeszcze został specjalnym wysłannikiem amerykańskim ds. Ukrainy, w wywiadzie dla gruzińskiego wydania Głosu Ameryki, którego udzielił w 2015 r., pięć miesięcy po podpisaniu tzw. porozumień mińskich, powiedział, że „nie są one żadnym planem pokojowym, ale planem rozbioru narzuconym Ukrainie wspólnym wysiłkiem przez Moskwę, Paryż i Berlin".

Wiele wskazuje na to, że właśnie perspektywa tego rodzaju rozwiązań wróciła pod nazwą „formuły Steinmeiera". Amerykańskiej dyplomacji udało się co prawda powstrzymać Kijów przed podpisaniem niekorzystnych umów, ale nie ma pewności, czy presja wywierana przez Waszyngton na młodą i niedoświadczoną ekipę prezydenta Zełenskiego powstrzyma ją w dłuższej perspektywie przed ustępstwami wobec Moskwy. Tym bardziej że, jak powiedział mediom w kuluarach podczas posiedzenia Rady Najwyższej ukraiński minister spraw zagranicznych Wadym Prystajko, obecna ekipa rządząca w Kijowie zgodziła się na nią w trakcie toczących się na początku września rozmów eksperckich w Berlinie.

EUROPEJSKA PRESJA KORZYSTNA DLA MOSKWY

Tatiana Silina, komentator tygodnika „Dzerkało Tyżnia", jest zdania, że na Kremlu już jakiś czas temu sporządzono

eprasa.pl c98308c2a0

portret psychologiczny prezydenta Zełenskiego i obecna polityka Moskwy ma na celu maksymalne wykorzystanie słabych punktów nowej ukraińskiej administracji, czyli jej chęci osiągnięcia szybkich sukcesów oraz jej uzależnienia od notowań opinii publicznej. A to, w starciu z twardą i konsekwentną polityką Moskwy, może się skończyć przyjęciem rozwiązań pozornie korzystnych, a w istocie pozwalających Rosji osiągnąć na Ukrainie swe długofalowe cele strategiczne.

Takim narzędziem Kremla, dzięki któremu pięć lat po agresji na wschodzie Ukrainy dostaje on to, co chciał, jest właśnie tzw. formuła Steinmeiera. Pierwotnie rozwiązania przedstawione przez dzisiejszego prezydenta Niemiec, a wówczas ministra spraw zagranicznych, dotyczyły jednego z punktów porozumień mińskich i miały charakter niesformalizowanej propozycji. W największym skrócie rzecz ujmując, sprowadzały się one do wyrażenia zgody przez Ukrainę na specjalny prawnokonstytucyjny status tzw. zbuntowanych republik Donieckiej i Ługańskiej na wschodzie kraju. Miałby mieć on tymczasowy charakter, a po wyborach do lokalnych organów władzy, gdyby obserwatorzy przysłani przez OBWE stwierdzili ich ważność i uczciwość, stawałby się automatycznie obowiązującym prawem.

Za czasów administracji Poroszenki strona ukraińska nie chciała się zgodzić na tego rodzaju rozwiązania, argumentując, że najpierw należy zaprowadzić pokój, wycofać wojska, w tym rosyjskich najemników, umożliwić działanie na terenie separatystycznych republik ukraińskiej komisji wyborczej, partii politycznych i mediów, wreszcie zapewnić Kijowowi kontrolę nad wschodnią granicą. Bez spełnienia tych warunków, jak wielokrotnie podkreślał publicznie minister Klimkin, głosowanie być może zostanie przeprowadzone fair, ale nie znaczy to wcale, że elekcja, na którą składa się kampania wyborcza i swobodny dostęp uprawnionych do miejsc głosowania, również będą uczciwe.

Teraz, jak uważają obserwatorzy, w ukraińskiej polityce zbiegły się dwa niekorzystne trendy. Z jednej strony, jak wprost wyraziła to w wywiadzie, przebywająca niedawno w Kijowie prezydent Estonii Kersti Kaljulaid, „w Europie da się odczuć pewne zmęczenie Ukrainą", przede wszystkim będące wynikiem braku wymiernych reform za czasów Poroszenki, ale również dążeniem europejskich graczy, przede wszystkim Paryża i Berlina, do normalizacji relacji z Moskwą, ożywienia wymiany handlowej oraz inwestycji i w ten sposób pobudzenia spowalniających własnych gospodarek.

Na Ukrainie wielu analityków się obawia, że już w grudniu tego roku, kiedy ma zapaść kolejna decyzja w sprawie przedłużenia antyrosyjskich sankcji, Unia Europejska może zmienić swą dotychczasową politykę. Leonid Kuczma, były prezydent, który już po zwycięstwie Zełenskiego wrócił do tzw. grupy kontaktowej, prowadzącej negocjacje w ramach formatu mińskiego, powiedział niedawno w trakcie kijowskiego forum YES, że obecnie „Kijów musi się mierzyć ze wspólną presją wywieraną nań zarówno przez Moskwę, jak i Berlin oraz Paryż".

Drugi, wewnętrzny wymiar tego, co się dzieje w Kijowie w kwestii negocjacji z Rosją, jest w jeszcze większym stopniu niepokojący. Otóż jak relacjonują dziennikarze niezależnego tygodnika „Dzerkało Tyżnia", administracja prezydencka, która na bieżąco prowadzi badania opinii publicznej, jest „niewolnikiem" stanu nastrojów społecznych i dąży za wszelką cenę do utrzymania historycznie wysokiego, ponad 70-procentowego, wskaźnika popularności Wołodymyra Zełenskiego. I to ma być ten słaby punkt, który Moskwa chce wykorzystywać, bo oznacza to dążenie do szybkich rozwiązań i równie szybkich ich efektów. Dla polityki reform ogłoszonej przez gabinet Honczaruka tego rodzaju nastawienie jest korzystne, jednak w trudnych rozmowach z grającą na czas Moskwą taka chęć „pójścia na skróty" może oznaczać przyjęcie rozwiązań w dłuższej perspektywie niekorzystnych dla Ukrainy.

Na Ukrainie wielu analityków obawia się, że już w grudniu tego roku, kiedy ma zapaść kolejna decyzja w sprawie przedłużenia antyrosyjskich sankcji, Unia Europejska może zmienić swą dotychczasową politykę

Andriej Iłłarionow, w przeszłości doradca Putina, obecnie mieszkający w Waszyngtonie i związany z rosyjską opozycją analityk, w wywiadzie dla portalu Apostroph, powiedział, że zgoda Kijowa na wdrożenie „formuły Steinmeiera" oznacza uzyskanie przez Putina wszystkiego, czego chciał i do czego dążył przez ostatnie pięć lat. W praktyce równa się utrzymaniu kontroli Moskwy nad polityczną sytuacją na Ukrainie. O tym decyduje bowiem geografia polityczna kraju, w którym mieszkający na wschodzie z reguły głosują na formacje prorosyjskie. Formacje antyukraińskie, jak mówi Iłłarionow, w trakcie ostatnich wyborów prezydenckich zdobyły na Ukrainie wschodniej 18 proc. głosów. Ale ten wynik był efektem dobrego rezultatu formacji Zełenskiego, a nie ma przecież gwarancji, że utrzyma się on w następnych wyborach, w których siły prorosyjskie mogą zdobyć 20–22 proc. głosów. Gdyby do tego rachunku dodać głosy z Doniecka i Ługańska, to zdaniem rosyjskiego opozycjonisty Moskwa kontrolować może nawet 40 proc. mandatów w Radzie Najwyższej Ukrainy, a z pewnością 35 proc. A to, zwłaszcza w sytuacji kiedy, jak w każdej normalnej demokracji, głosy na formacje ukraińskie rozproszą się na kilka partii, oznacza jego zdaniem, że siły prorosyjskie będą zawsze języczkiem u wagi i Moskwa będzie mogła trwale wpływać na bieg spraw ukraińskich.

Obecnie Kijów znacznie zaostrzył swoje stanowisko w sprawie „formuły Steinmeiera". Minister spraw zagranicznych Wadym Prystajko w długim wywiadzie dla Europejskiej Prawdy

eprasa.pl c98308c2a0

mówi właściwie to samo, co przez lata głosiła poprzednia administracja. Ale jeszcze dwa tygodnie wcześniej ukraińska opozycja alarmowała, że obecna ekipa bez większych oporów zaaprobowała stanowisko Moskwy i gotowa jest przyjąć jej propozycje. A nawet, jej zdaniem, rozpoczęła działania, które miałyby doprowadzić do przyspieszonych wyborów w Donbasie. Chodzi w tym wypadku o wspólne głosowanie deputowanych Sługi Narodu, formacji Zełenskiego i prorosyjskiej frakcji Za Życie, Jurija Bojki i Wiktora Medwedczuka, w kwestii zmian w Centralnej Komisji Wyborczej. Deputowani z opozycyjnej dziś frakcji prezydenta Poroszenki uważali, wzywając Ukraińców do demonstracji przed siedzibą prezydenta, że jest to nie tylko dowód na zawarcie politycznego dealu między Moskwą a Kijowem, lecz również pierwszy krok zmierzający do przeprowadzenia na okupowanych terytoriach wyborów. Przy czym, ich zdaniem, nowych „reguł" nie zaakceptowałby stary skład ukraińskiej komisji wyborczej, dlatego należało podjąć kroki w celu jego wymiany. Wystąpienie prezydenta Kuczmy o wspólnej presji europejskich stolic na Ukrainę też zostało odczytane jako ostrzeżenie, że zawarcie niekorzystnego porozumienia jest bliskie.

NIEPEWNA AMERYKAŃSKA KONTRAKCJA

Sytuacja się zmieniła, kiedy do Kijowa przyleciał Kurt Volker, specjalny wysłannik amerykański na Ukrainę. Wcześniej agencje poinformowały o planowanym spotkaniu między prezydentami Trumpem i Zełenskim przy okazji sesji ONZ oraz odblokowaniem amerykańskiej pomocy wojskowej dla Kijowa, a także o bliskich finalizacji rozmowach między przebywającą na Ukrainie misją Banku Światowego a władzami kraju. Mówi się o szybkiej pomocy w wysokości 5 mld dol. i długofalowym wsparciu ukraińskich reform kwotą 15 mld dol.

Po rozmowach, jakie Volker prowadził z Zełenskim i Prystajką, odbyła się wspólna konferencja prasowa amerykańskiego wysłannika i ukraińskiego ministra spraw zagranicznych, w której trakcie obydwaj odżegnywali się od idei nadania specjalnego konstytucyjnego statusu obydwu zbuntowanym prowincjom, deklarując, że co najwyżej mogą one mieć taką autonomię, jaką cieszył się Krym do aneksji. Zmiany w konstytucji nie będzie, podobnie jak powszechnej amnestii dla separatystów. Jeśli idzie o wybory w Doniecku i Ługańsku, to mogą one się odbyć, jak oświadczył ukraiński minister, w tym samym czasie i na takich samych zasadach co planowane na przyszły rok lokalne wybory na Ukrainie. Czyli znów żadnego specjalnego statusu ani specjalnych zasad nie będzie.

Volker uzupełnił, że jego zdaniem wolne i sprawiedliwe wybory, o czym mówią porozumienia mińskie, mogą się odbyć tylko w „wolnym kraju", a to jego zdaniem oznacza uprzednie wycofanie się Rosjan i oddanie kontroli nad wspólną granicą Ukrainie. I, jak dodał, ruch leży po stronie Rosji.

Kreml nie kryje swego rozczarowania rozwojem sytuacji, zwłaszcza że, jak dowodzi Andriej Iłłarionow, był pewny podpisania przez Ukrainę korzystnego dla niego porozumienia. Gdyby było inaczej, to główny doradca Putina ds. zagranicznych Jurij Uszakow nigdy nie zdecydowałaby się mówić



Podziurawiony kulami znak drogowy Ługańsk

o sprawie publicznie, a sam Putin znów po wielu miesiącach przerwy nie powtórzyłby swej ulubionej frazy, że „Rosjanie i Ukraińcy to dwie gałęzie jednego narodu".

Kontrakcja amerykańskiego dyplomaty doprowadziła do zmiany postawy Kijowa. Jednak nie oznacza to definitywnego rozwiązania problemu. Moskwa, jak informuje media Mykoła Małomuż, były szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, skoncentrowała na granicy z Ukrainą znaczne siły wojskowe – co najmniej 80 tys. żołnierzy oraz 1,8 tys. czołgów i 2,4 tys. bojowych wozów piechoty. Nie musi to oznaczać przygotowań do agresji, ale z pewnością taka eskalacja napięcia ma wywrzeć presję na Kijów. Ukraiński wywiad informuje też, że separatyści przygotowują się do zajęcia terytoriów, z których w ramach „porozumień mińskich" mają się wycofać jednostki ukraińskie.

Często powtarzanym w Kijowie pytaniem jest to, czy na wsparcie Stanów Zjednoczonych można liczyć w dłuższej perspektywie? Ryzyko związane jest przede wszystkim z trwającą w Ameryce kampanią wyborczą, w którą – chcąc, nie chcąc – Ukraina jest wciągana. Chodzi o rewelacje amerykańskiej prasy związane z aktywnością na Ukrainie głównego rywala Trumpa, demokraty Joe Bidena, kiedy ten był specjalnym wysłannikiem prezydenta Obamy. Miał wówczas szantażować ukraińskie władze, aby te nie prowadziły zbyt energicznie dochodzeń w sprawie holdingu Burisma, w którego władzach zasiadał jego syn. Teraz nakładają się na to informacje ujawnione przez „Washington Post", że prezydent Trump w trakcie niedawnej rozmowy telefonicznej z Zełenskim miał wywierać na niego presję, aby Ukraina przyspieszyła dochodzenia związane z Bidenem. Rozmowa, zdaniem prasy, miała mieć tak skandaliczny przebieg, że pracujący w Białym Domu szyfrant obsługujący połączenie napisał specjalny raport i podał się do dymisji. Kongresmeni żądają upublicznienia tego materiału, a w tle rysuje się nawet możliwy impeachment Donalda Trumpa.

Niezależnie jednak od tego, jak rozwinie się ta afera, Ukraina może na tym ucierpieć, bo jeśli do europejskiego „znużenia" jej problemami dołączy się amerykańska ostrożność związana z aferami lat ubiegłych i obecnymi naciskami, to kto wówczas wesprze naszego sąsiada w rozmowach z Putinem?

eprasa.pl c98308c2a0

Ikona rewolucji klimatycznej



W zasadzie wszystkie lewicowe ideologie w dziejach na różne sposoby wysługiwały się dziećmi, w szczególności te totalitarne. Młodym ludziom formatowano mózgi z pomocą niekoniecznie finezyjnej propagandy, by stawały się nośnikami ideologicznych treści. Doktrynerzy ideologii klimatyzmu nie różnią się pod tym względem właściwie niczym

W Związku Sowieckim dzieci miały obowiązek uczestnictwa w pochodach pierwszomajowych, a w szkołach odbywały się akademie, na których kilkuletni pionierzy przestrzegali przed imperialistami z Zachodu. Współcześnie szkolne dzieci biorą udział w marszach w obronie klimatu, płacząc, że dorośli zniszczyli im planetę. Szafują przy tym hasłami, za którymi de facto nie idzie żadna realna treść. Niektóre z nich – jak szwedzka aktywistka, 16-letnia Greta Thunberg – mają szansę wykrzyczeć wyuczone formułki na forum międzynarodowym. Współczesna lewica stawia bowiem na wzmocnienie pozycji dzieci, nie wspomina jednak, że wraz z nim przewiduje tresowanie ich w określonych poglądach poprzez system nagród i kar, a na dodatek wbrew woli rodziców, jak się to zdarzyło chociażby w Wielkiej Brytanii.

Nie tak znowu dawno, bo zaledwie rok temu, szerokim echem odbiło się wyznanie walijskiego asystenta nauczyciela Siona Rickarda, który podczas konferencji laburzystów w Liverpoolu zdobył się na szczerość i stwierdził, że gdyby dzieci otrzymywały „właściwą edukację", w kraju „nie mielibyśmy żadnych torysów". Rzecz jasna otrzymał gromkie brawa.

Niedługo później torysi i politycy eurosceptycznej UKIP wyznali, że ich dzieciom robi się w szkołach pranie mózgów, m.in. poprzez przedstawianie lewicowców jako tych dobrych, którzy właściwie pożytkują przekazane im przez obywateli pieniądze, natomiast prawicowców – jako tych, którzy posuwają się do bliżej nieokreślonych „strasznych rzeczy". Sprawy te opisywały express.co.uk i „The Sun".

LEWICOWA CELEBRYTKA Z ZESPOŁEM ASPERGERA

Greta Thunberg jeszcze przed swoim słynnym, histerycznym wprost wystąpieniem na forum ONZ doczekała się książki opisującej jej walkę z autyzmem i innymi zaburzeniami psychicznymi: „Scener från Hjärtat", co przetłumaczyć można na język polski jako „Sceny z serca". Tam również opisane są początki zorganizowanego przez nią strajku klimatycznego, kiedy tysiące dzieci odmó-

wiło pójścia do szkoły, aby w ten sposób zaprotestować przeciwko bierności rządu w sprawach zmian klimatycznych. Sama Greta strajkuje w każdy piątek, siedząc przed budynkiem szwedzkiego parlamentu.

Książka została napisana jeszcze przed tym, jak Greta została okrzyknięta przez magazyn „Time" jedną ze stu najbardziej wpływowych osób na świecie i otrzymała liczne inne wyróżnienia, a nawet była nominowana do Pokojowej Nagrody Nobla. Nastolatka otrzymała również tytuł – już po wydaniu książki na jej temat – Kobiety Roku 2019 w Szwecji, co pozwala domniemywać, że jej kariera nie jest przypadkowa, ale jest mniej lub bardziej zręcznie sterowanym narzędziem wpływania na tych, którzy nie zgadzają się z ideologami klimatyzmu.

Dziewczynka jest obecna w mediach na całym świecie, w tym również tych najbardziej wpływowych. Jako 16-latka przemawiała w Parlamencie Europejskim.

„Czy Greta jest nowym Che Guevarą?" – pytała niemiecka dziennikarka i prezenterka Maybrit Illner podczas debaty telewizyjnej o strajkujących dzieciach. I nie było to pytanie bezpodstawne, ponieważ wyraźnie widać, że Thunberg powoli staje się ikoną nowej rewolucji, tym razem klimatycznej.

„Greta Thunberg dostrzegła w nas swoją moc, a my w zamian widzimy naszą moc w niej. Walcząc w swojej rodzinnej Szwecji o przyszłość wolną od zanieczyszczeń, zniszczenia środowiska i zmian klimatycznych, Greta inspiruje niezłomnych studentów i zawstydzonych apatycznych dorosłych" – wyrażał swój zachwyt „Time".

Zachwytu nad 16-latką nie kryli również jurorzy nagrody zwanej Alternatywnym Noblem. Szwedzkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało w środę 25 września o przyznaniu młodej aktywistce wspomnianej nagrody „za inspirowanie i wzmacnianie politycznych żądań dla natychmiastowych działań w obszarze klimatu w oparciu o dane naukowe". Oficjalna ceremonia wręczenia nagród odbędzie się 4 grudnia, a na konto Thunberg wpłynie milion koron szwedzkich.

I tu się wydaje, że nie ma przypadku. „Jestem niezmiernie wdzięczna za to, iż jestem jedną z tych, którym przyznano ten wielki honor. Ale oczywiście jakkolwiek to ja otrzymam nagrodę, to nie ja jestem zwycięzcą. Jestem częścią globalnego ruchu dzieci szkolnych, młodzieży i dorosłych w każdym wieku, którzy zdecydowali się działać w obronie naszej żyjącej planety. Dzielę tę nagrodę z nimi" – wspaniałomyślnie stwierdziła Greta Thunberg w specjalnym oświadczeniu. Otwarte pozostaje pytanie, czy to rzeczywiście ona była jego autorką, jako że opublikowane w sieci nagranie z konferencji prasowej pokazuje, że dziewczynka ma problem z odpowiedzią na najprostsze pytania, jeżeli wcześniej nikt jej do tego nie przygotuje.

> 16-letnia Greta Thunberg jeszcze przed swoim histerycznym wprost wystąpieniem na forum ONZ doczekała się książki opisującej jej walkę z autyzmem i innymi zaburzeniami psychicznymi

Warto zwrócić uwagę, że o ile współczesna lewica chętnie popycha dzieci do działalności publicznej, do której tak naprawdę jeszcze nie dorosły, o tyle zawsze dba o to, aby miały one osobę, która będzie takim dzieckiem kierować.

Sama Thunberg odpiera zarzuty, jakoby ktokolwiek stał za jej działalnością, ale trudno w to uwierzyć, tym bardziej że dziewczyna z racji problemów zdrowotnych raczej nie jest do końca samodzielna.

TOTALITARYZM NA RAZIE BEZKRWAWY

„Time" zachwycał się Gretą Thunberg, że o swoje ideały walczy w sposób pokojowy, bez użycia broni. Ale przecież w zasadzie wszystkie totalitaryzmy zaczynały się od pięknych ideałów, a kończyły rozlewem krwi. W tym miejscu warto przypomnieć, że dla radykalnej części tzw. obrońców środowiska głównym wrogiem jest właśnie człowiek jako ten, który niszczy planetę. Już w tej chwili mamy do czynienia z działaniami wymierzonymi przeciwko niemu, jak chociażby deklaracja kanadyjskich studentów, że nie będą mieli dzieci, żeby chronić Ziemię, czy promowana z przyczyn ekologicznych aborcja. Podobnych absurdów jest coraz więcej, a ochrona środowiska powoli staje się nową, na wskroś pogańską religią.

Wpisuje się to zresztą w psychologię totalitaryzmu. Hannah Arendt określała totalitaryzm jako „zorganizowaną samotność" i trudno nie przyznać jej racji, jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że obecne w liberalnych społeczeństwach ich atomizacja, niszczenie rodzin i tradycyjnych wartości prowadzą do wyobcowania się poszczególnych osób, odizolowania ich, a zarazem skazania na samotność. W tym stanie są one najbardziej podatne na totalitarne ideologie, w szczególności jeżeli za ich przyjęciem idzie akceptacja i poczucie wspólnoty. Często też idzie z tym w parze poszukiwanie autorytetów, których tak bardzo brakuje wielokrotnie zaniedbanym emocjonalnie i intelektualnie dzieciom.

Zagrożenie nowym totalitaryzmem w postaci nowego pogaństwa i systemami z nim związanymi dostrzegał św. Jan Paweł II, w szczególności w procesach globalizacyjnych. Uwrażliwiał on, że w gruncie rzeczy zmierzają one do uczynienia z człowieka jednego z elementów rynku, towaru wymiennego czy też czynnika pozbawionego znaczenia dla decydujących wyborów. Wskazywał, że człowiek może się poczuć unicestwiony przez bezosobowe mechanizmy o zasięgu światowym i utracić swoją tożsamość i godność osoby.

Z takim właśnie procesem mamy do czynienia w przypadku ideologii klimatyzmu, której ikoną stała się Greta Thunberg. Należy jedynie ubolewać nad tym, że do takich celów wykorzystano to cierpiące dziecko, które raczej nie zdaje sobie w pełni sprawy, w czym uczestniczy, pełne dobrych chęci, szukając w społeczeństwie akceptacji.

Anna Wiejak

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0



Ruiny strażnicy KOP w Kutach

80 lat temu w Kutach



JAROMIR KWIATKOWSKI

Ta niewielka miejscowość (obecnie na Ukrainie) jest miejscem symbolicznym. Tutaj 17 września 1939 r. odbyło się ostatnie posiedzenie rządu II Rzeczypospolitej, w którym uczestniczył także prezydent Ignacy Mościcki. Następnie przez most na Czeremoszu polscy przywódcy udali się na emigrację

Właśnie w Kutach 17 września 1939 r. została odprawiona ostatnia na terenie Polski msza święta w intencji ojczyzny z udziałem najwyższych władz II RP. W 80. rocznicę tamtych wydarzeń w miejscowym kościele odsłonięto pamiątkową tablicę.

Kuty w okresie międzywojennym były położone na terenie Rzeczypospolitej, w województwie stanisławowskim. Nieopodal przebiegała granica II RP z Rumunią, którą wyznaczała rzeka Czeremosz. Obecnie Kuty należą do obwodu iwanofrankiwskiego (aktualna nazwa Stanisławowa) na Ukrainie. Ta miejscowość, a właściwie osiedle typu miejskiego, liczy niewiele ponad 4 tys. mieszkańców.

Z PEWNĄ DOZĄ OPTYMIZMU

W przeddzień sowieckiej agresji na Polskę polski Sztab Główny stacjonował już w Kutach. Nic nie zapowiadało najgorszego. – Z relacji szefa sztabu gen. Wacława Stachiewicza czy jednego z oficerów sztabowych, płk. Stanisława Kopańskiego, wynika, że 16 września 1939 r. oficerowie kładli się spać z pewną dozą optymizmu – zauważa dr Dariusz Iwaneczko, dyrektor rzeszowskiego oddziału IPN.

Na czym opierali ów optymizm? 17 września działania ofensywne mieli rozpocząć Francuzi. Przynajmniej taką wiedzę miał wódz naczelny marszałek Edward Śmigły-Rydz.

– Ze szczątkowych meldunków (bo łączność nie była najlepsza), jakie spływały do naczelnego wodza, wynikało, że Niemcy się jakby zatrzymali i nie atakują już z takim impetem – podkreśla dyrektor rzeszowskiego oddziału IPN.

To dawało nadzieję na zyskanie kilku dni na sformowanie obrony w ramach koncepcji tzw. przedmościa rumuńskiego. Na czym ona polegała?

– Zakładała, że uda się powstrzymać nacierających Niemców w południowo-wschodniej części Rzeczypospolitej, na obszarze ograniczonym rzekami Stryj i Dniestr. Liczono, że uda się ściągnąć jeszcze na ten teren jakieś jednostki wojska walczące w głębi kraju, które zasilą system obronny, a także, że ofensywa niemiecka zostanie spowolniona przez warunki jesienne. Miało to dać Polsce czas niezbędny na doczekanie pomocy z Zachodu – wyjaśnia dr Piotr Chmielowiec, historyk z rzeszowskiego oddziału IPN.

Jednak ta koncepcja nie wypaliła. Dlaczego?

– Nie było sił wojskowych do obrony tego terenu, których się spodziewano. Do dyspozycji były tylko oddziały zapasowe, słabo uzbrojone, nieposiadające przede wszystkim artylerii – podkreśla Chmielowiec. Jednak największym gwoździem do trumny koncepcji „przedmościa" była agresja Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 r.

Dzień wcześniej polscy dowódcy wojskowi zapewne nie mieli świadomości, że owo wyhamowanie impetu Niemców było spowodowane tym, iż czekali już na ruch Sowietów. Optymizm w stacjonującym w Kutach sztabie, jak podkreśla Iwaneczko, był jednak tego dnia na tyle duży, że wieczorem otwarto nawet butelkę wina.

Następnego dnia sztabowcy obudzili się już w zupełnie innej rzeczywistości.

TO NIE BYŁA UCIECZKA

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. 17 września 1939 r. na plebanii greckokatolickiej w Kutach odbyło się ostatnie posiedzenie rządu RP z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego.

– Tam w ciągu kilku godzin zapadła dramatyczna decyzja o ewakuacji najwyższych władz poza teren Polski, którą podjął bezpośrednio naczelny wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz – relacjonuje Dariusz Iwaneczko. – Gen. Wacław Stachiewicz chwali go za tę decyzję. Nawet pisze w swojej relacji, że tego rodzaju decyzje strategiczne podejmowane są czasami przez kilka tygodni.

Dyrektor rzeszowskiego oddziału IPN przypomina, że oddziały Armii

Zdjęcia: archiwum Autora

eprasa.pl c98308c2a0



Odsłonięcie tablicy upamiętniającej mszę św. odprawioną w Kutach 17 września 1939 r., w której uczestniczyli m.in. prezydent RP, premier, naczelny wódz i minister spraw zagranicznych



Czerwonej znajdowały się wówczas zaledwie ok. 30 km od Kut. – Możliwość trafienia w ręce sowieckie była więc bardzo realna. Stąd decyzja o ewakuacji – podkreśla Iwaneczko.

Tego samego dnia w miejscowym kościele rzymskokatolickim pw. Najświętszego Serca Jezusa proboszcz parafii ks. Wincenty Smal odprawił w intencji ojczyzny mszę św., w której uczestniczyli m.in. prezydent Ignacy Mościcki, premier gen. Felicjan Sławoj-Składkowski, naczelny wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz i minister spraw zagranicznych Józef Beck.

W nocy z 17 na 18 września 1939 r. nieopodal Kut przez most graniczny na Czeremoszu przedstawiciele najwyższych polskich władz udali się w tłumie uchodźców do Rumunii na emigrację. Wcześniejsza odprawa odbyła się na tamtejszej strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza, której ruiny zachowały się do dziś.

Dariusz Iwaneczko wskazuje, że w retoryce, którą posługiwał się obóz gen. Władysława Sikorskiego (który przekroczył ten sam most w Kutach 18 września), a później w peerelowskiej historiografii, ten fakt jest często przedstawiany jako ucieczka najwyższych władz z kraju. Dyrektor rzeszowskiego oddziału IPN nie zgadza się z takim postawieniem sprawy. – Ewakuacja prezydenta i premiera była uzasadniona, gdyż chodziło o ciągłość władzy – tłumaczy. I dodaje: – Zamysł był jasny, zresztą gen. Stachiewicz mówi to w sposób wyraźny: nie uciekamy, lecz wychodzimy z Polski, by kontynuować walkę, tyle że już poza jej terytorium.

Podobnie uważa Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych (UKiOR). 17 września 2019 r., przemawiając podczas uroczystości w Kutach, nazwał decyzję o ewakuacji „niezwykle trudną, ale jedynie racjonalną". Stwierdził także: – Dzięki tej decyzji, dzięki przeniesieniu siedziby prezydenta Rzeczypospolitej, rządu i naczelnego wodza poza granice Polski, myśmy w 1939 r. nie skapitulowali. Nikt z przedstawicieli władz Rzeczypospolitej nie dostał się do niewoli: ani niemieckiej, ani sowieckiej. To pozwalało kontynuować walkę na terenie sojuszniczej Francji, potem Wielkiej Brytanii.

Przy okazji Kasprzyk obalił teorię, jakoby polskie władze przekroczyły granicę w Zaleszczykach, znajdujących się obecnie w obwodzie tarnopolskim na Ukrainie. – To przekłamanie wzięło się z przekazu rozpowszechnianego przez Stanisława Strońskiego, działacza Stronnictwa Narodowego, niezwykle opozycyjnie nastawionego do rządu przedwrześniowego, który opuszczał Polskę akurat przez Zaleszczyki i swoją trasę przypisał również rządowi polskiemu – powiedział Kasprzyk tygodnikowi „Sieci", dodając: – Potem zostało to powielone w propagandzie emigracyjnej w Paryżu i Wielkiej Brytanii, a po wojnie przejęte przez komunistów. Symbol szosy zaleszczyckiej, przez którą rząd ucieka, bo tak to określano, wszedł do krwiobiegu pamięci, a tak naprawdę było to kłamstwo, zarówno co do tego, że była to ucieczka, jak i tego, że było to w Zaleszczykach.

W uroczystości w Kutach – oprócz Jana Józefa Kasprzyka – uczestniczył także m.in. sędzia Bogusław Nizieński, przewodniczący Rady do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

LIST OD PREMIERA

Uroczystość została zorganizowana z inicjatywy polskiego konsulatu we Lwowie. – Konsul Rafał Kocot ma tu wielkie zasługi – podkreślił dr Jan Malicki, dyrektor Centrum Studiów Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. – Moją rolą było nadanie rangi tej ważnej rocznicy. Dlatego napisałem do prezydenta i premiera, do ministra spraw zagranicznych i ministra obrony narodowej, przypominając, że tu ich przodkowie w sensie urzędowym byli 80 lat temu, że trzeba o tym pamiętać i to uszanować. W odpowiedzi premier Mateusz Morawiecki skierował specjalny list na naszą uroczystość. Odczytał go właśnie Jan Malicki.

Szef rządu napisał m.in., że ta rocznica „każe nam ponownie pochylić się nad skutkami nieodpowiedzialnej polityki, prowadzonej w imię partykularnych interesów jednostek, w imię fałszywych ideologii, a nierzadko zwykłej chęci jakiegoś historycznego rewanżyzmu". Jego zdaniem „obecne rosyjskie próby rehabilitacji agresji z 17 września 1939 r. i przemilczanie jej długotrwałych konsekwencji są niczym innym, jak próbą fałszowania historii i obroną polityki Józefa Stalina, którego celem było doprowadzenie do wojny pomiędzy państwami zachodnimi dla zapewnienia dominacji sowieckiemu imperium".

„Opierając się na dawnych resentymentach, również i dziś Moskwa powraca do

eprasa.pl c98308c2a0

prób wpływania na porządek międzynarodowy za pomocą siły militarnej. Gwałci zasady prawa międzynarodowego, prawo samostanowienia narodów oraz poszanowania suwerenności, niepodległości i integralności terytorialnej państw" – napisał szef rządu. I dodał: „W tym miejscu, na Ukrainie, jest to szczególnie widoczne. To właśnie Ukraina padła ofiarą nielegalnej aneksji Krymu i miasta Sewastopol, a następnie agresji zbrojnej na tereny obwodów ługańskiego i donieckiego. Walki w Donbasie pochłonęły już ponad 13 tys. istnień ludzkich".

Mateusz Morawiecki zaapelował do władz Federacji Rosyjskiej o „wznowienie realnej i konstruktywnej współpracy ze społecznością międzynarodową tak, aby tragiczna historia była jedynie wspomnieniem". Zwrócił się także do „rodziny demokratycznych państw świata" o „solidarność z ofiarami tamtych zbrodni i dzisiejszej imperialnej polityki Rosji".

Z KRWI PRZELANEJ W 1939 r. ZAKWITŁA WOLNA POLSKA

Jan Józef Kasprzyk, zabierając głos podczas uroczystości, podkreślił, że tu, w Kutach, w nocy z 17 na 18 września 1939 r. „rozpoczęła się licząca blisko 50 lat wielka polska, kolejna emigracja w dziejach. Emigracja polityczna i wojskowa. Z tego miejsca rozpoczął się exodus polskiej armii, która przez Rumunię, Węgry dotarła do Francji, odtworzyła swoją zdolność bojową i walczyła na wszystkich frontach II wojny światowej".

– Tu, w Kutach, została także podjęta decyzja, że należy podjąć opór wewnętrzny. Z tych terenów marszałek Śmigły wysłał delegata do walczącej jeszcze Warszawy, aby utworzyć Polskie Państwo Podziemne – ten niezwykły fenomen w dziejach Polski, Europy i świata – stwierdził szef UKiOR.

Przypomniał także słowa Józefa Piłsudskiego: „Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo". – Wydawało się, że jesteśmy zwyciężeni. Ale nie ulegliśmy – podkreślił Kasprzyk. – Zwycięstwo przyszło 30 lat temu, kiedy upadł komunizm. I znów w polskich kościołach można było śpiewać i śpiewa się do tej pory: „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie".



Wśród uczestników uroczystości w Kutach byli m.in. (od prawej) sędzia Bogusław Nizieński, Maciej Bohosiewicz i Jan Józef Kasprzyk

– Byliśmy pierwszym krajem w Europie i na świecie, który powiedział stanowcze „nie" dwóm największym totalitaryzmom, najbardziej zbrodniczym systemom, jakimi były: narodowy socjalizm niemieckiej III Rzeszy i rosyjski komunizm – zauważył Kasprzyk. – Byliśmy pierwsi. Zapłaciliśmy ogromną cenę. Ale z tej krwi przelanej w 1939 r. i w latach następnych zakwitła wolna Polska.

LEKCJA HISTORII

17 września 2019 r. historia przemówiła do uczestników uroczystości w Kutach bardzo mocno. Stojąc przed ruinami strażnicy KOP, patrzyliśmy w kierunku, w którym udały się polskie władze na nieistniejący już dziś most graniczny na Czeremoszu. Przeszliśmy przez obecny most z napisem „Wita Was Bukowina".

Funkcję przewodnika pełnił Maciej Bohosiewicz, prawnik, przewodniczący Fundacji Ormiańskiej z siedzibą w Warszawie (Kuty nazywano kiedyś „Rzeczpospolitą ormiańską", gdyż żyła tu liczna, przybyła z Mołdawii, świetnie zorganizowana społeczność polskich Ormian).

Bohosiewicz powiedział tygodnikowi „Sieci", że przedstawiciele fundacji od 12 lat przyjeżdżają tu co roku z dziećmi z Polski i pokazują im te tereny w ramach „żywej lekcji historii". Zorganizowali także rekonstrukcję przekraczania granicy przez polski rząd i wojsko. – Każde dziecko pełniło jakąś funkcję – opowiadał Bohosiewicz. – Nie mieliśmy replik karabinów, tylko drewniane atrapy. Uczestnicy rekonstrukcji podchodzili do połowy mostu, gdzie stał pogranicznik rumuński, który informował, że wjeżdżają do Królestwa Rumunii i że muszą zdać broń. Na to dzieci, odgrywające role żołnierzy, wrzucały broń do Czeremoszu.



PS Z Kutami z tamtych dni związane jest jeszcze jedno – bolesne – wydarzenie. Tu właśnie we wrześniu 1939 r. zginął w wieku zaledwie 41 lat pisarz Tadeusz Dołęga-Mostowicz, autor m.in. „Kariery Nikodema Dyzmy", uczestnik wojny obronnej Polski. Data jego śmierci oraz jej okoliczności do dziś są przedmiotem sporów. Wśród historyków przeważa opinia, że Dołęga-Mostowicz zginął 20 września od kuli sowieckiego żołnierza. Jedna z wersji głosi, że jego ciało zostało znalezione wśród dziesiątków rozrzuconych bochenków chleba – Dołęga-Mostowicz był kwatermistrzem miejscowej jednostki wojskowej i prawdopodobnie wiózł zaopatrzenie. Na cmentarzu w Kutach odwiedziliśmy grób, w którym był pierwotnie pochowany. W 1978 r. jego szczątki zostały przeniesione na warszawskie Powązki.

eprasa.pl c98308c2a0



Nowy humanizm: ideologia XXI w.?

Jaka idea łączy dziś Franciszka, Emmanuela Macrona i Giuseppe Contego? Czym ma być nowy globalny pakt edukacyjny, do którego stworzenia wzywa papież? Co ciekawe, promując nową inicjatywę, Franciszek ani razu nie wspomniał o Bogu, Jezusie czy Kościele, mówił natomiast m.in. o „nowym humanizmie", „wspólnym domu" i „powszechnej solidarności"



GRZEGORZ GÓRNY

Wśród komentatorów politycznych na Zachodzie coraz częściej można się spotkać z pojęciem „nowego humanizmu". Zwłaszcza w ostatnich tygodniach termin ten stał się tematem wielu tekstów i analiz publicystycznych.

HORYZONT CONTEGO

29 sierpnia br. nowo zaprzysiężony premier Włoch Giuseppe Conte wygłosił na Kwirynale swoje inauguracyjne przemówienie, w którym powiedział m.in.: „Bardzo często w swych dotychczasowych wystąpieniach publicznych przywoływałem formułę »nowego humanizmu«. Nigdy nie myślałem, że to hasło rządu. Zawsze myślałem, że to idealny horyzont dla całego kraju". W tej samej mowie wspominał on również o „nienegocjowalnych wartościach", takich jak praca jako najwyższa wartość społeczna, równość w różnych wymiarach, szacunek dla instytucji, zasada sekularyzmu itd.

Choć wątek nowego humanizmu pojawił się w exposé premiera zaledwie raz, natychmiast został podchwycony i rozwinięty przez dwóch wpływowych duchownych katolickich, którzy zestawili go z ideami samego Franciszka. Na łamach „Corriere della Sera" abp Bruno Forte (sekretarz niedawnego Synodu Biskupów ds. Rodziny) napisał, że

Fot. Shutterstock (x4)

eprasa.pl c98308c2a0

nowy humanizm czerpie swe inspiracje z dwóch źródeł: chrześcijańskiego i świeckiego, które w żaden sposób sobie nie zaprzeczają, natomiast pozostają w radykalnej opozycji do logiki suwerenistycznej, opartej na prymacie własnej tożsamości i obronie swoich interesów. Dlatego – pisał dalej hierarcha – premier Conte, kierując się nowym humanizmem, powinien całkowicie zerwać z polityką antyimigracyjną reprezentowaną przez poprzedniego ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego i otworzyć włoskie porty dla nielegalnych przybyszów z krajów Trzeciego Świata.

Drugi artykuł opublikował na łamach „Avvenire" (organu prasowego episkopatu Włoch) wykładowca teologii na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim ks. prof. Giuseppe Lorizio. Napisany naukowym żargonem tekst nie zawierał tak konkretnych odniesień politycznych, lecz wskazywał na elementy łączące nowy humanizm rządu i Kościoła, np. tworzenie więzi między człowiekiem i naturą, między płciami i pokoleniami, obywatelami a instytucjami, emocjami a rozumem, narodami i religiami itd., itd.

Komentatorzy na Półwyspie Apenińskim zastanawiali się, dlaczego dwaj wpływowi włoscy duchowni z całej mowy Contego wydobyli jedynie motyw nowego humanizmu, który tak zdecydowanie wychwalali i łączyli z myślą Jorge Mario Bergoglia. Sprawa stała się jaśniejsza, gdy 12 września Franciszek wystąpił publicznie z niezwykłym przesłaniem.

PROJEKT FRANCISZKA

Tego dnia Franciszek ogłosił zamiar stworzenia globalnego paktu edukacyjnego „w celu kształtowania osób dojrzałych, zdolnych do przezwyciężenia rozdrobnienia i przeciwieństw oraz do odbudowania sieci relacji na rzecz ludzkości bardziej braterskiej". Jego zdaniem konieczne jest dziś „osiągnięcie globalnej spójności na rzecz edukacji, która potrafiłaby się stać podstawową płaszczyzną między wszystkimi komponentami osoby: między nauką a życiem; między pokoleniami; między nauczającymi a uczącymi się, rodzinami a społeczeństwem obywatelskim z jego przejawami intelektualnymi, naukowymi, artystycznymi, sportowymi, politycznymi, przedsiębiorczymi i solidarnościowymi. Przymierze między mieszkańcami Ziemi a »wspólnym domem«, któremu winniśmy troskę i poszanowanie".

Franciszek do tworzenia takiego paktu wezwał ludzi dobrej woli i zaprosił wszystkich chętnych na wielkie międzynarodowe spotkanie, które odbędzie się 14 maja 2020 r. w Watykanie. W towarzyszącym przesłaniu nagraniu wideo Franciszek powiedział: „Potrzebujemy globalnego paktu edukacyjnego, który pouczy nas o powszechnej solidarności, o nowym humanizmie".

Analizując treść tego wystąpienia, włoski watykanista Sandro Magister zwrócił uwagę, że promując nową inicjatywę, Franciszek ani razu nie wspomniał o Bogu, Jezusie czy Kościele, mówił natomiast o „nowym humanizmie", „wspólnym domu", „powszechnej solidarności", „braterstwie", „konwergencji" czy „akceptacji". Zdaniem Magistra nowatorstwo Franciszka polega na tym, że po raz pierwszy w historii papież wzywa do stworzenia radykalnie zsekularyzowanego projektu o charakterze globalnym i sam stawia się na jego czele.

Odniesienia do religii pojawiają się w wystąpieniu Franciszka jedynie w kontekście dialogu międzyreligijnego. W tym miejscu odsyła on do deklaracji podpisanej przez niego wspólnie z wielkim imamem Egiptu Ahmedem el-Tajebem w lutym w Abu Zabi. W dokumencie znalazło się m.in. następujące zdanie: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru, płci, rasy i języka są rzeczami, których Bóg chce w swojej mądrości, poprzez którą stworzył istoty ludzkie".

Wspomniane zdanie wywołało wiele kontrowersji wśród teologów, ponieważ Kościół od początku swego istnienia nauczał, że zgodne z wolą Bożą jest jedynie chrześcijaństwo, natomiast inne religie są przez Niego nie tyle chciane, ile dopuszczane ze względu na daną człowiekowi wolność wyboru. Ojcowie i doktorzy Kościoła byli zgodni, że nie da się pogodzić woli Boga z istnieniem religii odrzucających lub zwalczających Chrystusa i oddających cześć bożkom. W przeciwnym wypadku trwanie w innych wierzeniach, sprzecznych z chrześcijaństwem, byłoby afirmacją woli Bożej.

Sam Franciszek – jak przyznał na pokładzie samolotu w drodze powrotnej z Abu dabi – zdawał sobie sprawę z kontrowersji, jakie może wywołać ten zapis, ale po długim namyśle zdecydował się podjąć to ryzyko w imię wyższych racji. Główną, jak wskazują życzliwi mu komentatorzy, jest chęć budowania świata pokoju, solidarności, współpracy, braterstwa i dialogu, bez wojen, waśni, nienawiści i konfliktów.

IDEA MACRONA

Giuseppe Conte i Franciszek nie są jedynymi przywódcami, którzy odwołują się do nowego humanizmu. Bardzo często robi to Emmanuel Macron. Zaraz po swym wyborze na prezydenta w maju 2017 r. oświadczył, że Europa i świat oczekują od Francji obrony oświecenia i wolności oraz nowej nadziei i nowego humanizmu. Kilka miesięcy później w wywiadzie dla „Le Point" powiedział, że warunkiem wielkości Francji i jej celem w XXI w. jest „wymyślenie »nowego humanizmu«", który łączy się dla niego z „nowym oświeceniem". Podobnie wypowiadał się 25 września 2018 r. podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ, gdy mówił, że prawu silniejszego należy przeciwstawić „nowy współczesny humanizm".

Wątek rozumienia przez siebie humanizmu Macron w ciekawy sposób rozwinął 27 sierpnia w czasie konferencji zorganizowanej dla ambasadorów we Francji. Powiedział wówczas: „Projekt cywilizacji europejskiej nie może być realizowany ani przez katolickie Węgry, ani przez prawosławną Rosję. Przywołałem tu przykład dwóch przywódców i mówię to z wielkim szacunkiem: słuchajcie przemówień na Węgrzech i w Rosji, bo to są projekty, które różnią się między sobą, ale mają witalność kulturową i cywilizacyjną, choć ja sam osobiście uważam je za złe, lecz przynajmniej inspirujące. Musimy więc odnaleźć w tym europejskim projekcie, który moim zdaniem bardzo głęboko jest także projektem francuskim, źródło inspiracji dla naszych ludzi. To duch renesansu, to duch oświecenia. To bardzo

56/0819/F

eprasa.pl c98308c2a0

głęboki duch tego francuskiego humanizmu, którego wnosiliśmy za każdym razem, którego wynaleźliśmy i którego dziś musimy wymyślić na nowo".

MYŚL MORINA

W kontekście wypowiedzi Macrona, Contego i Franciszka publicyści najczęściej przywołują nazwisko jednego z najbardziej wpływowych współczesnych filozofów i socjologów, 98-letniego Edgara Morina. To właśnie on – jak się wskazuje – stworzył ideologiczną podbudowę pod projekt nowego humanizmu.

We Włoszech głośnym echem odbił się jego tekst opublikowany wspólnie z Mario Cerutim na łamach „Il Sole 24" pod wymownym tytułem „Uratuje nas nowy humanizm". Autorzy pisali w nim: „Nowy planetarny humanizm może się narodzić z konkretnego uniwersalizmu, stworzonego przez wspólnotę nieodwracalnego przeznaczenia, która łączy teraz wszystkie jednostki i wszystkie ludy ludzkości oraz całą ludzkość z globalnym ekosystemem, z Ziemią". W innym tekście z 2012 r. Morin pisał: „Reforma polityczna jest obecnie nieodłączna od reformy cywilizacyjnej, od reformy życia, od reformy myśli, od reformy duchowej w perspektywie nowego humanizmu planetarnego. Po raz pierwszy w historii ludzkości Ziemia, jako ojczyzna, stała się konkretną rzeczywistością".

Idee Morina cieszą się dużą popularnością, zwłaszcza w zachodnioeuropejskiej klasie politycznej. Giuseppe Conte nazywa go „subtelnym, bardzo mi drogim myślicielem", a jego dzieła „punktem odniesienia dla filozofii teoretycznej na poziomie międzynarodowym".

Sam Morin, mimo podeszłego wieku, jest bardzo aktywny. 26 czerwca w rzymskiej Villa Bonaparte wygłosił wykład, na którym obecni byli członkowie korpusu dyplomatycznego akredytowani przy Stolicy Apostolskiej, pracownicy kurii rzymskiej oraz przedstawiciele włoskiego świata akademickiego. Następnego dnia myśliciel został przyjęty na osobistej audiencji przez samego Franciszka. Edgar Morin, choć sam nazywa siebie „radykalnie niewierzącym", dostrzega wiele zbieżności między swoją myślą a ideami Jorge Mario Bergoglia, np. centralną ideę Ziemi jako wspólnego domu wszystkich ludzi, potępienie fragmentacji życia społecznego, znaczenie podróży edukacyjnej dla formowania nowego człowieka itd. Encyklikę „Laudato si" nazywa wprost opatrznościową i wskazującą na przyszłość drogę całej ludzkości.

W chrześcijaństwie Morin ceni braterstwo, zrozumienie, współczucie i miłosierdzie, ale odrzuca jego twierdzenia o prawdzie absolutnej, w których widzi źródło zła. W tym punkcie spotyka się on z tymi teologami, którzy głoszą prymat wymogów duszpasterstwa nad doktryną. Obserwujemy więc sojusz dwóch sił, które jeszcze niedawno wydawały się skazane na konflikt. Obie jako swego patrona wskazują Franciszka. Już wkrótce okaże się, co wyniknie z ich konwergencji.

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas



SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl c98308c2a0

Pełzający przewrót ustrojowy

W krajach unijnych trwa postępujący proces polityzacji sądów, który – jeśli nie zostanie zahamowany – na nowo zdefiniuje stosunki władzy w poszczególnych państwach europejskich



JAN ROKITA



Fot. Shutterstock

Sąd Najwyższy Wielkiej Brytanii 24 września stwierdził „bezprawność, nieważność i bezskuteczność" aktu królowej Elżbiety II, która za radą premiera Borisa Johnsona odroczyła prace Izby Gmin na pięć tygodni. Po tym czasie, czyli w połowie października, królowa miała rozpocząć nową sesję Izby Gmin zwyczajową „mową tronową", w której przedstawiłaby program niedawno powstałego rządu. Odroczenie było tym razem dłuższe, niż wskazywałaby na to brytyjska tradycja parlamentarna, choć w 1930 r., w epicentrum kryzysu gospodarczego, król Jerzy V odroczył prace Izby Gmin aż na dwa miesiące. Tym razem jednak Sąd Najwyższy uznał, że pięciotygodniowe odroczenie, przypadające na czas kluczowych rozstrzygnięć co do kształtu brexitu, byłoby „złamaniem rządów prawa", premier zaś, doradzając takie rozwiązanie królowej, „wprowadził monarchinię w błąd". Nawiasem mówiąc, lewicowa opozycja apelowała do Elżbiety II, by ta odrzuciła radę premiera Johnsona, królowa jednak postąpiła zgodnie ze starą brytyjską demokratyczną tradycją, wedle której monarcha nie podejmuje żadnych działań politycznych, które sprzeciwiałyby się intencjom rządu.

Oczywiście patrząc na całą rzecz w kategoriach realnej polityki, nikt nie ma wątpliwości co do politycznych celów zarówno odroczenia, jak i wyroku stwierdzającego jego bezskuteczność. Odkąd Johnson objął urząd premiera, rozpoczął ostrą grę z kontynentalną Europą, której celem było zmuszenie UE do ustępstw wobec Londynu, zwłaszcza w kluczowej kwestii tzw. backstopu. (Przypomnijmy, że chodzi o zaakceptowane przez poprzednią premier Theresę May postanowienie, iż Wielka Brytania albo nie wystąpi po brexicie z europejskiej unii celnej, albo zgodzi się na ustanowienie granicy celnej na Morzu Irlandzkim, czyli wewnątrz własnego terytorium). W tej ostrej grze brytyjski szantaż miał polegać na tym, iż w razie braku ustępstw ze strony kontynentalnej Europy Londyn 31 października br. wystąpi z Unii bez jakichkolwiek umów, co wkrótce zmusi UE (a nie Anglię) do ochrony własnej granicy celnej. Czyli do uczynienia tego, czego Dublin, a za nim cała UE boi się najbardziej: ustanowienia granicy pomiędzy niepodległą Irlandią a brytyjskim Ulsterem, z wszystkimi mogącymi z tego wynikać złymi skutkami dla odnowienia konfliktu irlandzkiego.

Izba Gmin próbowała ową ostrą grę Johnsonowi uniemożliwić, nie z tego powodu, by miała jakiś własny plan na brexit, lecz po prostu dlatego, że od dłuższego czasu pogrążyła się w politycznej anarchii na skutek niszczycielskich wewnętrznych swarów i podziałów na tle brexitu. Johnson chciał wykorzystać to, iż obecna sesja Izby Gmin trwa już przeszło dwa lata (co jest rzadkością na Wyspach), i w związku z tym doradził królowej, aby zarządziła odroczenie prac parlamentarnych, akurat w chwili decydującej dla losów brexitu. Sędziowie Sądu Najwyższego zaś taki plan premiera postanowili sparaliżować. Gdyż tak jak lewicowa opozycja uważają, że Johnson licytuje zbyt ostro, i chcieliby, aby ich kraj zachowywał jeśli nie uległość, to w każdym razie układność i polityczną ostrożność względem Berlina, Paryża

eprasa.pl c98308c2a0

i Brukseli – tak definiują bowiem brytyjski interes państwowy. Nadto nie chcieliby, aby ktoś taki jak Johnson, traktowany przez wrogów jako „mały Trump", zdobył przewagę nad parlamentem, a być może odniósł jeszcze polityczny sukces, doprowadzając do skutku swoje zamiary co do brexitu.

Wyrok sądu w znacznym stopniu zrujnował strategię Johnsona, gdyż Bruksela w finalnych z nim negocjacjach znów zyskała potężnego sojusznika: zanarchizowaną Izbę Gmin, której sprzecznych decyzji i ustaw demokratyczny rząd nie może otwarcie łamać. Trudniej zatem po wyroku, niźli przed nim, uwierzyć w negocjacyjne szanse osłabionego brytyjskiego premiera. Tym bardziej że Johnson ma śmiertelnego wroga w prezydencie Macronie, który (zgodnie z całą tradycją polityki francuskiej) chciałby nie tylko pozbyć się Anglii z UE, ale uczynić to w najbardziej upokarzający dla Anglików sposób. Miałaby to bowiem być na długo zapamiętana lekcja dla wszystkich tych, którzy w Unii wykazują krnąbrność i nie chcą akceptować niemiecko-francuskiej politycznej dominacji.

Jednak obok kwestii losów zarówno Johnsona, jak i samego brexitu wyrok brytyjskiego Sądu Najwyższego w spektakularny sposób stawia kluczowy problem władzy we współczesnych państwach europejskich. Brytyjscy torysi pytają teraz: „Kto rządzi Wielką Brytanią?". Takie pytanie postawił także po wyroku „The Times". Czy kluczowe decyzje polityczne w demokratycznych krajach naprawdę przeszły już w ręce sędziów?

Widać na pierwszy rzut oka, że w przypadku brexitu brytyjskie sądy mocują się z drugim już kolejnym rządem i jak na razie dowodzą, że mają większą od rządów polityczną siłę. Radykalni torysi uważają, że ostatni wyrok jest w istocie „konstytucyjnym puczem". Ale jeśli „pucz", to z pewnością nie pierwszy na Wyspach Brytyjskich. Już co najmniej raz, w 2017 r., zdarzyło się przecież tak, iż to londyński High Court, a za nim potem Sąd Najwyższy, zmusił premier May do zmiany taktyki, nakazując jej oddać parlamentowi ostateczną decyzję w sprawie rozpoczęcia procedury brexitowej. Choć prawdą jest, iż tamten wyrok nie miał tak „atomowego" wpływu na negocjacyjną pozycję Londynu, jak wyrok obecny, nie miał zatem aż tak kluczowego politycznego znaczenia. Ale Brytania nie jest przecież jedynym państwem europejskim, w którym zapadają tego rodzaju wyroki, zmieniające realny układ władzy.

W ub.r. zwierzchni sąd Westfalii w Münster nakazał rządowi niemieckiemu sprowadzenie z Tunezji islamisty, który swego czasu był przybocznym Osamy bin Ladena, a którego władze Nadrenii Północnej-Westfalii deportowały do jego ojczyzny w trybie administracyjnym. Taki tryb deportacji niebezpiecznego bojowca Al-Kaidy sąd uznał za „drastyczne złamanie rządów prawa", jako zaś sposób naprawy tego skandalu zawyrokował przywiezienie islamisty na powrót do Niemiec i umożliwienie mu pobierania wysokich zasiłków. Z kolei w sierpniu obecnego roku sąd administracyjny włoskiego regionu Lacjum unieważnił wydany przez rząd zakaz wpływania statków z nielegalnymi imigrantami do portów włoskich, nakazując zablokowanemu hiszpańskiemu statkowi wpłynięcie do włoskiego portu na Lampedusie i wysadzenie tam afrykańskich przybyszów. Wobec byłego już szefa MSW, który podpisał się pod owym zakazem, prokurator wytoczył proces karny z oskarżenia o „przetrzymywanie uwięzionych ludzi". I tylko immunitet, którego zdjęcia odmówiła komisja włoskiego senatu, uchronił ministra Salviniego przed sankcją karną.

Te procesy i wyroki, choć zapadłe w różnych krajach i odmiennych politycznych okolicznościach, mają jednak wyraźną cechę wspólną. W każdym z nich istotą sprawy jest to, iż wymiar sprawiedliwości odmawia uznania sposobu, w jaki demokratycznie wybrana większość rządowa definiuje interesy państwa i narodu, a w konsekwencji postanawia wziąć w swoje ręce wytyczenie „poprawnego" kierunku, w jakim winna podążać polityka państwowa. W przypadku Brytanii stawką jest spór o stosunek do kontynentalnej Europy i taktyka negocjacji z Brukselą. W Niemczech rzecz szła o sposób definiowania przez państwo podstaw bezpieczeństwa publicznego, zdaniem rządu coraz bardziej zagrożonego przez islamistów. Z kolei we Włoszech sędziowie postanowili sparaliżować kluczowy polityczny projekt ówczesnego rządu, polegający na wymuszeniu na Europie wzięcia odpowiedzialności za imigrantów afrykańskich, bezkarnie wysyłanych na Morze Śródziemne, a następnie odwożonych na wybrzeże włoskie. W każdym z tych przypadków sądy ustawiły się w roli politycznego przeciwnika władz swojego kraju, osłabiając zarazem siłę sprawczą własnego państwa, próbującego walczyć o narodowe interesy. I w każdym – rzecz szła nie o jakieś kwestie politycznie błahe czy drugorzędne, ale o sam rdzeń państwowej polityki.

Łatwo zauważyć, że celowo nie posługuję się podobnymi przypadkami polskimi, aby móc postawić tezę o paneuropejskim charakterze tego zjawiska. W krajach unijnych trwa postępujący proces politycyzacji sądów, który – jeśli nie zostanie zahamowany – za niedługi czas całkiem na nowo zdefiniuje stosunki władzy w poszczególnych państwach europejskich. Demokratycznie wybrane władze będą nadal sprawować – rzec by można – „władzę codzienną" polegającą na zarządzaniu bieżącymi sprawami politycznymi. Kiedy jednak polityka będzie osiągać swoje punkty kulminacji – tzn., że pojawią się gwałtowne konflikty, polityczne kryzysy albo (jak w Anglii) kluczowe dla przyszłości decyzje dzielące cały kraj, wtedy będzie wkraczać polityczny wymiar sprawiedliwości, który wyda werdykt, z pozoru formalny, a w praktyce decydujący o całej dalszej polityce. Nie mam wątpliwości, że taki model ustroju jest dziś nie tylko celem spolityzowanych elit prawniczych w krajach UE, ale że stoją już za nim mocne instytucje (np. Komisja Wenecka), a także spójna ideologia i wyznające ją partie polityczne. Osobiście uważam taki kierunek ewolucji ustrojowej państw europejskich za niebezpieczny.

Jednak niezależnie od poglądów na ten temat warto zdawać sobie sprawę z tego, iż to, co dziś w Europie nazywa się „obroną rządów prawa", nie jest w istocie „obroną" czegokolwiek, co istnieje, lecz pełzającym ustrojowym przewrotem, zrywającym ze znanym nam dotąd na kontynencie modelem demokratycznej władzy państwowej.

eprasa.pl c98308c2a0

Dobry czas dla kolei, dla podróżnych i kolejarzy

O zmieniającej się kolei, historycznych inwestycjach i walce z wykluczeniem komunikacyjnym Polaków z Andrzejem Bittelem, sekretarzem stanu w Ministerstwie Infrastruktury, pełnomocnikiem rządu ds. przeciwdziałania wykluczeniu komunikacyjnemu oraz kandydatem PiS na posła z okręgu podwarszawskiego, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")



Fot. Andrzej Wiktor

Panie ministrze, z koleją jest tak jak z piłką nożną i medycyną, znamy się na niej wszyscy... Mam wrażenie, że ostatnie lata pozwoliły na zmianę wizerunku kolei. Chętniej korzystamy z pociągów, a transport kolejowy wygrywa coraz częściej z samochodowym?

Andrzej Bittel: Z pewnością kolej jest najbezpieczniejszym i najbardziej efektywnym środkiem transportu z punktu widzenia pasażera. Zakładając oczywiście, że nic nadzwyczajnego się nie zdarza. Po to właśnie, żeby wyeliminować te nadzwyczajne okoliczności, szczególnie te związane z dysfunkcjami infrastruktury, by zlikwidować niebezpieczne miejsca, czyli przejazdy kolejowe, przejścia – prowadzimy największy w historii kolei program modernizacji. Składa się na niego modernizacja twardej infrastruktury liniowej – linii kolejowe, torów, peronów, trakcji. W połowie września rząd podjął decyzję o aktualizacji Krajowego Programu Kolejowego m.in. poprzez zwiększenie wartości programu z 70 mld na 76 mld zł. To umożliwi rozpoczęcie kolejnych inwestycji w infrastrukturę kolejową.

Remontowane są też dworce...

Jako program bliźniaczy, uzupełniający KPK, prowadzimy modernizację dworców. To wynik braku spójnego myślenia o kolei naszych poprzedników. Musimy uzupełnić, wyremontować i udostępnić dworce na zmodernizowanych liniach, ale równolegle remontujemy dworce na liniach, które są w trakcie modernizacji, żeby w miarę równolegle oddać pasażerom pełną, wygodną infrastrukturę.

Spójne myślenie o kolei?

Tak, mówimy, że to dobry czas dla kolei. Bo dziś to także równoległy program utrzymaniowy realizowany przez PKP PLK, którego zadaniem jest w wieloletniej perspektywie planowanie utrzymania infrastruktury, którą posiadamy, którą remontujemy i którą zamierzamy zmodernizować. Odrabiamy zaległości utrzymaniowe, które sprawiały, że podróż koleją trwała bardzo długo lub była zwyczajnie niemożliwa. Prowadzimy też stały program modernizacyjny wynikający z polityki taborowej PKP, dzięki czemu w perspektywie kilku lat na trasach dalekobieżnych powinniśmy się poruszać nowoczesnym taborem, spełniającym wszystkie wymagania pasażerów. Jesteśmy w połowie realizacji tego, wartego 7 mld zł programu, bo 4 mld są już zakontraktowane. Te pieniądze trafiają do wszystkich działających w Polsce producentów – mamy umowy z Pesą, Newagiem, współpracujemy z działającym w Siedlcach szwajcarskim Stadlerem. I mamy też FPS H. Cegielskiego, co szczególnie istotne, bo dzięki naszym zamówieniom zakład przywraca swoje zdolności produkcyjne i realizacyjne, rozwija się, szukając też nowych kontraktów, choćby w Przewozach Regionalnych „Polregio".

eprasa.pl c98308c2a0

Tak jak pan powiedział, to historyczny moment – inwestycji na taką skalę jeszcze w historii polskich kolei nie było. Linie kolejowe, tabor, dworce – wszystko po to, by...

Dzięki programowi jesteśmy w stanie zaoferować Polakom lepsze warunki podróży w krótszym czasie i z sukcesem konkurować z innymi środkami transportu. To pokazuje wzrost liczby podróżujących pociągami. W zeszłym roku podróż pociągiem wybrało 310 mln pasażerów, kiedy w 2015 r. było ich 280 mln. Wiemy, że ten rok – 2019 – będzie rekordowy, ponieważ w pierwszym półroczu przewieźliśmy już 161 mln pasażerów. A warto zwrócić uwagę na to, że prowadzone programy modernizacyjne nie ułatwiają przewoźnikom planowania rozkładów jazdy. Potrafili jednak tak ułożyć połączenia, żeby efektywnie wykorzystać linie i tabor.

Coraz chętniej podróżujemy pociągiem także na krótszych odcinkach.

To zasługa dobrej pracy Przewozów Regionalnych, wykorzystujących możliwości odbudowywanej, modernizowanej infrastruktury. Wspólny bilet ułatwia już podróżowanie. Inwestycje i modernizacja są dziś naszym priorytetem, ale trzeba pamiętać, że naszym zadaniem jest przewożenie ludzi i towarów z punktu A do punktu B w możliwie najkrótszym czasie. Polacy przekonują się także do narodowego przewoźnika kolejowego PKP IC. W 2018 r. przewiózł on 46 mln pasażerów. To 50 proc. więcej (15 mln) niż w 2015 r. (31 mln pasażerów). W porównaniu z 2015 r. zwiększyliśmy o 1/3 liczbę stacji, teraz to ponad 400 miejscowości, do których dociera InterCity. Kolej pasażerska wróciła m.in. do Lubina w województwie dolnośląskim, Radzynia Podlaskiego w województwie lubelskim i do śląskiego Knurowa. W ramach już realizowanych programów inwestycyjnych doprowadzimy do tego, by pociągi wróciły m.in. do Mielca, Polic, Chorzeli i Zegrza. Chcemy, by część dalekobieżnych pociągów zatrzymywała się w Wołominie, Miliczu, w Piszu.

Wróćmy do momentu, gdy przejmowali państwo resort, kolej i program modernizacji. Większość inwestycji była zwyczajnie rozgrzebana, choć ówczesna premier Kopacz jeździła pociągiem po całej Polsce. Okazało się po wyborach, że perspektywa unijna 2014–2020, z rozliczeniem do 2023 r. – realizowana dziś z powodzeniem przez PKP – jeszcze dwa lata przed rozpoczęciem finansowania nie miała żadnej dokumentacji, żadnych planów, a przetargi czekały na rozstrzygnięcie. Prezes PKP SA Krzysztof Mamiński zakładał się z ekspertami i dziennikarzami, że uda mu się wykorzystać przyznane fundusze. Trzeba było nadgonić stracony czas?

Na początku 2016 r. obiecaliśmy, że nadrobimy zaległości, które odziedziczyliśmy po rządach PO-PSL. Warto przypomnieć, że w ogłoszonym z wielkim hukiem programie kolejowym zorganizowano kilkanaście przetargów, notabene w formule dwuetapowej, która zakładała szybkie ogłoszenie, przygotowanie dokumentacji, a potem „zobaczymy"... Dziś przetargów dwuetapowych już nie ma – nie malujemy rzeczywistości. Ale musieliśmy w kilkanaście miesięcy uzupełnić brakującą dokumentację. Ostatni przetarg, który realizowaliśmy w ramach tamtego przedsięwzięcia, to rozstrzygnięcie umowy na GSMR, którą podpisała Nokia z konsorcjantami – dziś jest realizowana. Zakończyliśmy lub realizujemy 70 proc. inwestycji z wartości Krajowego Programu Kolejowego. W kwietniu 2016 r. to było 17 proc. To jest rzeczywista skala pracy, za którą chcę podziękować wszystkim ludziom zaangażowanym w realizację projektów. Ten przestój w latach 2014–2016, brak planowania perspektywicznego, zaniechania w przygotowaniu dokumentacji i projektów – to wpłynęło na rynek. Do połowy 2017 r. walka konkurencyjna spowodowała, że firmy składały oferty na bardzo niskim poziomie i dziś to się odbija na realizacji. Ceny wzrosły – to naturalne, ale musimy się z tym zmierzyć. Dlatego już przygotowujemy się do kolejnej perspektywy unijnej, która nie zaczyna się dla nas w 2024 r., po rozliczeniu bieżącego programu, ale w 2021 r. W 2022 r. musimy już realizować zadania z kolejnej perspektywy i będziemy gotowi, by wprowadzać wykonawców na budowy. Taki jest nasz cel. Chcemy, żeby producenci i wykonawcy wiedzieli, że co roku w ramach KPK jest do wykorzystania budżet rzędu 10–12 mld zł. To pozwala na budowanie perspektywy rozwoju. A przypomnę, że pierwszy program ogłoszony przez rząd PO-PSL zakładał wzrost wydatków z roku na rok, aż do osiągnięcia w 2020 r. kwoty ponad 18 mld zł.

Tak, ale trwała wtedy kampania wyborcza...

Programy i obietnice powinny być realne. Zabrakło wtedy dialogu z branżą, który my nawiązaliśmy, i dziś wiemy – partnerskie traktowanie się w ramach realizowanych przedsięwzięć, wsłuchiwanie się w oczekiwania i propozycje rynku daje niezwykle pozytywne efekty. Jednym z nich jest właśnie zrównoważone planowanie budżetu. To także zaliczki na materiały, dzięki czemu dziś nie mamy np. problemu z dowożeniem kruszywa. To wyrównywanie ryzyka, korygowanie umów, by ciężar realizacji spoczywał nie tylko na wykonawcy, lecz także na zamawiającym. To otwarte rozmowy z wykonawcami, waloryzacja wprowadzona do umów. Działamy tak, by maksymalnie skracać płatności za wykonaną pracę, by firmy nie traciły płynności i mogły sięgać po kolejne zadania.

Pasażerowie tego nie widzą. Widzieli natomiast zamykane linie kolejowe, likwidowane połączenia. Jest pan też pełnomocnikiem rządu ds. przeciwdziałania wykluczeniu komunikacyjnemu, którego powołanie jest elementem przywracania na mapę komunikacyjną wielu miejscowości. Jeszcze kilka lat temu poruszaliśmy się w takim zaklętym kręgu: zamykano połączenia, bo na danej trasie z kolei korzystało zbyt mało pasażerów. Pasażerów było coraz mniej, bo połączeń było niewiele. I tak aż do ostatecznego zamknięcia linii...

Transport zbiorowy trzeba zawsze traktować jako inwestycję, pamiętając jednak, że wszystkie państwa dotują komunikację, bo jest w wielu miejscach niedochodowa. Jeśli jednak transport zbiorowy to inwestycja pozwalająca

eprasa.pl c98308c2a0



mieszkańcom na dostęp do rynku pracy, kultury, urzędów... także jako element niezbędny do prowadzenia działalności gospodarczej – to rolą państwa jest przecinanie tego kręgu, o którym pan wspomina. Transport zbiorowy musi być pewny – wtedy staje się wygodny i mieszkańcy z niego korzystają, wówczas jest też opłacalny. Przeciwdziałanie wykluczeniu komunikacyjnemu to także inwestycja w rozwój gospodarczy. Temu służy Fundusz Autobusowy – blisko 1,4 tys. linii autobusowych działających od września, a liczymy na to, że po wyborach samorządowcy przekonają się do tego instrumentu. Szczególnie że w przyszłorocznym budżecie na ten cel przeznaczyliśmy 800 mln zł. Są niezwykle ważne przykłady współpracy z – jak ich nazywam – „pionierami przywracania komunikacji", jak choćby w województwie łódzkim, gdzie linie autobusowe bazują na stacjach kolejowych. Stają się siecią połączeń multimodalnych, bo do kolei dalekobieżnej powinna dowozić pasażerów kolej regionalna i właśnie transport autobusowy, a dalej powinniśmy łatwo i szybko dojechać z przewoźnikiem dalekobieżnym. Temu ma też służyć Fundusz Dróg Samorządowych.

Mamy też program Kolej+.

Tak, to projekt, który we współpracy z samorządami ma służyć odtwarzaniu i przywracaniu zamkniętych odcinków oraz modernizacji tych linii, które są w złym stanie technicznym. To też element przeciwdziałania wykluczeniu komunikacyjnemu. Tylko łączenie różnych rodzajów transportu umożliwi likwidację tzw. białych plam komunikacyjnych na mapie Polski. Przypomnę też, że przyjęta we wrześniu ustawa zakazuje likwidacji linii kolejowych. Co znamienne, obecnie słyszymy od polityków lewicy, że kolej powinna być w każdym powiecie, zapominają oni jednak o tym, że za rządów SLD zlikwidowano ponad 2,6 tys. km torów. Naprawienie tak ogromnego uszczerbku w infrastrukturze wymaga współpracy na wielu szczeblach organizacyjnych oraz odpowiednich rozwiązań prawnych.

Jest takie powiedzenie: kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej. Chcemy nawiązywać do czasów, gdy ranga Polskich Kolei Państwowych była wśród Polaków niezwykle wysoka. Kolejarze rozumieją już, że są na służbie, czują się godnie i zarabiają dobrze

Na końcu, jak pan wspomina, jest gospodarka. I mimo wszystko biznes. Nie ma pan wrażenia, że polityka poprzednich rządów – to udowadnianie, że nie opłaca się budować połączeń kolejowych, lepiej je zamykać – prowadziła do jakiegoś niejasnego celu? Nie wiem – politycznego, gospodarczego właśnie?

Systemowe „niestawianie" na kolej, niedoinwestowanie rzeczywiście było zastanawiające. Trudno zrozumieć wiele decyzji, choćby prywatyzację PKP Energetyki, kolejowej telekomunikacji, sprzedaż majątku, uzyskiwanie jednorazowych zastrzyków finansowych. To udało nam się zmienić. Efektem jest choćby zysk w ramach Grupy PKP, która zarobiła miliard złotych w ostatnich dwóch latach. Jeśli dodamy do tego największy w historii budżet inwestycyjny na kolei w wysokości ponad 100 mld zł – to możemy mówić o rozwoju i kolejnych przedsięwzięciach.

Ostatnie lata to także odbudowywanie wizerunku kolei i kolejarzy. W tej sprawie też wcześniej wydarzyło się wiele złego. Dziś pozycja kolejarzy, szacunek dla tego wyjątkowego zawodu jest odbudowywany.

Jest takie powiedzenie: kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej. Chcemy nawiązywać do czasów, gdy ranga Polskich Kolei Państwowych była wśród Polaków niezwykle wysoka. Kolejarze rozumieją już, że są na służbie, czują się godnie i zarabiają dobrze. Temu służy też dialog ze związkami zawodowymi, ze stroną społeczną. Nie ma protestów, bo wszyscy wiemy, że nie uda się nic zrobić z dnia na dzień. To pewien proces, krok po kroku, w każdej spółce kolejowej. Pracownicy mówią wprost – udało się odbudować godność kolejarzy, także w przewozach regionalnych. To zawód dla osób o wysokich kwalifikacjach, z przyszłością – związany z informatyzacją, digitalizacją. Do tego potrzebni są dobrze wynagradzani i wyszkoleni fachowcy.

Kiedy pojedziemy 200 km/h? Bo wi-fi już się pojawiło w pendolino...

Tak, udało się wreszcie dostarczyć internet do pociągów Alstomu, bo to było zaskakujące, że tak nowoczesny skład nie miał łączności bezprzewodowej dla pasażerów. A 200 km/h jeździmy po Centralnej Magistrali Kolejowej, będziemy jeździć na linii nr 9 do Gdańska. Stworzyliśmy warunki do projektowania linii kolejowych o prędkości 250 km/h – przygotowując w pół roku stosowne rozporządzenia techniczne. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to w 2023 r. z prędkością do 250 km/h będziemy mogli się poruszać po CMK, co skróci czas przejazdu z Warszawy do Katowic i Krakowa. I wreszcie będzie można wykorzystać parametry pendolino.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c98308c2a0

Między rozwojem a regresem

Październikowe wybory to także decyzja o tym, czy płaca minimalna ma wynosić 1,2 tys. zł, jak było za rządów PO-PSL, czy 2,6 tys. zł, jak będzie w roku 2020



JANUSZ SZEWCZAK

Wybory 13 października niewątpliwie będą bojem o to, co sensowne i korzystne dla polskiego budżetu i portfeli Polaków. To będzie wybór cywilizacyjny, kulturowy, ale również między szansą na rozwój i wzrost płac, czyli budowaniem państwa dobrobytu, choćby stopniowo, a powrotem do państwa „kamieni kupa", afer VAT-owskich, cystern wstydu, wykluczenia finansowego polskich rodzin, zwłaszcza tych wielodzietnych. To oczywisty wybór i spór o to, czy wpływy z podatku VAT będą na poziomie 185–200 mld zł, jak dziś i w 2020 r., czy też 100–120 mld zł, jak było za rządów PO-PSL. Również o to, czy mafie lekowe znów będą wysysały rocznie 2–3 mld zł w ramach nielegalnego wywozu medykamentów z Polski, co znacznie przyspieszyło w 2015 r. po zmianie przepisów przez rząd PO-PSL, i czy będzie mogła bezkarnie kwitnąć lichwa i kradzież kamienic w stolicy kraju. To będą wybory o to, czy będzie funkcjonować sprawiedliwość w podziale dochodu narodowego, czy znów zatriumfują złodziejstwo, bezkarność, bylejakość, które skutecznie rozzuchwalały złoczyńców, kosmopolityczne gangi i krajowe mafie, na potęgę rozkradające dochody budżetowe i wyprzedające majątek narodowy (w latach 2007–2015 na kwotę ok. 50 mld zł wraz z kolejką linową na Kasprowy Wierch).

Ten bezprecedensowy rabunek dochodów podatkowych w dziejach współczesnej Europy z VAT, CIT, hazardu, złodziejska reprywatyzacja kamienic, nie tylko w Warszawie, to astronomiczna kwota ok. 400 mld zł, czyli tyle, ile łącznie netto otrzymaliśmy przez 15 lat wszystkich dotacji i subwencji z UE. Na tyle nas, Polaków, okradziono, okłamując i łudząc jeszcze polskie społeczeństwo wizją „zielonej wyspy" Tuska i Rostowskiego – głównych aktorów komisji śledczej ds. wyłudzeń podatku VAT.

To będzie wybór między kompletnym brakiem odpowiedzialności za pełnione najwyższe funkcje publiczne i państwowe, co obserwowaliśmy zarówno przed komisją ds. Amber Gold, jak i VAT-owską, a między propozycjami podniesienia płacy minimalnej, uszczelnienia systemu podatkowego, zrównoważonym budżetem i wydatkami – inwestycjami na rzecz polskich rodzin i dzieci w kwocie ok. 80 mld zł. To my, wyborcy, będziemy decydować o tym, czy chcemy położyć tamę bezsensownemu trwonienia grosza publicznego, czy opowiadamy się za wzrostem polskiego PKB na poziomie 4–5 proc., a nawet zakupem ponad 120 ton złota przez NBP dla polskich rezerw walutowych.

Te różnice w stylu i jakości rządzenia obu formacji politycznych PO-PSL i PiS najlepiej ilustruje kondycja Orlenu. Przez osiem lat rządów PO-PSL spółka zarobiła zaledwie 2,9 mld zł, a przez cztery lata rządów PiS już blisko 22 mld zł. Jest jeszcze LOT – rodowe srebro – który premier Tusk spisał na straty, a dziś przeżywa prawdziwy renesans i boom inwestycyjny, przynosząc zyski.

Październikowe wybory to także decyzja o tym, czy płaca minimalna ma wynosić 1,2 tys. zł, jak było za rządów PO-PSL, czy 2,6 tys. zł, jak będzie w 2020 r.

To będzie wielkie pytanie do polskiego wyborcy, czy zniknie wreszcie po 30 latach ten półkolonialny system gospodarczy i finansowy czyniący z Polaków emigrantów zarobkowych lub też tanią siłę roboczą. To, co dziś dla wielu ludzi kompetentnych i przyzwoitych jest powodem do wstydu i zażenowania, jeszcze nie tak dawno było powodem do żartów i lekceważenia, jak los Polski wschodniej, cena paliwa czy dotrzymywanie obietnic wyborczych. To będzie rozstrzygnięcie na lata tej fundamentalnej kwestii, czy polskie państwo znów się stanie państwem teoretycznym, państwem biedy i wykluczenia najsłabszych, państwem ciepłej wody w kranie i prawdziwego eldorado dla tzw. tłustych kotów. Czy będzie jednak wyzwaniem dla rządzących, by budować państwo bardziej sprawiedliwe, bardziej uczciwie dzielące nasz narodowy tort, dysponujące nowoczesnym uzbrojeniem i zdywersyfikowanymi dostawami paliw i energii, podejmujące się realizacji wielkich inwestycji infrastrukturalnych, skutecznie doprowadzonych do końca, jak np. przekop Mierzei Wiślanej, CPK czy elektrownia atomowa.

To właśnie dopiero dziś na poważnie rząd PiS realizuje stare hasło wyborcze PO „Stabilna gospodarka – bezpieczne finanse". Poprzedniej ekipie niestety corocznie potrafiło zginąć z budżetu państwa 30–40 mld zł wpływów podatkowych. Za rządów PiS jest blisko 100 mld zł dodatkowych wpływów w budżecie państwa na aspiracje i ambitne plany na przyszłość. Być może to z tego powodu Jan Vincent - Rostowski mawiał z taką pewnością, że „piniendzy nie ma i nie będzie", bo przy takim rządzeniu jak wówczas szansy na pieniądze dla Polaków nie było. Bo to, co wypracowaliśmy, w znacznej mierze było skutecznie rozkradane i marnotrawione. Biblia napomina „Nawet głupi, gdy ucierpi, to mu się oczy otworzą". Wydaje się, że Polacy mają coraz szerzej otwarte oczy i skutecznie zadbają o własne interesy.

eprasa.pl c98308c2a0



Niebezpieczny rok

Rok 2020. Ropa tanieje, pieniędzy zaczyna brakować, ludziom na prowincji żyje się coraz gorzej. Antymoskiewskie nastroje sięgają zenitu, a władze centralne dokręcają śrubę. Czy Rosja przetrwa kolejny kryzys?



MAREK BUDZISZ

Zdaniem Maksyma Awerbucha, dyrektora Instytutu Prognozowania Cen Surowców, rok 2020 może się stać dla Federacji Rosyjskiej czasem próby. Dlaczego? Jesienią przyszłego roku odbędą się w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie, a to oznacza, że usunąć tak jak wcześniej cena ropy naftowej poleci na łeb na szyję, bo to, ile statystyczny Amerykanin płaci za galon paliwa na stacji benzynowej, jest ważniejszym argumentem w kampanii niż tysiące haseł i spotów wyborczych. Rosyjski analityk poparł swoje wywody wyliczeniami.

W 2008 r. cena baryłki ropy typu brent spadała przez 105 kolejnych sesji giełdowych, łącznie tracąc niemal 105 dol. (dokładnie 104,75). Cztery lata później w 2012 r. cena ropy na światowych rynkach leciała w dół już nie tak gwałtownie, bo gospodarki wielu krajów nie borykały się z recesją, ale przecena była również znacząca, bo wyniosła 37 dol. W wyborczym 2016 r. światowa cena ropy naftowej osiągnęła swoje 20-letnie minimum i baryłka kosztowała nawet 28 dol. Tendencja ta potwierdziła się znów w 2018 r., kiedy co prawda Amerykanie nie uczestniczyli w wyborach prezydenckich, ale odbywały się niezwykle ważne dla nowej administracji Donalda Trumpa wybory do Senatu i do Izby Reprezentantów. I znów cena ropy spadła z 86 do 50 dol. za baryłkę.

Trudno oczekiwać, że przyszły rok będzie pod tym względem wyjątkowy. Tym bardziej że producenci w Stanach Zjednoczonych, które już w wyniku rewolucji w zakresie wydobycia ropy szczelinowej stały się światowym liderem, nie zamierzają na tym poprzestać i zapowiadają wzrost produkcji o 4,7 mln baryłek dziennie, czyli więcej niż 1/3 obecnego poziomu.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0

NADCIĄGA RECESJA

Co to wszystko może oznaczać dla Kremla? Łatwo nie będzie, zwłaszcza dla kraju, który z eksportu węglowodorów żyje, a sprzedaż ropy naftowej i gazu ziemnego daje ponad połowę jego budżetu. Rosyjski Bank Centralny odtajnił właśnie swoją prognozę, z której wynika, że rosyjskie władze już przygotowują się na taki „czarny scenariusz". Zakłada on szokowe obniżenie cen ropy naftowej w przyszłym roku do poziomu 25 dol. za baryłkę, a nawet w pewnym momencie do 20 dol. Wszystko to może się zacząć już w pierwszym kwartale przyszłego roku.

Rosyjska gospodarka pogrąży się w recesji – PKB kraju spadnie o 1,5–2 proc., co oznacza „stratę" przyrostu ostatnich lat, inflacja znów się rozpędzi do poziomu 7–8 proc., inwestycje znacząco się zmniejszą (5,5 do 6 proc.), a Rosjanie przez kolejne lata nadal będą się borykać ze zmniejszającymi się dochodami (spadek o 1,5–2 proc.). A to, w największym skrócie rzecz ujmując, oznacza, że nastroje się nie poprawią, a wręcz przeciwnie – będziemy obserwowali ich znaczącą radykalizację.

Spadek cen eksportowanych surowców oznacza też znaczne zmniejszenie dochodów walutowych państwa (z 415 mld dol. w tym roku do 240), import zmniejszy się o 28 proc. oraz będzie miał miejsce skokowy spadek wartości rubla – do pułapu 96 za dol. (obecnie 64,2). Nietrudno obliczyć, że w takiej sytuacji rosyjski PKB wyrażony w dolarach zmniejszy się o 1/3. Bank Centralny przewiduje też zmniejszenie się poziomu rezerw, którymi dysponuje, ale w bardzo umiarkowanym stopniu – o 38 mld dol., co zdaniem ekspertów stanowi jasny komunikat wysyłany na rynek, że władze nie zamierzają bronić kursu rubla.

REAGOWAĆ TWARDO

W czasie ostatniej fazy niskich cen ropy naftowej zadłużenie rosyjskich regionów osiągnęło historyczne maksimum. Doszło do tego, że w wyniku obcięcia subwencji z centrali niektóre zadłużyły się do tego stopnia, że stanęły na progu niewypłacalności i Moskwa musiała organizować specjalne wsparcie. Powtórka takiego scenariusza, choć prawdopodobna, może być jednak groźna z innego powodu. Protesty są postrzegane przez znaczącą część rosyjskich elit władzy jako realizacja przez Waszyngton strategii eksportu „pomarańczowych rewolucji" czy choćby chwilowego osłabienia przeciwnika, tak jak to miało miejsce z demonstracjami w Hongkongu w trakcie wojny handlowej. A w związku z tym reagować trzeba twardo.

Do takich konkluzji, jak informują moskiewscy obserwatorzy, doszła ponoć w pierwszych dniach sierpnia na Kremlu najbardziej wpływowa dziś w Rosji „trójca". W czasie spotkania Putina z szefem rady bezpieczeństwa Patruszewem i kierującym FSB Bastrykinem ci ostatni mieli ponoć przekonać prezydenta Rosji, że Zachód właśnie zaczął realizować swoją strategię osłabiania Federacji Rosyjskiej i dlatego interwencje Gwardii Narodowej w czasie sierpniowych protestów w Moskwie były tak brutalne. A to, że protesty będą się w Rosji powtarzać, nie ulega wątpliwości, bo nastroje się pogarszają.

BUNT REGIONÓW

W Ułan Ude, stolicy graniczącej z Mongolią Buriacji, od wyborów 8 września, kiedy wyłaniano tam mera, trwały wiece i demonstracje. Ludzie protestowali przeciw fałszerstwom, domagając się unieważnienia wyników wyborów, w których, według oficjalnych informacji, zwyciężył protegowany miejscowego gubernatora przysłanego przez Moskwę, a przegrał konkurujący z nim senator Marchajew, jedyny przedstawiciel Buriatów w izbie wyższej rosyjskiego parlamentu. Władze rozpędziły demonstracje, Rosgwardia wkroczyła do akcji, likwidując i aresztując liderów protestu. Jednak sytuacja wcale się nie uspokaja, bo – jak napisała Aleksandra Garmażapowa, jedna z buriackich dziennikarek pracujących w Moskwie – kiedy w 2017 r. przyjechała po latach z wizytą do Ułan Ude, uderzyła ją „potworna bieda, można rzec bezdenna".

Jej zdaniem ludziom odebrano też resztki wolności i niezależności, pozbawiono ich nadziei. Teraz lokalne media tylko chwalą władzę, a ci, którzy choćby w najmniejszym stopniu chcą się temu przeciwstawić, spotykają się ze zorganizowaną akcją zniesławiającą. Tak jak senator Marchajew, przecież nie opozycjonista, o którym kolportowano plotki, że ma nielegalne kasyno, handluje narkotykami i terroryzuje rodzinę.

„Ludzie nie mają ani pieniędzy, ani perspektyw. Jedyne, co im zostało, to duma narodowa" – konkluduje Garmażapowa – bo lokalne władze coraz bardziej rozzuchwalone w swym poczuciu siły i bezkarności z coraz większym lekceważeniem odnoszą się do tradycji i wiary Buriatów, z których większość to buddyści. Innymi słowy, na tle ogólnej biedy i zniechęcenia oraz panoszenia się wysłanników Moskwy odżywać zaczynają stare, zdawałoby się już niebudzące emocji spory na tle narodowym.

W Iżewsku, 3,5 tys. km na zachód od stolicy Buriacji, Albert Razin stanął na schodach lokalnego parlamentu Udmurcji z hasłem „Jeśli jutro mój język zaniknie, to ja jestem gotów umrzeć dzisiaj". Protestował w ten sposób przeciw przyjętej w lipcu przez rosyjski parlament nowelizacji ustawy, w myśl której języki rdzennych narodów Federacji Rosyjskiej przestają być obowiązkowo nauczane w szkołach, a stają się przedmiotami fakultatywnymi. Razin, doktor filozofii, folklorysta i aktywista udmurckiego ruchu narodowego, w pewnej chwili oblał się łatwopalną cieczą i podpalił. Zmarł.

Opór napotykają też próby narzucenia przez Moskwę interpretacji historii w duchu wielkorosyjskim. Prezydent autonomicznego Tatarstanu Rustam Minnichanow, a później również cały lokalny parlament, zdecydowanie sprzeciwił się kilka tygodni temu inicjatywie uroczystych obchodów 11 listopada, kiedy w 1480 r. wojska Iwana III pokonały oddziały chana Wielkiej Ordy Achmeta, co uznaje się za koniec podporządkowania Moskwy Tatarom. Wcześniej władze w Kazaniu protestowały przeciw nowelizacji ustawy o nauczaniu języków rdzennej ludności.

Pod koniec maja w Nalczyku, stolicy Kabardyno-Bałkarii, liczącym 230 tys. ludzi mieście, odbyła się demonstracja, w której uczestniczyło 20 tys. osób. Jej celem było upamiętnienie holokaustu Czerkiesów. Tym mianem potomkowie górali kaukaskich nazywają to, co wydarzyło się w tym rejonie w latach 1864–1865. Rosyjskie wojska spaliły wówczas większość tamtejszych wsi, zniszczyły zbiory, a samych walczących z rosyjską ekspansją

eprasa.pl c98308c2a0



Fot. Shutterstock

wypędziły wraz z rodzinami na brzeg Morza Czarnego, skąd mieli zostać zabrani przez tureckie statki. Tylko że pogoda uniemożliwiała rejsy, Turcy nie byli do przyjęcia setek tysięcy uchodźców przygotowani, a ci marli z głodu i w wyniku epidemii chorób zakaźnych dziesiątkami tysięcy (doniesienia brytyjskich konsulów z Trebzonu mówią nawet o setkach tysięcy ofiar).

Wyjście na ulice 20 tys. osób w marszu upamiętniającym ofiary polityki władz Imperium Rosyjskiego lepiej niż dziesiątki deklaracji i zapewnień pokazuje, jaka jest rzeczywista temperatura odczuć na Kaukazie wobec tego, co jest Rosją i z Rosją jest związane. Przy okazji warto zauważyć, że kolejne pokolenie liderów mniejszości czerkieskiej domaga się dziś połączenia w jeden organizm polityczny rozczłonkowanych autonomii kaukaskich oraz złożyło propozycję, aby Rosja przyjęła ich pobratymców z Syrii.

W Inguszetii od początku roku trwały protesty w związku z próbami uregulowania granicy między tą republiką a sąsiednią Czeczenią. Doszło nawet do tego, że część oddziałów lokalnej policji odmówiła interwencji, co spowodowało wysunięcie oskarżeń wobec 13 jej przedstawicieli. W sąsiednim Dagestanie wysłannicy Moskwy od roku zaprowadzają porządek. W więzieniach znaleźli się już niemal wszyscy przedstawiciele lokalnej elity rządzącej tą republiką do momentu, kiedy Kreml zdecydował się interweniować, wysyłając z misją generała policji Władimira Wasiliewa.

Największą zagadką jest to, co się dzieje w Czeczenii, rządzonej żelazną ręką przez namaszczonego przez Kreml Ramsana Kadyrowa, oficjalnie ultralojalnego i wojowniczo proputinowskiego. Ale – jak zauważają obserwatorzy – Czeczenia jest dziś de facto niezależnym państwem z odrębnym od rosyjskiego systemem prawnym, dysponującym nawet swymi przedstawicielstwami dyplomatycznymi zamaskowanymi pod nazwą „centrów kultury". Jedyne, co dziś łączy Grozny z Moskwą, to olbrzymie subwencje, które Czeczenia otrzymuje z centrali, będąc dziś zdecydowanym liderem wśród wszystkich dofinansowywanych podmiotów Federacji Rosyjskiej. Pytanie tylko, czy deklarowana po wielokroć lojalność czeczeńskich elit wobec Moskwy wytrzyma próbę czasu, kiedy środków zacznie brakować, a kranik z subwencjami trzeba będzie przykręcić.

A Syberia? Tam też następuje znamienna ewolucja nastrojów. Aleksiej Kangurow, mieszkający w Tiumeniu bloger, najpopularniejszy wśród uralskiej społeczności, zamieścił właśnie długi artykuł pod znamiennym tytułem „Niepodległa Syberia – już wkrótce" na największej platformie blogowej Rosji Livejournal. To, co w tym artykule warte odnotowania, to poziom niechęci mieszkańców Syberii wobec Rosji, a raczej Moskwy. Jak pisze wprost Kangurow, Moskale, bo takim terminem się posługuje, prowadzą wobec Syberii, którą dziś zamieszkuje 28 mln ludzi, politykę typowo kolonialną. Centrum zawłaszcza 90 proc. dochodów z eksploatacji bogactw naturalnych, pozostawiając na miejscu marne grosze. W zamian eksportuje swoje śmieci, skorumpowanych urzędników, zatruwa wodę, glebę i powietrze. Olbrzymi region pozostawiony jest samemu sobie – żadne problemy nie są rozwiązywane, ekologiczna degradacja Syberii jest niewyobrażalna i postępuje w przyspieszonym tempie.

Rok 2020. Ropa tanieje, pieniędzy zaczyna brakować, ludziom na rosyjskiej prowincji żyje się coraz gorzej. A władze, mając świadomość ryzyka, decydują się pokazać swoją siłę. Ludzie w mundurach mają coraz więcej do powiedzenia, opozycja jest zwalczana i zapełnia więzienia. Nie ma chleba, nie ma igrzysk. Czym to wszystko może się skończyć?



Fot. Shutterstock

64/0919/F

TAURON

W serwisie obsługowym Mój TAURON masz wszystko!

Mój TAURON to:

- faktury, terminy i umowy w jednym miejscu
- płatności na raz – jednym przyciskiem
- dodatkowe bonusy

Bo ułatwiamy, by było szybciej i wygodniej.



mojtauron.pl

eprasa.pl c98308c2a0



Wielkie wsparcie dla biznesu

Coraz więcej Polaków chce zakładać własne firmy. Przedsiębiorczość jest obecnie nie tylko modna, lecz i opłacalna. Jednak nawet jeśli pomysł na biznes jest dobry, nie każdy ma kapitał, by założyć własne przedsiębiorstwo. Na szczęście są możliwości finansowania – dostępne i skutecznie wspierające młodych ambitnych biznesmenów

Założenie własnej działalności gospodarczej niejednokrotnie wiąże się z kosztami i trudnościami natury administracyjnej czy logistycznej. Działalność gospodarcza, tworzenie miejsc pracy, szkolenia i doradztwo to wszystko przedsięwzięcia, które teraz można sfinansować dzięki nowym możliwościom i programom. Jednym z nich jest „Pierwszy biznes – wsparcie w starcie". Tylko w tym roku na rzecz wsparcia nowych firm udostępnione zostanie w ramach programu 110 mln zł – program „Pierwszy biznes – wsparcie w starcie". Jest on finansowany ze środków Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, a zarządza nimi Bank Gospodarstwa Krajowego.

BGK WSPIERA NOWE BIZNESY

Bank Gospodarstwa Krajowego – państwowy bank rozwoju – jest jedyną tego typu instytucją w Polsce. Bank aktywnie wspiera wszelki rozwój społeczno-gospodarczy kraju, realizując zaś strategiczne projekty rozwojowe, finansuje chociażby największe inwestycje infrastrukturalne, zwiększa Polakom dostęp do mieszkań oraz pobudza przedsiębiorczość polskich firm w kraju i za granicą.

I to właśnie te kompetencje BGK doskonale widać w programie „Pierwszy biznes – wsparcie w starcie". O nisko oprocentowane pożyczki na założenie własnej działalności gospodarczej ubiegać się mogą studenci, absolwenci szkół i uczelni wyższych, zarejestrowani bezrobotni, osoby wracające z zagranicy czy opiekujące się osobami niepełnosprawnymi.

Co ważne, z programu mogą korzystać też żłobki (bardzo istotny aspekt przy obecnym w ostatnich latach wzroście dzietności w naszym kraju) i kluby dziecięce, a także podmioty świadczące usługi rehabilitacyjne dla dzieci niepełnosprawnych. Nisko oprocentowana pożyczka z programu „Pierwszy biznes – wsparcie w starcie" pozwoli na stworzenie i wyposażenie własnego miejsca pracy, a pożyczkobiorcy mogą skorzystać z bezpłatnych szkoleń oraz doradztwa z przedsiębiorczości.

Magdalena Typa, dyrektor Departamentu Programów Europejskich

Fot. Shutterstock | 24/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

BGK, nie ma wątpliwości, iż program będzie pomocny dla osób wychowujących dzieci i pragnących założyć własny wymarzony biznes.

– Na utworzenie własnej działalności gospodarczej oferujemy pożyczki do wysokości blisko 99 tys. zł z okresem spłaty 7 lat i preferencyjnym oprocentowaniem w wysokości 0,18 albo 0,44 proc. Przy czym to niższe oprocentowanie jest dostępne dla podmiotów, które świadczą usługi związane z rehabilitacją czy opieką nad małymi dziećmi w postaci żłobków lub klubów dziecięcych. Pani dyrektor podaje też konkretne kwoty: – Przedsiębiorstwa, które chciałyby zatrudnić osobę bezrobotną, mogą skorzystać z pożyczki do kwoty 29 tys. zł z okresem spłaty do 3 lat. To, co wyróżnia te dwie formy finansowania, to brak wkładu własnego i możliwość uzyskania finansowania do 100 proc. kosztów kwalifikujących się do objęcia tym finansowaniem – wyjaśnia dyrektor Departamentu Programów Europejskich BGK.

Program notuje już pierwsze sukcesy – jak dotąd ponad 4,2 tys. nowych przedsiębiorców skorzystało z kwoty blisko 280 mln zł. Także osoby bezrobotne, absolwenci i opiekunowie osób niepełnosprawnych skorzystali już z dobrodziejstw programu – nowe stanowisko pracy dla takich osób utworzyło już 112 przedsiębiorstw, do których trafiło łącznie 2,7 mln zł. Jest to więc konkretna pomoc, która pozytywnie wpływa na rynek pracy i aktywizację osób, które do tej pory miały utrudniony dostęp do zatrudnienia.

Program jest więc sprawdzoną inicjatywą, co podkreśla Stanisław Szwed, sekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

– Program „Pierwszy biznes – wsparcie w starcie" sprawdza się bardzo dobrze i dlatego go kontynuujemy. Pomaga on osobom, które pozostają bez pracy. Jest skierowany do grup, które tego wsparcia najbardziej potrzebują, czyli m.in. młodych, osób powracających do kraju czy opiekunów osób niepełnosprawnych, które nie pracują – wylicza minister.

Co ważne, BGK rozumie też, iż zdarzyć się mogą trudne sytuacje, w efekcie czego pozwala na indywidualne rozstrzygnięcie kwestii zadłużenia.

– W sytuacjach kryzysowych istnieje też możliwość umorzenia pożyczki, ale w tym celu powinny zostać spełnione określone warunki – wskazuje minister Szwed.

WIELU JUŻ KORZYSTA

Które pożyczki cieszą się największym zainteresowaniem? Przedstawiciel MRPiPS wskazuje, iż rekordową popularnością cieszą się pożyczki dla osób chcących stworzyć dodatkowe miejsca pracy i założyć własną działalność gospodarczą. Już teraz wiemy, że program przyczynił się do utworzenia ponad 4 tys. mikrofirm – wyraźnie widać więc, jak wielu Polaków chce być swoim własnym szefem i sprawdzić się w niełatwym, ale satysfakcjonującym świecie biznesu.

Magdalena Typa (BGK) wskazuje z kolei na spore kwoty, które do tej pory przeznaczono na program.

– Na cały program przeznaczono ponad 500 mln zł. Z tej kwoty do zagospodarowania w tym roku jest 110 mln zł i znakomita większość została już udostępniona naszym partnerom, czyli podmiotom, z którymi współpracujemy i które oferują pożyczki na preferencyjnych warunkach – wylicza pani dyrektor.

Jak potencjalni, ambitni przyszli przedsiębiorcy mogą się ubiegać o wsparcie z programu? Przede wszystkim muszą się zwrócić do instytucji współpracujących z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, które pośredniczą w udzielaniu pożyczek. Do tych należą Lubelska Fundacja Rozwoju, Fundacja Agencja Rozwoju Regionalnego w Starachowicach, Fundusz Regionu Wałbrzyskiego, a także Fundacja Rozwoju Śląska.

Bank Gospodarstwa Krajowego prowadzi obecnie postępowanie przetargowe na wybór kolejnych pośredników, co oznacza, iż w ciągu kolejnych dwóch lub trzech miesięcy katalog instytucji oferujących wsparcie na preferencyjnych warunkach mocno się powiększy. Więcej informacji o programie można uzyskać na stronie internetowej: http://wsparciewstarcie.bgk.pl/. To właśnie stamtąd można też pobrać dokumenty niezbędne do uzyskania pożyczki, a także znaleźć odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania.

„Pierwszy biznes – wsparcie w starcie" to bardzo ambitny i przydatny program, który umożliwia wielu Polakom rozpoczęcie przygody z własnym biznesem. Ale nie tylko, bo program przede wszystkim skutecznie aktywizuje te osoby, które bez wsparcia nie mogłyby założyć własnej firmy lub nie miałyby niezbędnych na początku funduszy. Bank Gospodarstwa Krajowego skutecznie więc wypełnia swoją misję, pracownicy banku zaś, dysponujący najwyższymi kompetencjami, skutecznie wspierają przedsiębiorczych Polaków.

Arkady Saulski

Wsparcie w starcie – co się składa na program

Pożyczka na podjęcie działalności. Przeznaczona dla osób zainteresowanych rozpoczęciem własnej działalności gospodarczej, które nie wiedzą, skąd uzyskać kapitał. Aby skorzystać z oferowanych w ramach programu pożyczek, wystarczy się zgłosić do pośrednika finansowego działającego na danym terenie i złożyć wniosek. Osoby potrzebujące wsparcia w wypełnianiu wniosku mogą je uzyskać bez najmniejszych problemów – dostępni są konsultanci, którzy wyjaśniają wątpliwości i pomagają w wypełnieniu dokumentów.

Pożyczka na utworzenie miejsca pracy. Propozycja dla firm, które się rozwijają, a którym brakuje rąk do pracy. Dzięki nisko oprocentowanej pożyczce na utworzenie miejsca pracy można wyposażyć stanowisko i zatrudnić osobę bezrobotną, zarejestrowaną w Urzędzie Pracy. Aby skorzystać z tej pożyczki, wystarczy wypełnić wniosek wraz z niezbędną dokumentacją i złożyć go u pośrednika finansowego obsługującego obszar, w którym prowadzi się działalność gospodarczą.

Doradztwo oraz szkolenia. Osoby ubiegające się o pożyczkę lub te, które już ją uzyskały, otrzymają pakiet bezpłatnych szkoleń i doradztwa z zakresu przedsiębiorczości i prowadzenia własnego biznesu. Prowadzone przez pośredników finansowych, którzy udzielają profesjonalnych usług doradczo-szkoleniowych zindywidualizowanych pod konkretną firmę.

eprasa.pl c98308c2a0

Bezcenna ochrona

Ministerstwo Zdrowia poważnie rozważa zmiany w programie szczepień ochronnych. I choć głośno mówi się o wprowadzeniu refundacji szczepień przeciw rotawirusom czy HPV, to najważniejszą ze zmian może być zwiększenie dostępności do zapewniającej najszerszą ochronę szczepionki przeciw pneumokokom. – Decyzje powinny zapaść w październiku – mówi nam wiceminister Józefa Szczurek-Żelazko





PIOTR FILIPCZYK

Szczepieniom przeciw pneumokokom przyglądamy się w naszym tygodniku i portalu wPolityce.pl od dłuższego czasu. Z wielu powodów jest to bowiem sprawa bardzo ciekawa. Po pierwsze, szczepienia budzą mnóstwo emocji, a pneumokokowy program jest najkosztowniejszy w historii polskiej profilaktyki. Po drugie, swego czasu wokół działań w tym obszarze urzędników Ministerstwa Zdrowia (MZ) związanych jeszcze z ekipami Ewy Kopacz i Bartosza Arłukowicza narosło sporo kontrowersji. Po trzecie, być może obserwujemy pewien przełom w podejściu państwa do kwestii relacji cena–jakość w zamówieniach publicznych. A taki przełom zapowiadał na początku kadencji dzisiejszy premier Mateusz Morawiecki.

FANFARY I WĄTPLIWOŚCI

Przypomnijmy: obowiązkowe szczepienia przeciw pneumokokom wprowadzono wraz z początkiem 2017 r. To była pierwsza od lat tak poważna modyfikacja programu szczepień, oczekiwana przez zdecydowaną większość ekspertów. Fanfary nieco przycichły, gdy okazało się, że finansowana będzie tylko tańsza z dwóch dostępnych na rynku szczepionek. Zawiera ona 10 szczepów (serotypów) pneumokoków, które powodują m.in. zapalenie płuc, a w swej najcięższej formie – śmiertelnie niebezpieczną sepsę.

„Apeluję o to, by nie krytykować dokonanego w 2017 r. wyboru, lepszy jest bowiem preparat uważany przez niektórych za mniej skuteczny niż żaden" – przekonywał (słusznie) wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski w artykule poświęconym szczepieniom przeciw pneumokokom, jaki opublikował tydzień temu „Dziennik Gazeta Prawna". Autorzy tego tekstu przypomnieli, jak kształtowały się kryteria w pierwszym przetargu na zakup szczepionek – waga ceny wynosiła 60 proc., jakości – 40 proc. Szczepionka dziesięciowalentna (PCV10) uzyskała 25,32 w kategorii jakość, a preparat trzynastowalentny (PCV13) dostał tu maksymalną ocenę, czyli 40 punktów.

„W kategorii cena produktu tańszy uzyskał 60 pkt, droższy – 42,28 pkt" – czytamy w „DGP".

ALARMUJĄCE DANE

Tamten wybór powtarzano jeszcze dwukrotnie. Dziś finansowana przez państwo jest szczepionka dziesięciowalentna. I choć wprowadzenie obowiązkowych szczepień przeciw pneumokokom uważane jest za sukces, ekspertów zaniepokoiły ostatnie dane Krajowego Ośrodka Referencyjnego ds. Diagnostyki Bakteryjnych Zakażeń Ośrodkowego Układu Nerwowego (KOROUN). Okazuje się, że w trzecim roku trwania programu tzw. pokrycie szczepionkowe dla preparatu dziesięciowalentnego dla dzieci, które nie ukończyły drugiego roku życia, wynosi zaledwie ok. 22 proc. To znacznie gorszy wskaźnik niż jeszcze kilka lat temu. Według KO-

eprasa.pl c98308c2a0

ROUN zwiększyła się także obecność bardzo groźnego, antybiotykoopornego serotypu 19A. Jest on zawarty w szczepionce trzynastowalentnej, brakuje go za to w refundowanym preparacie dziesięciowalentnym.

Pierwsi dane KOROUN ocenili w czerwcu, podczas debaty zorganizowanej przez redakcję pisma „Służba Zdrowia", konsultanci krajowi.

– Powinniśmy wybierać szczepionki, które mają największe pokrycie serotypów odpowiedzialnych za wywoływanie chorób pneumokokowych. Poza tym decyzje dotyczące wyboru szczepień muszą ewoluować w czasie, tak aby podążać za rozwojem sytuacji epidemiologicznej – mówiła wówczas prof. Teresa Jackowska, konsultant krajowy w dziedzinie pediatrii.

– Należy pamiętać, że przed wprowadzeniem szczepień w 2017 r. mieliśmy do dyspozycji jedynie dane pochodzące z kilku prowadzonych programów regionalnych. I na tej podstawie minister zdrowia trzy lata temu zdecydował o rozszerzeniu programu szczepień ochronnych – podkreślał podczas czerwcowej debaty Jarosław Pinkas, krajowy konsultant w zakresie zdrowia publicznego i jednocześnie Główny Inspektor Sanitarny.

– Mam nadzieję, że w najbliższym czasie będziemy mogli podjąć racjonalne decyzje. Ze względu na działania aktywistów antyszczepionkowych wszystko powinno być jednoznaczne i nie ma tu miejsca na żadne wątpliwości, co do faktu, że do szczepień obowiązkowych państwo wybiera najskuteczniejsze i najbezpieczniejsze preparaty – dodawał wówczas Pinkas.

POWAŻNE PODEJŚCIE

Ministerstwo Zdrowia poważnie podeszło do problemu, jaki ujawniły dane epidemiologiczne opublikowane przez KOROUN.

– Są one, oględnie mówiąc, średnie. Uznano, że warto się temu bardzo poważnie przyjrzeć. Zwłaszcza że gdy takie same zjawiska obserwowano w innych krajach, po prostu zmieniano tam szczepionkę na trzynastowalentną – mówił nam na początku września jeden z urzędników MZ. Wówczas resort nie chciał oficjalnie komentować tych doniesień. Dziś jest inaczej.

– Bacznie przyglądamy się sprawie – mówi nam wiceminister zdrowia Józefa Szczurek-Żelazko. – Badamy, czy powinniśmy się zdecydować na szczepionkę, która w swoim składzie ma również ochronę przed patogenem 19A.

> Można zakładać, że decyzja o refundacji szczepionki zawierającej większą liczbę serotypów ucieszyłaby rodziców, którzy dziś – jeśli chcą zaszczepić dziecko PCV13 – muszą płacić za nią w całości z własnej kieszeni

Jak mówi Szczurek-Żelazko, zajmują się tym dwie niezależne instytucje: Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji oraz Pediatryczny Zespół Ekspertów ds. Programu Szczepień Ochronnych przy Ministrze Zdrowia.

„Ustaliliśmy, że urzędnicy resortu zdrowia chcieliby, aby państwo zaczęło refundować szczepionkę trzynastowalentną. Oznaczałoby to zwiększenie kosztów dla budżetu o ok. 20 mln zł rocznie. Trwają więc nie tyle analizy, który produkt wskazać, ile szukanie uzasadnienia dla wyboru droższego" – twierdzą dziennikarze „DGP". A cytowany przez nich przedstawiciel kierownictwa MZ mówi: „Wierzę, że już od początku 2020 r. będziemy mogli podawać dzieciom szczepionki trzynastowalentne". I, jak czytamy w „DGP", dodaje, że choć w wielu państwach na świecie to już standard, to i tak byłoby to jedno z największych osiągnięć Ministerstwa Zdrowia w ostatnich latach.

Oficjalne informacje z resortu są bardziej stonowane. – Podejmiemy decyzję po wnikliwej analizie – podkreśla Józefa Szczurek-Żelazko. – Chcemy, żeby nasze dzieci były chronione jak najlepiej, ale to musi mieć merytoryczne uzasadnienie.

KIEDY DECYZJE?

– Wiele wskazuje na to, że będziemy mieli komplet danych na początku października i w tym miesiącu zapadnie decyzja, jak będzie wyglądało to szczepienie w przyszłości – mówi Józefa Szczurek-Żelazko.

Można zakładać, że decyzja o refundacji szczepionki zawierającej większą liczbę serotypów ucieszyłaby rodziców, którzy dziś – jeśli chcą zaszczepić dziecko PCV13 – muszą płacić za nią w całości z własnej kieszeni.

Narzekać nie powinni też przedstawiciele politycznego zaplecza rządu. – Szczepienia się rozwijają, w tej dziedzinie mamy nieustanny postęp. Tej konkretnej sprawy za dobrze nie znam, ale podchodzę z pełnym zaufaniem do propozycji ministerstwa. Jeżeli tam opowiedzą się za jakimś rozwiązaniem, to będę miał pewność, że zostało to rzetelnie sprawdzone i zbadane – mówi nam poseł Tomasz Latos, jedna z twarzy PiS w obszarze ochrony zdrowia.

Bardziej jednoznacznie wypowiada się w tej sprawie poseł Jerzy Kozłowski, który wszedł do Sejmu z listy Kukiz'15, ale dziś ubiega się o reelekcję z listy Prawa i Sprawiedliwości. Zna on problem, ma na swoim koncie interpelacje dotyczące szczepień przeciw pneumokokom.

– Jeśli mamy łożyć pieniądze na rzecz profilaktyki, to nie szukajmy pozornych oszczędności. Każdy, kto się interesuje tematem, wie, że sytuacja epidemiologiczna się zmienia. My nie możemy stać w miejscu, musimy za nią podążać. Tutaj czy w ogóle w zdrowiu oszczędności naprawdę się nie opłacają, dlatego jeśli faktycznie ministerstwo zdecyduje się na zmianę, to ja będę mógł temu tylko przyklasnąć – mówi nam Kozłowski. – Wierzę zresztą, że dobrych wieści będzie więcej. Pod obecnym kierownictwem resortu zdrowia wiele spraw idzie w pożądanym kierunku – puentuje poseł.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0

Wielobarwny stan ducha



TAMARA GONZALEZ PEREA
DZIENNIKARKA I BLOGERKA MODOWA

„Kolorowym ptakiem" byłam nazywana długo przed tym, zanim zaczęłam pracować w telewizji. Taka po prostu jestem. Kolory są dla mnie czymś wspaniałym, pozytywnym. To stan ducha. Dosłownie i w przenośni. Zarówno w stroju, jak i otoczeniu. Prywatnie i w pracy. Oczywiście także w podróży.

Z wykształcenia jestem architektem wnętrz. Ukończyłam ASP. Od kiedy pamiętam, szukałam wokół siebie energii, koloru i wykorzystywałam to w stylizacjach. Lubię żartować, że maluję ubraniami. Metki mnie nie interesują. W ubraniu istotne jest dla mnie to, czy jest ono ciekawe, czy oddaje charakter osoby, która je nosi. Moda to dla mnie język komunikacji.

Przez sześć lat gimnazjum i liceum nosiłam mundurki. Kiedy dostałam się na ASP i w końcu, ku mojej radości, mogłam poszaleć ze strojem, okazało się, że przychodzi mi to z łatwością. Na drugim roku pod wpływem audycji w radiu o blogach modowych – mocno wspierana przez mamę – postanowiłam założyć MacademianGirl.com. Od kilku lat dzielę się w ten sposób swoją pasją. Pokazuję, jak mieszając style i marki, czerpiąc też z sieciówek i second-handów, wyrażać siebie poprzez strój.

Uwielbiam podróżować. Także wewnętrznie. Na pierwszy w tym roku, dziesięciodniowy urlop wybrałam niezwykłe miejsce – „spa dla duszy", czyli Instytut Nelumbo w Portugalii. Prowadzi go Polka dr Izabela Kopaniszyn, zajmująca się m.in. psychologią transpersonalną. Izabela, jak ja, kocha słońce, radość, optymistycznych ludzi i holistyczne, afirmacyjne podejście do życia. Uważam, że dbanie o zdrowie ducha i umysłu jest tak samo ważne jak dbanie o zdrowe ciało. Ta podróż pozwoliła mi zajrzeć w głąb siebie. Niezwykłym doświadczeniem było z dziesiątką obcych ludzi rozmawiać i zastanawiać się nad tym, co czujemy, dokąd chcemy zmierzać.

Podczas tego wyjazdu zdarzyło się, dodatkowo, coś pięknego. Ponieważ grupa była głównie żeńska, wyjazd stał się okazją do celebrowania siły kobiecości. Uczestniczki wyjazdu (także te w wieku mojej mamy, która również była w grupie) przyglądały się z uwagą, jak barwnie się ubieram. Jak dosmakowuję swoje stroje biżuterią i... na koniec wszystkie wybrałyśmy się na wspólne zakupy i obkupiłyśmy się w wielobarwne sukienki i dodatki. Zupełnie przypadkiem przekonałam je do kolorów, nawet te najbardziej sceptyczne. Jak na koloniach – mimo różnic wiekowych – kręciłyśmy sobie nawzajem włosy, dobierałyśmy akcesoria, prawiłyśmy sobie komplementy. Dosłownie rozkwitłyśmy kobiecością. Każda z nas stała się boginią w swoim życiu. To było dodatkowe, niesamowite doświadczenie tego wyjazdu.

A sama Portugalia jest przepiękna. Trochę wietrzna, z oceanem, który poza zmienną, fascynującą urodą pokazuje też nieujarzmioną siłę natury. Można się przed nią jedynie z pokorą skłonić. I Portugalczycy właśnie to robią. Żyją w zgodzie z naturą. To niezwykle otwarty, ciepły naród, jak to południowcy. Przebywanie z nimi uczy luzu i radości życia.

Najbardziej egzotycznymi miejscami, jakie zdarzyło mi się odwiedzić, były Hongkong i Bali. Pierwszy to styk kultur. Ze strefami wyjętymi jak z zachodniego żurnala – z nowoczesną architekturą i drogimi markami – ale i lokalnym kolorytem: azjatycką kuchnią i tradycją. Wszystko tętni tam życiem.

Na Bali urzekły mnie widoki i ludzie, którzy są przemili, uczynni, bardzo grzeczni. Fantastyczna jest tam różnorodność – tu dżungla, tam wybrzeże. Każdy znajdzie coś dla siebie. Bali może się też okazać miejscem duchowym, jeśli tylko zdecydujemy się duchowości poszukać.

Powoli planuję też podróż do Panamy, skąd pochodzi mój tata. Ta podróż jest dla mnie bardzo ważna, zapewne dlatego tak długo ją odkładam, ale i na nią przyjdzie czas.

Uwielbiam góry. Ostatnio, odwiedzając koleżankę, trafiłam do fantastycznego miejsca w Beskidach – Wisły. Ogromna przestrzeń. Cisza. Spokój. I przesympatyczni ludzie – górale. Żyją. Tak naprawdę. Nie zawracają sobie głowy błahostkami. I są bardzo blisko natury. Mimo że mają dostęp do najnowszej technologii, potrafią słuchać rytmu przyrody. To piękne i ważne. Wszyscy możemy się tego od nich uczyć.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Krzemiński Jordan/AKPA

eprasa.pl c98308c2a0



SŁODKO-SŁONY

Nie tylko powidła

ANNA MONICKA

Sezon na węgierki zaczyna się późno, bo też dojrzewają one dopiero pod koniec lata albo jesienią, zależy od regionu. Najsmaczniejsze rosną oczywiście na Pojezierzu Drawskim – u mojej ciotki, która ma ponadstuletnie poniemieckie gospodarstwo. Stare drzewa owocowe są u niej nietykalne, choć zasłaniają antenie satelitę i TV słabo nadaje. Być może gdzie indziej znalazłabym równie smaczne, ale do tych mam sentyment, choć coraz częściej zdarzają się robaczywe. Ale bywa z nimi tak jak w powiedzeniu – pierwsze śliwki robaczywki. Czyli innymi słowy, wtedy gdy ja mam wakacje, spadają z drzewa tylko te przeżarte przez robale, a gdy muszę wrócić z dzieckiem do domu, bo zaczyna się szkoła, one dojrzewają, a chłodne noce zmuszają nieproszonych smakoszy do odwrotu.

W ostatni weekend ciotka rozłożyła pod śliwami prześcieradła, a wujek potrząsnął drzewkami i sypnęły się te najlepsze, najsłodsze owoce, do których w czasie smażenia nie trzeba już nawet dodawać cukru. Po trzech dniach pyrkolenia w wielkim płaskim garnku powidła są ciemnobrązowe, gęste i tak pachną, że aż miło wchodzić do domu. Producenci zapachów do wnętrz powinni zrobić moim zdaniem kolekcję ze smażonymi powidłami czy suszonymi grzybami albo jabłkami na czele.

Węgierki przywlekli do nas Węgrzy w czasach, gdy Polak i Węgier to były dwa bratanki, bo owoce korzeniami sięgają do Azji Mniejszej i wszyscy zawdzięczamy je Turkom, podobnie jak bakłażany. Kto pierwszy wpadł, że są tak smaczne pod postacią powideł? Nie wiadomo, ale wyraz „powidła" istniał już w XV-wiecznej polszczyźnie i pochodził od narzędzia, którym się mieszało prażone owoce i prawdopodobnie od nas zapożyczyli je inni Słowianie. Pewne jest, że smakowały wszystkim w czasach, gdy nie można było wyskoczyć do Żabki po żelki, a słodkiego się chciało, zwłaszcza zimą.

Owoce bogate są nie tylko w naturalne cukry, lecz także w witaminy: A, B , C, potas, wapń, żelazo. Do tego mnóstwo błonnika – powinny je jeść osoby, które mają problem z jelitami. W jakiej formie? Jak długo można – na surowo. Już trzy dziennie regulują przemianą materii. Suszone (można je zrobić w domu, w piekarniku – trwa to kilka dni, ale się udaje) są doskonałym dodatkiem do pieczonych mięs, bigosu, farszów z kasz i kapusty (do pierogów czy gołąbków), a nawet zupy grzybowej – wywar dodajemy do grzybowego, a pokrojonymi w paseczki i podsmażonymi z cebulką na maśle śliwkami krasimy zupę. Najlepiej byłoby zajadać ją na co dzień, ale zazwyczaj podajemy taką na święta.

WILCZYM OKIEM



Wolnościowcy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Uwielbiam te miejsca. Rozkwitają jesienią. Dziesiątkami odmian śliwek i gruszek. Pomidorami wszystkich kolorów i kształtów. Kabaczkami, cukiniami i patisonami. Place handlowe. I choć to tam kupi się maliny i borówki z lasu, a nie jak w supermarketach większe, ale bezwonne borówki amerykańskie i maliny z plantacji, to głównym bohaterem tego tekstu nie będą owoce ani warzywa. Ani nawet grzyby, choć i od nich uginają się stoiska.

Bohaterem będą ludzie. Najprawdziwsi, ostatni w Polsce wolnościowcy – handlarze z placów. Taki pan lub pani z placu to ktoś pomiędzy menedżerem a niebieskim ptakiem. Za bardzo ceni sobie wolność, aby chodzić w garniturze i snobować się na biznesmena. Zbyt jest pracowity, aby popaść w degrengoladę: od poetyki straganu na placu do poetyki altany na działkach tylko pozornie jest krok.

Nawet jeżeli handlarz z naszego bazarku, placu, targu lub jak tam się na to jeszcze w Polsce mówi, nie jest producentem, to jego dzień zaczyna się o godz. 2 rano. Pojęcie „początku dnia" na hurtowych targowiskach, gdzie można się zaopatrzyć w kilkadziesiąt kilogramów ziemniaka lord, pomidora lima lub jabłka lobo, odbiega od tego, co pod tym pojęciem rozumie – dajmy na to – pracownik korpo, dziennikarz lub nauczyciel. Handlarz z placu musi dojechać do hurtowni, nabyć towar, przetransportować go na swój mały plac, przygotować do sprzedaży.

Następnie od rana, ale tego „rana" z porządku pojęciowego nauczyciela i pracownika korporacji, zaczyna sprzedaż. Jabłko z minimalnym naturalnym wgłębieniem nie ma szans na znalezienie klienta, to samo dotyczy pogiętej marchwi, za wąskiej kukurydzy i zbyt wielkiego ziemniaka. Jednocześnie ci sami klienci, którzy odrzucają takie płody ziemi, opowiedzieliby się za: niestosowaniem chemicznych środków hodowli roślin, rezygnacją z GMO, wspieraniem rodzimych odmian. Handlarze z mojego placu cały dzień wysłuchują uwag o tym, jakie mają brzydkie śliwy i wynędzniałe jeżyny, no i jakie drogie. Jednocześnie sami są jak dawne polskie odmiany owoców i warzyw: zróżnicowani, przystosowani do zmieniających się warunków, zaprawieni do funkcjonowania bez pomocy. Jeżeli sprzedawca z bazaru jest jednocześnie producentem swoich warzyw, czyli po prostu rolnikiem, zyskuje ode mnie dodatkowo poziom „master".

Fot. Zuzanna Kruschewska, Shutterstock

eprasa.pl c98308c2a0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zdrada


www.wojciechreszczynski.pl

Scenariusz zaprezentowany przez opozycję cztery lata temu „ulica i zagranica" jest realizowany z żelazną konsekwencją

Do najbardziej podłych zachowań w stosunku do swojego narodu i państwa należy zdrada. Co charakterystyczne we wszystkich systemach polityczno-prawnych, w zróżnicowanych typach cywilizacji zdrada była odbierana tak samo, jako najcięższe przestępstwo zagrożone zwykle najwyższym wyrokiem, czyli śmiercią. Nam zdrada kojarzy się od lat z Targowicą. Nazwa tego małego miasteczka na wschodnim krańcu Podola brzmi jak słowo „zdrada".

Nie może być niczego gorszego od zdrady, co najbardziej plastycznie pokazał Zagłoba w mowie do hetmana Janusza Radziwiłła: „Bodajś skonał w rozpaczy, bodaj ród twój wygasł, bodaj diabeł duszę z ciebie wywlókł, zdrajco!, zdrajco!, po trzykroć zdrajco!".

Co można powiedzieć przewodniczącemu Platformy Obywatelskiej Grzegorzowi Schetynie, który w Brukseli, w siedzibie UE, domaga się, aby przestrzeganie praworządności przez państwa UE było powiązane z dostępem do europejskich funduszy. „Nasze zdanie jest tutaj jednoznaczne (...) jesteśmy zwolennikami bardzo twardego rozwiązania". Wtórowała mu kandydatka opozycji na premiera Małgorzata Kidawa-Błońska. Zwykle spokojny i wyważony prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński uznał tę wypowiedź za antypaństwową, to „przekroczenie wszelkiego rodzaju granic politycznej przyzwoitości [...] ze słów Schetyny wynika, że albo będzie rządzić Platforma, albo Polska nie będzie otrzymywała środków unijnych". Słowo „zdrajca" jednak nie padło, chociaż wszelkie działanie na szkodę własnego kraju jest po prostu zdradą. Zdrady dokonuje też europosłanka z partii Biedronia Sylwia Spurek, gdy do Fransa Timmermansa apeluje o szybkie zastosowanie w stosunku do Polski mechanizmu odebrania unijnych dotacji, gdyż w naszym kraju dochodzi do łamania praworządności. A tak właśnie, jej zdaniem, dzieje się w Polsce. Całe szczęście, że europoseł Patryk Jaki zasiada w tej samej komisji unijnej co Spurek, jest więc okazja na szybką reakcję w obronie własnego kraju.

Scenariusz zaprezentowany przez opozycję cztery lata temu „ulica i zagranica" jest realizowany z żelazną konsekwencją. Do Brukseli jeżdżą delegacje „pokrzywdzonych" przez pisowską władzę. Wysyłane są listy i petycje domagające się ukarania Polski.

W ub.r. w Brukseli sędziowie polscy przekonywali, że nagminnie łamane są praworządność i konstytucja. Zbuntowani sędziowie na czele z Igorem Tuleyą ślą do Trybunału Sprawiedliwości UE absurdalne pytania prejudycjalne, czyli wstępne, np. w sprawie polskiego systemu dyscyplinarnego sędziów, który odbiera im ponoć sędziowską niezawisłość. A to podważa zaufanie do polskich sądów i jest dowodem na nad wyraz trudną sytuację sędziów w Polsce, prześladowanych przez władzę. To nieważne, że pytania są nie na temat. Ważne, aby na arenie międzynarodowej kompromitować obecną nienawistną władzę.

W szkalowaniu własnego kraju nie ustaje eurodeputowana, wdowa po prezydencie Gdańska, Magdalena Adamowicz. Kłamstwa pani prawnik, nauczyciela akademickiego, przychodzą jej z wyjątkową łatwością. Najpierw o śmierć swojego męża obwiniła publiczną telewizję. Teraz w europarlamencie przekonuje Europejczyków o braku w Polsce praworządności i atmosferze nienawiści, która zabiła jej męża. Nie bandyta, 27-letni Stefan W. (niewykluczone, że osoba ciężko chora psychicznie), tylko obecnie rządzący tworzący atmosferę sprzyjającą nienawiści. Zapomniała już, jak bandyta oskarżał jej partię, czyli Platformę Obywatelską, o niesłuszny pobyt w więzieniu. Ale czy to ma dziś jakiekolwiek znaczenie? Zaiste postawa pani Adamowicz godna jest stopnia doktora nauk prawnych.

Ciekawą informację o Januszu Korwin-Mikkem przekazał poseł Piotr Liroy-Marzec. Dzięki temu mamy przedsmak zdrady najbliższej klasycznej, sienkiewiczowskiej definicji. Korwin-Mikke pytany o współpracę Polski z Rosją, a konkretnie o to, czy gdyby doszło do konfliktu dwóch państw, po czyjej byłby stronie, odpowiedział, że po stronie Rosji. Ta wypowiedź akurat nie dziwi, gdyż kilka lat temu Korwin-Mikke przekonywał, że płk Ryszard Kukliński był zdrajcą, bo zdradził Ludowe Wojsko Polskie i złamał przysięgę wojskową. No cóż, dla tego polityka Polska jest nadal częścią imperium Romanowów, gdyż akt abdykacji na rzecz Rosji osobiście podpisał Stanisław August Poniatowski, polski król, który okazał się zdrajcą.

Niestety przykładów zdrady jest coraz więcej. „Proces degradacji moralnej zaszedł za daleko" – twierdzi Antoni Macierewicz. Gdy UE, Bruksela, zagranica, Berlin i Rosja stają się ważniejsze niż ojczyzna, zaczyna się upadek państwa, dlatego trzeba częściej mówić o tym, czym jest zdrada. No i oczywiście, czym jest jurgielt, bez niego najprawdopodobniej nie byłoby zdrady.

eprasa.pl c98308c2a0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Mój kot ma kota



Witold Gadowski

Na ulicy parkuje samochód – na jego burcie czytam: „Koci detektyw". Zachodzę w głowę, co to może oznaczać, ale skoro na burcie widniał także numer telefonu „detektywa", to zadzwoniłem. W słuchawce usłyszałem miły damski głos. Zapytałem więc, czym zajmuje się taki „koci detektyw"? Przypuszczałem bowiem, że pewnie poszukuje zaginionych kotków lub śledzi, gdzie nocą kocury znikają, aby nad ranem znów pojawić się w domowych pieleszach.

Ale gdzie tam! Nic podobnego. „Koci detektyw" zajmuje się – tak usłyszałem od miłego damskiego głosu – terapią związków pana/pani z kotem! Oto w Warszawie – no bo gdzie by indziej – pojawił się nowy zawód, który widocznie przynosi korzyści, skoro jeżdżą samochody oklejone kocimi reklamami takiej profesji. Taki detektyw jest zwierzęcym psychologiem, w tym wypadku wyspecjalizowanym w psychologii kotów.

– Ustawiam relacje pomiędzy człowiekiem i kotem, tak aby wspólnie rozwiązać pojawiające się problemy i kryzysy – poinformował mnie damski głos. Ho, ho, to już warsiawskim pańciom i pankom zachciało się rozwiązywać kryzysy pomiędzy nimi a ukochanymi kotkami? Nieźle, ale gdyby zastanowić się nad tym, co damski głos mi powiedział, to nieuchronnie dojdziemy do wniosku, że oto kotki zostały niezwykle awansowane i właśnie dostąpiły zaszczytu posiadania psychiki, a kto wie – może i duszy nieśmiertelnej. Choć w to ostatnie bym wątpił, gdyż warsiawskie towarzystwo w duszę raczej nie wierzy. Rodzina z dziećmi to w tym kręgu przereklamowany przeżytek. O ileż wspanialej jest usynowić sobie niewielkiego piesia albo ładnego kotka.

To nie tylko tępe małpowanie tzw. Zachodu. To syndrom nowych czasów, czegoś, co rośnie i niedługo złapie nas za pysk. Zwierzętom należy się coraz więcej praw, zasługują już nawet na swoich psychologów, którzy będą im prowadzić terapie małżeńskie z ludźmi. Zwierzęta windowane są na ludzki pułap. Ludziom natomiast należy się coraz mniej. Ot, kotka mogą sobie przysposobić, pokochać, wejść z nim w głębsze relacje. Proszę mi tu się nie podśmiewać pod nosem. Jak jest prikaz, aby wchodzić w głębsze relacje z kotami, to mi tu nie opowiadajcie o wyjątkowej roli człowieka wśród stworzenia wszelkiego. Kot ma swoje potrzeby. Już nie wystarczy mu kuweta i jakie takie jedzenie, on ma prawo do podmiotowego partnerskiego traktowania. Kto tego nie zrozumie, to prędzej czy później wyląduje w klatce... nowej cywilizacji.

Dlaczego w Polsce LGBT nie przejdzie



Lech Makowiecki

Prof. Mieczysław Ryba z KUL postawił trafną diagnozę: osoby odpowiedzialne za forsowanie ideologii gender w Polsce popełniły (na szczęście dla nas) grzech niecierpliwości! Zadufani w sobie „eksperci" LGBT zrezygnowali z wieloletniego programu oswajania ludzi z dewiacjami (co z powodzeniem sprawdziło się już na Zachodzie) i przypuścili na Polaków zmasowany atak.

Wyuzdane marsze równości połączone z profanacją symboli religijnych oraz bezczelne próby seksedukacji dzieci w szkołach wywołały natychmiastowy sprzeciw społeczny. Uliczny ekshibicjonizm wciąż jest u nas ścigany prawem, a facet „nauczający" masturbacji dzieci w piaskownicy naraża się na bliskie spotkanie z pazurami rozwścieczonej mamuśki albo pięścią wkurzonego ojca. Rezultatem tego otrzeźwienia rodaków będzie prawdopodobnie wygrana prawicy w wyborach parlamentarnych. Mieszkańcy UE – zaczadzeni bądź zastraszeni oskarżeniami o mowę nienawiści i brak tolerancji – znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Rezygnacja ze sprawdzonych od setek lat zasad i ze zwykłego, zdrowego rozsądku prowadzi w szybkim tempie do upadku cywilizacji. Polacy nie godzą się (jeszcze) na krzywdzenie dzieci i szanują (na razie) odwieczne wartości: rodzinę, wiarę, tradycję. Dla większości z nas przekazywanie daru życia jest sensem istnienia tu i teraz. Nie pojmują tego tęczowolewaccy „naukowcy" z tytułami profesorów, co przeczy ich inteligencji. Na co komu taka „wolność od wszystkiego", która – wskutek programowej rezygnacji z prokreacji – zakończyć się może na jednym pokoleniu? Gdyby rodzice wyżej wymienionych mieli równie egoistyczne podejście do demografii – nie byłoby dziś komu głosić tęczowej rewolucji.

PS Kaddafi wieszczył podbój Starego Kontynentu „brzuchami muzułmańskich kobiet". Zdarzało się już w historii świata, że wielkie imperia podbijali prości barbarzyńcy – przy bezrozumnym, infantylnym wsparciu miejscowych „pacyfistów" i „pożytecznych idiotów".

eprasa.pl c98308c2a0

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Krucjata



Aleksander Nalaskowski

Stoimy przed zadaniem czasowo podobnym do tego, które było udziałem budowniczych średniowiecznych katedr czy świętych męczenników. To działanie, którego cel jest przesunięty daleko poza granice jednego pokolenia, poza granice własnego życia. Średniowieczni murarze budujący świątynię, bohaterowie wojenni czy święci zupełnie inaczej pojmowali czas. Nie umierał on wraz z nimi. Wiedząc bowiem, że nie zobaczą owoców swojego działania, mieli świadomość, że będzie ono służyć tym, którzy się jeszcze nie narodzili. Żyjąc „tu i teraz" widzieli świat „tam i później".

Mojemu pokoleniu czy pokoleniu moich dzieci doktryna ukryta pod tyleż neutralnym, ileż eufemistycznym skrótem lgbt (nie wiadomo, z jakiej okazji przydaliśmy skrótowi status nazwy własnej, pisząc go wielkimi literami) zapewne już nie zagrozi. Kto miał popaść w skłonność do homoseksualizmu, ten zrobił to wcześniej bez zachęt ze strony tego obscenicznego panopticum maszerującego ulicami polskich miast. Jedni się z tym męczą, inni ukrywają, bo się wstydzą (coraz rzadszy odruch ludzki), co nie znaczy, że z tym walczą, ale tylko nieliczni się z tym obnoszą. Z tego punktu widzenia winniśmy na tzw. parady równości patrzeć z politowaniem i reagować wzruszeniem ramion. Tak właśnie zareagował ostatnio Toruń. Planowany od dawna homopodbój mojego miasta odniósł skutek żałosny i na obleśnej gębie lgbt pokazał się głupawy uśmieszek. Niewielka grupa manifestantów, oczywiście ze stałymi importowanymi błaznami, przeszła niemal pustymi ulicami ubezpieczana szpalerami policji. Nie było widzów, wiwatów ani tęczowych chorągiewek. Trafili w pustkę. Biedne, politowania godne klauny w cyrku, do którego nikt nie chciał przyjść. Nikt cyrkuśników nie pobił, a zatem nie było nawet sensacji. To chyba pierwsza tak widoczna klapa. Nawet lokalna gazeta donosiła już bez zachwytów o paradzie „pod eskortą". Bo i eskorta była w tym wszystkim najbardziej widoczna. Okazało się, że lgbt bez prowokacji i lżenia symboli państwowych czy religijnych nie jest w stanie zaistnieć.

Ale to za mało! Za mało jest milczeć i ignorować ten cyrk, bo to rozwiązanie tylko na „tu i teraz". Nie możemy zatem ustawać w walce o „tam i potem" dla następnych pokoleń. Naprawdę nie możemy. Niech nasze głośne NIE trwa, niech jest takim NIE, które wobec zła nigdy nie przejdzie obojętnie, nawet jeśli to zło naszego czasu chwilowo nie będzie dotyczyć. Nie myśmy tę wojnę wywołali, dlatego mamy się prawo skutecznie bronić.

Lgbt to w zamiarze taran, szpica uderzeniowa, która ma wyważyć bramy twierdzy. Gdy atak będzie skuteczny i bramy ustąpią, to wówczas przejdzie przez nie wszystko. Przecież kogo chcieliśmy, to zaprosiliśmy. Za murami jest miejsce tylko dla intruzów. Walczmy zatem, bo mamy oręż, którym możemy zwyciężać. To potęga odważnego słowa. Tego słowa, które w imię politpoprawności połykaliśmy bojaźliwie, moc słowa, które dławi i przeszkadza normalnie oddychać, słowa adekwatnego. Wykorzystajmy koncept Gramsciego i wyruszmy ze słowem przez instytucje. Pokazujmy swoją niezgodę wszędzie tam, gdzie sumienie zgody nie pozwala pokazać. Tam, gdzie jesteśmy. Reagujmy tak, jak dzielny sprzedawca z Ikei, jak wierny sobie, a nie mamonie, drukarz z Łodzi, jak mężny Arcybiskup. Bo to nie harcownicy lgbt sobie na coś pozwalają, ale to my na owo coś pozwoliliśmy. Odzyskajmy stracone pole tam, gdzie zostało ono zachwaszczone i zamienione w jałowy ugór. Niech nasza pedagogika niezgody będzie pedagogiką powszechną, stosowaną wszędzie tam, gdzie okaże się potrzebna.

Nie osądzajmy osób, ale ich poglądy, czyny czy przekonania. Mówmy im wprost, że się z nimi nie zgadzamy, że są w błędzie, że to, co robią, jest złe. Mówmy głośno tak, aby naszego tchórzliwego milczenia nie uznali za akceptację czy ukryty poklask. Nie odpuszczajmy w imię fałszywego pokoju, poprawności stosunków czy własnych interesów „tu i teraz". Interesy się skończą, awanse przestaną być istotne, życie będzie się dopalać i poczniemy coraz bardziej myśleć o własnym sumieniu i jego czystości. Nie dopuśćmy do deficytu tej czystości. Nie cali wszak umrzemy, bo nasze nazwisko, geny, podobieństwo będą trwać w dzieciach, wnukach, prawnukach. Zadbajmy więc o to, aby przetrwało tam, gdzie mogą się rodzić kolejne pokolenia, tam gdzie pocałunek mężczyzny i kobiety jest dobrym zwiastunem powstania kolejnego życia. Nasze nieskończone NIE niechaj będzie polisą ubezpieczeniową na normalność dla naszych następnych. Jako prezydenci miast, rektorzy, dziekani, profesorowie, nauczyciele, katecheci, murarze, rybacy, bezdomni żebracy, zwykli i niezwykli ludzie – tam, gdzie jesteśmy, a widzimy zło, walmy pięścią w stół i mówmy swoje NIE. Dyskutujmy z gender i obalajmy tezy, które są czystym doktrynerstwem. Pokazujmy, gdzie im daleko do nauki. Nie dajmy się zdławić własnemu milczeniu, nie pozwalajmy sobie na grzech egoizmu. Kochajmy wszystkich, ale nienawidźmy tkwiącego w nich zła. Niech nas wreszcie dobrze usłyszą. Naprawdę możemy to wygrać.

eprasa.pl c98308c2a0

PRZEZ ŚWIETLIK

Nowa koleżanka



Wiktor Świetlik

Napisanie felietonu o Klaudii Jachirze to pójście na łatwiznę. Przecież wiadomo – niemądra, chamska i infantylna. Jedni się cieszą, że Schetyna nie wiedział, w co się pakuje. Inni – jak ja – że dobrze wiedział, a pani Klaudia ma zapewnić mu mobilizację tego elektoratu, który w głowie nie ma nic poza nienawiścią do braci Kaczyńskich i Kościoła.

Jachira jest z Wrocławia, ale wystawiono ją w Warszawie. Dlaczego? Pisząc te słowa, patrzę przez okno na Grochów. Spędziłem tu niemal całe dorosłe życie i nie chciałbym mieszkać nigdzie indziej, nie dla mnie domy pod miastem, ale prawda jest taka, że w Warszawie, tak jak w innych stolicach, stawia się najładniejsze biurowce i produkuje najwięcej gnoju. Część z niego trafia dziś bezpośrednio do Wisły, ale spora część zostaje w ludzkich głowach. To tu układano krzyże z puszek i sikano na znicze.

Warszawski ratusz się chwali, że zbadał, ile procent warszawiaków uważa, iż prezydent Trzaskowski świetnie sobie poradził ze ściekami. Wyszło im, że 70 proc. I szczerze mówiąc, jestem skłonny uwierzyć w to badanie. Tak tu jest. Dlatego pani Klaudia, modląc się „w imię ojca i syna, i brata bliźniaka", układając „quizy ekshumacyjne, czyja to kończyna", trafia na podatny grunt. To właściwie jedyny kandydat Platformy (czy tam KO, jak ktoś woli), który przyciąga uwagę. Pewnie otrzyma niezły wynik, a inni politycy PO, rzucając prywatnie przy winie te same żarty, będą jej zazdrościli. Nie mam złudzeń co do formacji Donalda Tuska. Od czasów afery hazardowej uważam go za faceta o mentalności gangstera kierującego podobną sobie organizacją (choć przecież nawet wielu bandziorów z szacunkiem wypowiadało się o nieżyjących przeciwnikach). Dlatego nie dziwi mnie Jachira. Dziwi mnie ktoś inny i o nim jest ten felieton. Dziwią mnie moi znajomi z dawnych czasów – Paweł Kowal i Joanna Kluzik-Rostkowska. W swoim czasie każde z nich było przy uchu Lecha Kaczyńskiego. W Tu-154 M było wielu ludzi, którzy uchodzili za ich przyjaciół. Dorzuciłbym Kazimierza Ujazdowskiego (który nie oszukujmy się, pasuje do KO jak chińskie pałeczki do zupy). Piszę ten felieton w czwartek. Do tej pory ani słowa. Odcięcia się, potępienia, przeprosin. Jachira to dziś wasza koleżanka z jednej formacji. Schetyna zabronił krytykować czy sami się boicie wychylać? Wyparliście, zapomnieliście, może pójdziecie na jej spotkanie wyborcze i będziecie klaskać?

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



Patronat medialny: SIECI, HISTMAG.ORG

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

30/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

Są świętością



Alina Czerniakowska

Teraz, szczególnie w gorącym czasie przedwyborczym, śmiało przez wszystkich, niezależnie od prezentowanych poglądów, nieważne, kto kim jest i był w przeszłości, używane są słowa takie jak patriotyzm, wolność, demokracja, byle tylko podziałać na uczucia narodowe i ugrać swoje. Cała totalna opozycja, a nawet byli znani działacze SLD, KOD, powołuje się na patriotyzm i obrusza się przeciw sformułowaniu, że w ich szeregach są tajni współpracownicy i różni agenci służb, chociaż wielokrotnie w mediach była o tym mowa i nie jest to tajemnicą.

Na szczęście są jeszcze w Polsce ludzie, dla których takie słowa, jak patriotyzm i niepodległość, są świętością i używają ich tylko w chwilach niezwykłych, z należną czcią i szacunkiem, jednocześnie swoim życiem dają wyraz temu, jak wielkie mają dla nich znaczenie. I nie są to tylko starsi, urodzeni i wychowani przed wojną, ale też często młodzi z trudem kryją wzruszenie w czasie ważnych wydarzeń narodowych, mimo że wokół lansowany jest liberalizm, relatywizm, dowolność postępowania i interpretowania faktów i wydarzeń, gdy na wszystko patrzy się przez pryzmat własnych interesów.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na ekipie filmowej zachowanie pani Grażyny Jonkajtys, bohaterki jednego z moich filmów dokumentalnych, świetnej architekt, która jako młodziutka dziewczyna przeżyła zesłanie w głąb Rosji, a po powrocie pracowała przy odbudowie stolicy, jednocześnie studiując architekturę na Politechnice Warszawskiej. Pochodzi z wielonarodowościowej rodziny kresowej, nauczycielskiej, ojciec zamordowany przez NKWD, najstarszy brat zginął w walkach w 1939 r., a reszta, sześcioro rodzeństwa, została wywieziona do Kazachstanu, „sztoby zdies podochli" (żeby tam zdechli), jak oświadczył im na miejscu sowiecki komsomolec po morderczej, wielotygodniowej podróży bydlęcym wagonem na wschód. Gdy na koniec nagrania zapytałam już tradycyjnie, jak każdego swojego rozmówcę, co jest najważniejsze w życiu – pani Grażyna opuściła wzrok i powiedziała jakby sama do siebie: „Chyba nie potrafię odpowiedzieć". Wstała z miejsca nagrania i na odległym biurku zaczęła szukać czystej dużej kartki. Wtedy operator zapytał mnie, czy wyłączyć kamerę – odpowiedziałam: „Nie, proszę grać". Pani Grażyna wróciła i na całej szerokości kartki A4, dużymi drukowanymi literami, wprawnym ruchem ręki architekta, napisała jedno słowo, dla niej najważniejsze, święte – PATRIOTYZM. Odwróciła energicznie kartę w kierunku kamery, podparła twarz, po której spływały łzy. Wszyscy milczeli. Potem w telewizji różni kolaudanci mówili z przekąsem: „Ale to wyreżyserowałaś". Nie było żadnej mojej reżyserii, jedynie decyzja, by nie wyłączać kamery, gdy bohaterka wstała z miejsca nagrania i poszła, jak się potem okazało, po kartkę, na której jednym słowem został wyrażony cały sens jej życia i naszego filmu.

Niedawno odwiedziłam panią Grażynę w Konstancinie, gdzie przebywa na rehabilitacji poszpitalnej. Mimo ciężkiej choroby i starszego wieku w łóżku nadal pisze ważne rzeczy o swojej umiłowanej Polsce. Właśnie w tych dniach ukazało się czwarte wydanie jej książki o Kazachstanie, swego czasu bardzo dobrze ocenionej przez paryską „Kulturę" i Jerzego Giedroycia, ale w Polsce nie doczekała się żadnej recenzji, mimo kolejnych wydań, zresztą niejednej książki autorstwa pani Grażyny. Pisze wielkie historyczne rzeczy, które czyta się jednym tchem, z prawdziwą przyjemnością. Jest też autorką ciekawych wystaw o jej ukochanym przedwojennym Wilnie i innych polskich centrach, ale chyba najbardziej imponująca jest wystawa o gen. Władysławie Andersie i jego wielkim dziele, uratowaniu i wyprowadzeniu z ziemi nieludzkiej tysięcy naszych rodaków. Pokazywana w Nowym Jorku, z bardzo dobrymi ocenami, szkoda, że u nas leży gdzieś schowana w magazynie, zupełnie nieznana. Nikt, kto spotkał panią Grażynę, nie pozostał obojętny – ogromna wiedza, precyzja myślenia, energia, bystrość i jasność wyrażania się, ostatnio podkreśla, jak bardzo się cieszy i modli za obecny rząd i zdrowie Jarosława Kaczyńskiego, bo jak mówi, to jedyny ratunek dla Polski.

Przekazała mi świetny tekst na temat dzisiaj bardzo aktualny, o zapomnianej rzece Dźwinie, polskim półwyspie sięgającym aż od rozlewisk Polesia, poprzez tzw. bramę smoleńską, któremu trzy małe państwa bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia – zawdzięczają swoją niepodległość. Mam nadzieję, że wkrótce książki, cenne opracowania pani Grażyny, wystawy i film z jej udziałem zostaną szeroko upublicznione dla naszego wspólnego dobra.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką



Wojna o sok z warzywa



Jerzy Jachowicz

Ostatnie tygodnie kampanii wyborczej do parlamentu obfitują w niespodziewane wydarzenia i rozgrzewają do czerwoności umysły nie tylko wyborców, ale także najtęższe mózgi partii politycznych. Niektóre z nich reagują na różnego rodzaju sensacje w niecodzienny sposób. Choć jeśli chodzi o poniższą reakcję, trzeba raczej stwierdzić, że jest ona typowa dla tego ugrupowania. Oto oświadczenie Rady Politycznej Polskiego Stronnictwa Ludowego.

„Wyrażamy największe oburzenie wobec praktyk, które uderzają w polską wieś, a stosowane są przez obecnie rządzącą partię Prawo i Sprawiedliwość. Przypomnijmy, że kilka dni temu jeden z tygodników opisał hejterskie harcowanie pijarowca, niejakiego Mariusza Kozaka-Zagozdy, opłacanego podobno przez Platformę Obywatelską. Działalność tę prowadził pod artystycznym pseudonimem »Sok z buraka«. Rzecz w tym, że od pierwszych chwil do dziś politycy PiS, którzy publicznie potępiają hejterską aktywność owego pijarowca, używają wyłącznie jego pseudonimu. Nagminne pomijanie nazwiska autora hejtu spowodowało, że termin »Sok z buraka« niemal wszedł do języka potocznego. Jednakże ze względu na kojarzone z nim czynności niewybrednego szkalowania polityków nadano mu jednoznacznie negatywne, a nawet zohydzające znaczenie.

Uderzyć to może w eksport naszego buraka, doprowadzić do upadku tysiące gospodarstw rolnych zajmujących się uprawą buraków, nie mówiąc o plantatorach.

Złośliwość językowa polityków PiS sprowadzić może ogromne zagrożenie dla popytu buraka również na rynku wewnętrznym. Nie można też zapomnieć o walorach leczniczych tego warzywa, właśnie w postaci soku z buraka. M.in. skutecznie walczy z katarem, zapobiega demencji i anemii, z czego korzystało do tej pory miliony rodaków. Czyżby komuś zależało na wywołaniu epidemii chorób dróg oddechowych?

Perfidne uderzenie w naszą chłopsko-wiejską partię definitywnie przekreśla możliwość nawiązania współpracy z PiS przy tworzeniu nowego rządu. Chyba że dla naszego ugrupowania przypadną trzy wskazane przez nas resorty i stanowisko wicepremiera”.

CO MNIE PRZERAŻA

Wstyd, wielki wstyd



Katarzyna Łaniewska

Tylko tymi słowami można określić ostatnie, promujące ponoć wybory, wystąpienie moich znakomitych kolegów, którzy nie wiem, co chcieli tym osiągnąć. Wstydzę się za nich. Mam nadzieję, że oni sami dojdą tego, że wstyd powinien towarzyszyć temu „wielkiemu” osiągnięciu.

Aktorstwo jest zawodem niezwykłych indywidualności i wielkich talentów. Podczas mojej zawodowej pracy mieliśmy znakomitych pedagogów i reżyserów, którzy pomagali nam i wskazywali drogę. Niektórzy z nas mieli więcej talentu, a może więcej szczęścia, które też jest bardzo ważne w tym zawodzie, i osiągnęli coś, co można nazwać artyzmem, związanym z popularnością i sympatią publiczności. Zapracowali na swoje nazwisko, pokazali w piękny sposób swoje talenty. Stanowią pewną instytucje i odpowiadają za siebie.

Każdy z nas jest aktorem, ale też obywatelem. Wolno mu być sympatykiem tej czy innej opcji. Wolno mieć swoje zdanie i podpierać je swoją popularnością. Jako ludzie kultury powinniśmy to czynić w sposób kulturalny. Nie wiem, co chcieli osiągnąć moi koledzy, biorąc udział w tej niby-profrekwencyjnej reklamówce.

Wypowiedzenie tych kilku słów: „Nie świruj, idź na wybory”, wywołało oburzenie, ale i zdziwienie, że tacy wspaniali ludzie potrafią zrobić coś tak podłego. To przebiło wszystkie ataki na obecny rząd. Dziennikarze twierdzą, że aktorzy powinni mówić właściwie tylko tekstem poetów i dramaturgów. Nie, mamy prawo mówić, co myślimy, tylko zastanówmy się jak i czemu ma to służyć.

Patrząc na moich kolegów, nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobili. Wojciecha Pszoniaka poznałam bardzo dawno, gdy kręcił film w reżyserii Andrzeja Wajdy o Korczaku. Grałam tam mały epizod. Jak zwykle aktorzy czekali na rozpoczęcie pracy i rozmawiali ze sobą. Pan Wojciech powiedział mi wtedy, że grając rolę doktora Korczaka, zobaczył, iż warto zostać aktorem, by zagrać choć jedną taką rolę. Zagrał ją wspaniale. Jestem ciekawa, co teraz czuje pan Wojciech, czy pamięta, co mówił o swoim zawodzie? Co teraz może powiedzieć o swojej ostatniej „kreacji”? To smutne.

Ze smutkiem zobaczyłam też w tej reklamówce aktora będącego szefem naszego związku, który tak pięknie zagrał kardynała Stefana Wyszyńskiego... Na zakończenie chciałam przytoczyć powiedzenie: Jak Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu rozum odbiera.

Autopromocja

eprasa.pl c98308c2a0

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Skażone środowisko

Niezwykle trujące w III RP jest środowisko artystyczne



Ryszard Makowski

Tak się uładziło w tym naszym popeerelowskim grajdołku, że wybitnymi artystami mianowano tych, którzy byli i są tubami gazetowyborczego przekazu. Jakie to było dalekowzroczne, widzimy obecnie.

Pokazem siły tej ekipy jest sprawa filmu „Solid Gold". Jacek Bromski, nie byle kto, od sześciu kadencji prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, tak się wystraszył pomruku z Czerskiej, że poszatkował swój film. Fabuła miała dotyczyć przekrętu Amber Gold, ale za bardzo się kojarzyła z politykami Platformy, więc ją ocenzurował. Zresztą „Gazeta Wyborcza" zakazała premiery filmu w październiku tuż przed wyborami. Jak się okazuje, ma taką moc. To odzwierciedla psychozę panującą w artystycznym środowisku.

Ci otwarci ludzie, domagający się wolności, sami chętnie się godzą na lewackie zniewolenie i oddają pokłony bożkowi poprawności. Akcja „Nie świruj, idź na wybory" nie godziła w ludzi psychicznie chorych. Każdego robiącego głupią minę można strofować po tej linii. To nie to. To przerażający coming out umysłowy środowiska. Pokazał, że nawet jak kreujemy kompletny idiotyzm, jesteśmy zwartą jednością i nikt się nie wyłamie. Wprost przeciwnie – stanie na głowie, żeby się reszcie przypodobać.

Niestety dobra zmiana obchodzi się z całym tym „establishmentem" jak z zepsutym jajkiem. Tak jak rząd prężnie zareagował w sprawie zatrucia Wisły, tak w tym przypadku też coś należy zrobić. Skażenie tego środowiska jest równie groźne dla zdrowia narodu.

eprasa.pl c98308c2a0

***Zawistowski prezentuje:* Lalkarstwo**



Wycinki z przeszłości

Uroczystość świętego Michała Archanioła obchodzimy 29 września. A tak pisał o tym „Przewodnik Katolicki" w 1935 r.:

„Święty Michał zyskał sobie swoje imię w onej wielkiej bitwie, w której na czele zastępów niebieskich pokonał piekielne hufce zbuntowanego Lucyfera. Na hasło pychy, które wydał Lucyfer, porywając za sobą trzecią część nieba, wydał św. Michał hasło pokory: któż jak Bóg! Nie ma nic wyższego nad Boga!

Od owego na wieki wieków pamiętnego zwycięstwa datują się rozliczne godności i urzędy św. Michała. Jest on jednym z siedmiu duchów, którzy jako słudzy i posłańcy najbliżej stoją tronu Bożego. Ma on czworaki obowiązek: zwalczać smoka, bronić dusz wiernych, opiekować się ludem Bożym i wprowadzać dusze zbawionych do raju.



Święty Michał Archanioł jest przeto po wszystkie czasy naczelnym wodzem w boju, który się toczy na ziemi między Kościołem Bożym a światem przeciwnym Bogu i Jego świętym. Nazywa go zatem ks. Piotr Skarga »wielkim wojewodą i najwyższym hetmanem« w niebie, »wielkim starostą: wszystkiego na ziemi«.

Rycerstwo polskie doznawało cudownej pomocy od św. Michała w bitwach staczanych z niewiernymi. Stąd zbudowano na cześć jego u nas wiele kościołów". ***(mk)***

Piękność i niechluba...



Leszek Długosz

Utrzymuje się przekonanie, że spośród twórców literatury polskiej drugiej połowy XX stulecia zasługiwałby na Nobla jak mało kto. Za całość, zwłaszcza za wczesne i za późne wiersze, za te mniejsze formy prozatorskie.

Ale to jego „dopadła" (przysłużył się tak?) Nagroda Leninowska. Odsuńmy grzęzawisko biografii. Sięgnijmy do twórczości. A tam do niełatwych zamyśleń i olśnień powodów wiele...

Jarosław Iwaszkiewicz 1894–1980
***„Plejady"** (fragmenty)*

Plejady to gwiazdozbiór już październikowy.
Błyszczą jak winne grono wśród innych gwiazd roju,
W ich świetle las pożółkły niby rumak płowy,
Co polem do srebrnego biegnie wodopoju.
I zdaje się, że w cieniu popielatym sarny
Przebiegają przez ruczaj lub stojąc słuchają,
Jak srebrne lustro wody brzeg odbija czarny
I fletnie białych brzózek, gdzie liście śpiewają
I opadając krążą. A namiętność moja
Niby łania nad źródłem pochyla swą szyję
I tylko jej odbicie lodowego zdroja
Mówi, że chociaż wątła, ale jeszcze żyje.
[...]

Plejady to gwiazdozbiór już październikowy:
Wypływa nad horyzont ciemno i okrutnie
I patrzy na schylone, zadumane głowy,
Na połamane brzozy i pobite lutnie.
Przechodzi i o świcie drży nad moim domem,
Posyła promień cichy, ale przenikliwy,
I głosem mówi do mnie, i takim znajomym,
Że może jest kto jeszcze na świecie szczęśliwy.
Szczęśliwy, który kocha; szczęśliwy, kto wierzy;
Szczęśliwy... albo tylko tak jemu się zdaje...
Szczęśliwy, który łąką o świtaniu bieży
I na jesiennym niebie widzi gwiazdy maja.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl c98308c2a0

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Pomoc po omacku

Migracje, choć od wieków pełnią funkcję swoistego wentyla bezpieczeństwa, a w świecie globalnej gospodarki uzupełniają zasoby siły roboczej, niosą z sobą odwieczne problemy ludzkie: doświadczenie krzywdy, nierówności, wyzysk, niepokój, zderzenie kultur, często nadzieję, ale i destabilizację. Zwłaszcza wtedy gdy nie są roztropnie kontrolowane.



POMAGAĆ NA MIEJSCU

Dziś już chyba wszyscy dostrzegają, jak błędna była decyzja kanclerz Angeli Merkel z września 2015 r. o otworzeniu granic dla nielegalnych migrantów. Tylko część z nich stanowili faktyczni uchodźcy. Coraz powszechniejszy jest też pogląd – konsekwentnie od kilku lat głoszony przez władze polskie – że pomoc dla uchodźców jest najskuteczniejsza, gdy dociera wtedy, gdy znajdują się oni jak najbliżej swojej ojczyzny.

Wzrasta też zrozumienie dla poglądu, że jeśli świat krajów wysoko rozwiniętych nie chce u siebie nieproszonych gości (tj. poza imigracjami regulowanymi), to my, bogaci Europejczycy, powinniśmy jakoś pomóc krajom ubogim wejść na ścieżkę rozwoju. Bo gdy mieszkańcy zacofanych regionów zobaczą jakąś nadzieję na trwałą poprawę losu u siebie, na miejscu, to i ciśnienie ruchu ku dostatniej Północy zmaleje.

ALE JAK?!

Jakie są najlepsze sposoby pomocy rozwojowej? Najlepsze, czyli takie, które pomagałyby wejść krajom ubogim na ścieżkę trwałego i w zasadzie samodzielnego rozwoju.

Mimo wielu dekad doświadczeń, co najmniej od czasu zainicjowania powojennej oenzetowskiej pomocy krajom tzw. Trzeciego Świata, rezultaty przeznaczenia miliardów na tę pomoc często pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Nie chodzi tylko o to, że pomoc zamiast do potrzebujących często trafia do rozmaitych lokalnych kacyków, watażków i powiązanych z nimi grup oraz grupek interesów. A gdy już rozdzielana jest uczciwie, to i tak nierzadko wywołuje skutki odwrotne do oczekiwanych. Na przykład źle wpływa na lokalny rynek pracy, gdy miejscowi zatrudniani przy programach pomocowych opłacani są według stawek międzynarodowych.

EDUKACJA?

Wydawać by się mogło, że dobrą, skuteczną polityką wydobywania z zacofania będzie edukacja. Ale i tu pojawiają nieplanowane efekty. Grupy społeczne, które zostają lepiej wyedukowane, szybciej dostrzegają, że ich kraj macierzysty nie oferuje otwartych dróg awansu społecznego i materialnego. Nastawiają się więc na migrację ekonomiczną, o której mogli w ogóle wcześniej nie myśleć. Programy zaś tworzenia miejsc pracy w rejonach o wysokim bezrobociu czasem skutkują tym, że miejscowi oszczędzają na kosztowną podróż do Europy.

Przypomina się stara prawda, że dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło. Najwyraźniej przedstawiciele dostatniego i oświeconego Zachodu nadal nie wiedzą, jak realizować skuteczną politykę rozwojową.

GDZIE NAUKI SPOŁECZNE?

Badacze społeczni kwestię skutecznego wprowadzania krajów zacofanych na trajektorię rozwoju badają od dobrych kilkudziesięciu lat: ileż odbyto już konferencji, napisano książek i artykułów! Ile grantów przyznano!

Jednak nadal brak czegoś, co choć trochę przypominałoby testowalną, praktycznie przydatną teorię społecznego rozwoju. Co z tego, że są liczne modele rozwoju, jeśli brak metody rozstrzygania, które z nich są naprawdę przydatne w danych warunkach. Wiecie, skąd ta niewiedza? Oto nasza hipoteza.

PROBLEM Z FUNDAMENTEM

Naszym zdaniem większość badaczy lęka się odważnie podjąć kwestię tego, co nazywamy fundamentem aksjologicznym, światopoglądowym. A bez jasnego określenia, na czym w warunkach XXI w. polega dobre ludzkie życie, dobre społeczeństwo, nie wiadomo, jak wyznaczać cele rozwojowe. Nie wiadomo, jak naprawdę skutecznie pomagać krajom znajdującym się w potrzebie.

Żadne „unowocześnienia" w postaci swobody aborcji, eutanazji oraz wyboru nowego dżenderu (próbuje się to nierzadko narzucać jako warunek pomocy rozwojowej) nie zastąpią fundamentu wartości uniwersalnych – czyli tego, co chroni nie tylko godność osoby ludzkiej, ale zarazem ocala społeczeństwo jako wspólnotę.

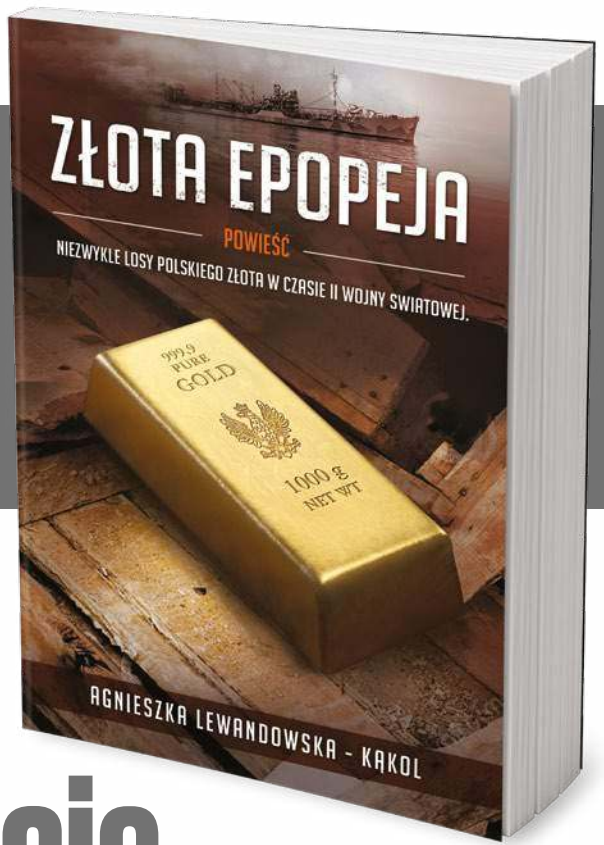
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 31/0919/F

eprasa.pl c98308c2a0

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Złota epopeja" otrzymasz gratis!

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl c98308c2a0

ZAMIEŃ DROBNE NA KONKRETY

Mini Lotto









Codziennie w Twoim zasięgu za jedyne 1,50 zł.

Wygraj nawet 400 000 zł!

LOTTO

Graj w punktach LOTTO i na **lotto.pl**

eprasa.pl c98308c2a0